



04 | 2002

KRONIKA
MIASTA
ŁÓDZI



I-104028/02



EX LIBRIS
WOJEWÓDZKIEJ - MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARSZAŁKA
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ŁODZI

P.R.

| KRONIKA MIASTA ŁODZI

Rada Programowa

Przewodniczący:

GRZEGORZ MATUSZAK

Członkowie:

MIROSLAW BORUSIEWICZ
RYSZARD CZUBACZYŃSKI
HENRYK KLUBA
STANISŁAW LISZEWSKI
PAWEŁ SAMUŚ

Zespół Redakcyjny

Redaktor Naczelny:

BOGUSŁAW SIKORSKI

Sekretarz:

EDWARD MÜLLER
JERZY WILMAŃSKI
PAWEŁ WRONISZEWSKI
BŁAŻEJ KRONIC

ISSN 1231-5354

EDWARD MÜLLER

**WYWIAD
Z KRZYSZTOFEM
JAGIEŁŁO****ABY NAM SIĘ CHCIAŁO, CHCIEĆ...**

Edward Müller - Szanowny Panie Prezydencie, z pewną taką nieśmiałością pragnę zadać Panu pytanie zasadnicze. Jaką ma Pan wizję naszego miasta?

Krzysztof Jagiełło - Szanowny Redaktorze, zacny Edwardzie, przestań się wygłupiać. Wizję to może mieć czarnoksiężnik lub wróżka. Ja natomiast mam program rozwoju Łodzi i szczerą ochotę w pełni go zrealizować w nadchodzącej kadencji. W kampanii wyborczej przedstawiam go na spotkaniach wyborczych, publikuję go w wyborczych ulotkach i folderach. Jest to program przyjęty przez łódzki Sojusz Lewicy Demokratycznej i wierzę głęboko, że zostanie zaakceptowany przez społeczność naszego miasta.

EM - Nie da się jednak ukryć, że inni kandydaci jak mogą obrzydzają łódzianom Twój program i Twoją osobę. Nie jesteś aby zbyt pasywny w tej wyborczej walce?

KJ - Powiem szczerze. Gdyby opozycja chciała polemizować z moim programem bardzo bym się cieszył. Nic tak dobrze nie robi władzy, jak przedstawianie alternatywnych programów rozwoju miasta.



Prezydent miasta Krzysztof Jagiełło.

Niestety opozycja skupiła się głównie na szukaniu u mnie przysłowiowej dziurki w skarpetce. Nie wkroczyłem do polityki prowadzony za rączkę przez mamusię. Przez całe życie pracowałem i łączyłem pracę zawodową z działalnością społeczną. Mozolnie uzupełniałem wykształcenie i zaliczyłem w życiu pracę fizyczną, bezrobocie ale i kierownicze stanowiska. Zgromadziłem więc odpowiednie doświadczenie życiowe i chociaż nie uczyła mnie w dzieciństwie bona, nie miałem też guwernera ale mogę śmiało powiedzieć, że z życiem prawdziwych łódzian mam więcej wspólnego niż moi kontrkandydaci. Brak poparcia łódzkich salonów muszę jakoś przeboleć.

EM - *Istotnie, nie jesteś nadto rozpieszczany przez łódzkie media ale nadal nie rozumiem, dlaczego nie stajesz na udeptanej ziemi i nie próbujesz walczyć z przeciwnikami ich bronią?*

KJ - Czasy jedności moralno politycznej społeczeństwa, jak wiesz, skończyły się bezpowrotnie. Ktokolwiek zostanie przez łódzian wybrany Prezydentem miasta będzie musiał współpracować z przedstawicielami różnych opcji politycznych. Musimy budować szeroki front wsparcia dla dobra miasta. Mimo faktu, że ordynacja znacznie poszerza kompetencje Prezydenta to i tak będzie musiał dla swojego programu poszukiwać wsparcia, a nie mnożyć przeciwników. Wolę więc traktować moich politycznych przeciwników zgodnie z chrześcijańską zasadą: Bóże wybac im bowiem nie wiedzą co czynią. Poza tym wszyscy mamy serdecznie dosyć tych ciągłych kłótni i politycznych przepychanek. Pełnię przy tym funkcję Prezydenta wielkiego miasta a to zobowiązuje. Rolę przekupki z Bałuckiego Rynku pozostawiam innym. Szczerze mówiąc dobrze się w niej czują.

EM - *Załóżmy więc, że druga tura wyborów zakończy się dla Ciebie zwycięsko. Masz program, na czym więc skupisz swoją uwagę w pierwszych dniach urzędowania?*

KJ - Problemów w mieście nie brakuje. Zatytułowałeś wywiad w „Kronice” z moim poprzednikiem - „Nadmiar celów i niecierpliwość społeczna.” Dobrze to oddaje sytuację w Łodzi. Rzeczywiście mamy nadmiar celów i naciągniętą do granic wytrzymałości sytuację społeczną. Musimy więc przekonywująco przedstawić program naprawy tego sta-

nu rzeczy i nakreślić drogę wyjścia z impasu.

Dla mnie najważniejszymi sprawami będzie:

- Walka z bezrobociem,
- Bezpieczeństwo obywateli,
- Poprawa komunikacji,
- Zbliżenie administracji samorządowej do mieszkańców,
- Przygotowanie Łodzi do wejścia do Unii Europejskiej.

To oczywiście główne ale nie jedyne problemy. Na szczęście budzi się nadzieja na rozwój gospodarczy, który jest najważniejszym elementem naprawy sytuacji. Po poprzednich nieudolnych rządach Buzka i jego kamaryli zostały nam w spadku nie tylko dziura w budżecie państwa ale także w budżetach samorządów, a co najgorsze widoczny brak aktywności społecznej. Musimy więc przede wszystkim zbudzić Łódź, sprawić aby nam wszystkim chciało się chcieć. Bez aktywności i czynnych postaw wobec złożonej i trudnej rzeczywistości nie ruszymy z miejsca. Mówiąc szczerze o to mam największe pretensje do prawicowych rządów w Łodzi i kraju. Zabiły rzecz bezcenną - aktywność ludzi i nadzieję, że można się wyrwać z tej zapaści społeczno gospodarczej. Wszystkie swoje siły poświęcę w pierwszym rządzie zmianie tego paraliżującego klimatu. Łodzianie muszą się czuć gospodarzami miasta, od których pracy zależy jej rozwój. Mówiąc obrazowo, chcę zmienić poczucie przeciętnego łodzianina, ze statusu sublokatora na głównego lokatora miasta. Wiąże się to oczywiście także ze zmianą atmosfery pracy w Urzędzie Miasta i jego agendach. Nie spocznę dopóki nie przekonam wszystkich, że Urząd ma służyć mieszkańcom, a nie mieszkańcy Urzędowi. Jeżeli ktoś tego nie zrozumie, jego strata. Mamy w mieście wielu młodych, ambitnych absolwentów wyższych uczelni, chętnie podejmą pracę w Urzędzie.

EM - Przypominam szanownemu Prezydentowi, że już niejedną obietnicę dał. Święty Biurokracy trzyma się jednak nieźle. Służę przykładami z urzędowego podwórka...

KJ - Zaraz, zaraz, czy ja utrzymuję, że jest idealnie? Wcale nie, powiadam jedynie, że widzę problem i mam zamiar się nim zająć. Widzę potrzebę bliższej współpracy z radnymi, bo oni są kapitalnym źródłem informacji o życiu miasta i pracy podległych mi urzędników. Dotychczas różnie z tą współpracą bywało. Niektórzy radni za bardzo nastawieni byli

na załatwianie spraw osobistych, inni zamiast interesami mieszkańców zajęli się sporami politycznymi lub ideologicznymi. Do śmiechu doprowadziła łodzian dysputa na sesji poświęcona ustalaniu brzmienia imienia patrona szkoły - czy Karl czy Karol Dedecius. Miejmy nadzieję, że nowa Rada Miasta będzie bardziej konstruktywna.

EM - Jestem o tym przekonany, zwłaszcza, że będzie ich mniej. Przekonuje mnie także opinia Pana Prezydenta o potrzebie tworzenia klimatu aktywności wśród łodzian. Jak jednak być aktywnym bezrobotnym? Nie bardzo to pojmuję.

KJ - A ja tak. Można oczywiście siedzieć na groszowym zasiłku dla bezrobotnych ale można też aktywniej troszczyć się o siebie i swoją rodzinę. Mam wielki szacunek dla osób odważnych, takich którzy nie czekają na pomoc z zewnątrz ale pomagają sobie sami. W przeróżny sposób. Mam odwagę to powiedzieć bo sam byłem bezrobotnym, byłem też komiwojażerem i dyrektorem w „Ewie”. Wiem oczywiście, że szczególnie trudna jest sytuacja osób starszych, przed wiekiem emerytalnym. Tam istotnie trzeba pomocy z zewnątrz. Szczególną jednak troską trzeba otoczyć absolwentów szkół i uczelni. To wielka tragedia, że Ci młodzi ludzie pełni zapału, wiedzy i werwy życiowej zaczynają od bezrobocia. To ma swoje nieciekawe implikacje. Ci młodzi, nie znajdując szansy życiowej zbyt często demoralizują się. Ideały przekazywane w szkole zbyt często przegrywają z prozą życia. Uruchamiamy dla nich programy „Pierwsza Praca” i „Absolwent”, liczę także bardzo na inicjatywy i pomysły młodzieży. Znam środowisko młodzieżowe i jego problemy - zawsze mogą na mnie liczyć.

EM - Czyli wracamy do podstawowej sprawy - rynku pracy i rozwoju gospodarczego miasta?

KJ - Oczywiście. Co prawda nieco drgnęło w krajowej gospodarce i jest to odczuwalne także w Łodzi ale do unormowania rynku pracy jeszcze daleko. Z satysfakcją trzeba przyjmować każdą nową inwestycję w Łodzi, cieszy także program rozwoju autostrad i my łodzianie nadal widzimy w perspektywie to skrzyżowanie autostrad jako szansę na przyszły rozwój naszej aglomeracji. Niestety to przyszłość, a teraźniejszość jest nadal skrajnie trudna. Nie wolno jednak usiąść i płakać ale trzeba robić wszystko aby w Łodzi powstawały nowe miejsca pracy. Mam silną

wolę aby te procesy w miarę naszych łódzkich możliwości przyspieszać. W swojej pracy będę robił wszystko aby ułatwiać inwestorom lokalizowanie w mieście nowych zakładów i przedsiębiorstw. Cieszyć powinna każda nowa firma lokująca się w naszym mieście. Jako Urząd musimy i będziemy ten proces ułatwiać. Muszę ze smutkiem dodać, że poprzednie ekipy rządowe niewiele zrobiły aby Łodzi pomóc. Dopiero teraz za rządów premiera Leszka Millera sprawa gwałtownie przyspieszyła. Licząc na rządową pomoc, jakże dla nas cenną, nie powinniśmy jednak zaniechać własnych starań i pracy aby ściągać skąd się da inwestorów. Nie jest tajemnicą, że w kraju istnieje rywalizacja miast i dużych ośrodków o pozyskanie inwestorów. Dotąd nie byliśmy liderem tego wyścigu. Obecnie nikt nam nie wybaczy jeżeli nie wykorzystamy pojawiającej się wreszcie szansy dla Łodzi.

EM - Życzę Panu Prezydentowi sukcesów w tym wyścigu. Łódź zasługuje i czeka na sukces. Dziękuję za poświęcenie mi cennego czasu.



ZOFIA
WARZYŃSKA-BARTCZAK

PRZEDWOJENNA ŁÓDŹ W JARMUŁCE

Jak wiele miejsc na mapie świata, tak i Łódź wielokrotnie zmieniała swoje oblicze. Ta, początkowo nikomu nieznana miejscina, miała także swój okres świetności - na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to nazywana była polskim Manchesterem i stanowiła wielonarodowy i wielowyznaniowy tygiel.

Jednak jeszcze w XVIII stuleciu ludność spokojnego miasteczka nad Łódką stanowili niemal wyłącznie Polacy. Sytuacja narodowościowa zaczęła się zmieniać od czasu rozwoju przemysłu, czyli od lat 20-tych XIX wieku - głównie za sprawą osadnictwa niemieckiego, a później żydowskiego. Wtedy to, jak mówią statystyki, na ogólną liczbę 767 mieszkańców przypadało 496 rzymskich katolików, 259 Żydów i zaledwie 12 ewangelików. Osoby wyznania mojżeszowego stanowiły więc 1/3 ludności miasta. W latach następnych odsetek ten zmniejszył się do 10%, by w połowie XIX wieku znów wzrosnąć do kilkunastu procent. Lawinowy wręcz napływ Żydów rozpoczął się w drugiej połowie stulecia, i tak - po Powstaniu Styczniowym stanowili oni blisko piątą część ludności miasta, w pierwszych latach istnienia kinematografu - ponad 30%, a w okresie I wojny światowej - aż 37% (155.992 obywateli).

Ta niespotykana gdzie indziej fala

migracji związana była z eksplozją antysemityzmu w Rosji po roku 1881, pogromami, które trwały do 1884 roku i powtórnie miały miejsce w latach 1903-1906 i wreszcie - serią antyżydowskich ustaw (tzw. prawa majowe, ustalające listę dopuszczalnych zawodów). Oczywiście więc było, że prześladowana ludność, której na dodatek zabraniano posiadania lub dzierżawienia ziemi, przesiedlania się na wieś, handlu alkoholem, a także ograniczano dostęp do swobodnego zdobywania wiedzy (osławione numerus clausus w nauce i adwokaturze), szukała szczęścia gdzie indziej. Bezpośrednią zaś przyczyną wielkiej wędrówki był głód i, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, mrzonki o lepszej przyszłości w El Dorado, czy jak kto woli - Ziemi Obiecanej - dzieci i wnuków tułaczy.

Żydzi łódzcy stanowili barwną mozaikę społeczną. Byli wśród nich obywatele tak wielkiego formatu, jak przemysłowcy - bracia Abraham i Dawid Prussak, Dawid Lande - kupiec i właściciel fabryki przędzy oraz Izrael Poznański - potentat w branży bawełnianej. Duże fabryki otworzyli również Szaja Rosenblatt i Mieczysław Silberstein, a później także Jarocińscy, Kohnowie, Birnbaumowie i Barcińscy. Dość powiedzieć, że na ogólną liczbę 928 łódzkich fabryk, w rękach żydowskich na początku XX wieku znajdowało się ich 585, z tym, że większość z nich zajmowała się produkcją na niewielką skalę.

Wiele było także wybitnych postaci z kręgu sztuki, nauki czy polityki. Najbardziej znanym był światowej sławy pianista, urodzony w Łodzi Artur Rubinstein. Także tutaj urodził się jeden z najznakomitszych polskich poetów, a zarazem tłumacz poezji rosyjskiej i francuskiej - Julian Tuwim, tu, wraz z rodziną osiedlił się sieradzanin - Ary Sternfeld - znakomity matematyk, autor „Wstępu do kosmonautyki”.

Wśród łódzkich Żydów sporo było także lekarzy, felczerów, aptekarzy i dentystów. Liczni znaleźli zatrudnienie w handlu, zwłaszcza drobnym, rzemiośle i szynkarstwie. Niektórzy trudnili się wszelkiego typu pośrednictwem, część z nich była wyrobnikami. Jednak ze względu na świętowanie soboty, stosunkowo niewielu zatrudnionych było w przemyśle, toteż w 1921 roku stanowili oni zaledwie 15% łódzkiego proletariatu. Całe rzesze, natomiast, nie miały żadnego stałego zajęcia i na dobrą sprawę nikt nie wie, czym żywili się sami i swoje liczne rodziny.

Ci najubożsi zasiedlili głównie rejon Starego Miasta - wokół rynku (Ałte sztud) i dalej, aż do dzisiejszego Placu Wolności, czyli Nowego Miasta (Naje sztud). Okolice Starego Miasta były w latach 1825-1862

zamkniętym rewirem, a Żydzi w tej dzielnicy stanowili w 1921 roku 85% ludności.

Z czasem zasięg dzielnicy żydowskiej powiększył się o tereny położone na południe od Starego Miasta, gdzie osiedlali się zamożniejsi, a także ku północy, obejmując dużą część Bałut, Stare Miasto i kawałek Śródmieścia (tam swego szczęścia na ziemi szukała biedota). Jidisz można więc było usłyszeć na ulicy Zgierskiej (Zgierze gas), która podobnie jak Piotrkowska w Śródmieściu, tu pełniła funkcję głównej arterii komunikacyjnej, na Łagiewnickiej (Łagiewnike gas), Limanowskiego (Aleksander gas), na Bałuckim Rynku (Bałute Płac), Drewnowskiej (Pojlisze gas), Podrzecznej (Jidysze gas), Pomorskiej (Średnia gas) i wielu innych ulicach Łodzi.

Dzisiaj po dzielnicy żydowskiej zostały już tylko wspomnienia. Jedną z najbardziej liczących się społeczności Łodzi przestała istnieć w 1944 roku. Około 43 tysięcy zakończyło życie w łódzkim getcie, a ci, którzy przetrwali koszmar pracy ponad siły, głodu, chorób i beznadziei - zakończyli życie w komorach gazowych, w ośrodku natychmiastowej zagonadły w Chełmie nad Nerem lub w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. W okresie od stycznia 1942 do lipca 1944 zamordowano tam około 80 tysięcy mieszkańców łódzkiego getta. Resztę, czyli ponad 70 tysięcy, zgładzono w sierpniu 1944 roku w Oświęcimiu. Z kryjówek wyszło zaledwie 915 ocalonych. A i ci, którzy przetrwali spotykali się po wojnie z przejawami niechęci i ostracyzmu. Wyjechali do Izraela i na Zachód w kolejnych falach emigracyjnych, w latach 1947-1948, 1956-1957, w roku 1968... Ilu potomków pierwszych osadników zostało? Może dwustu... A w styczniu 1939 roku żyło ich w Łodzi 231 tysięcy...

Nie dla wszystkich przybyszów w jarmułkach XIX-wieczna Łódź okazała się Ziemią Obiecana, ale wszyscy oni zostawili tu swój ślad na ziemi, stanowiący o niepowtarzalnym kolorycie tego miejsca.

Jednym z ciekawszych przybytków dawnej Łodzi była jarska, ba!, super kosztowna kawiarnia „Wegeta”, prowadzona przez znanego ze swej pobożności, surowych zasad moralnych i świetlanych ideałów, ponurego Litwaka - Jafego. Ten wysoki, grubokościsty mężczyzna o twarzy gęsto pokrytej pryszczami bardziej przypominał krwawego rzeźnika niżli dobrodusznego vegetarianina. Był zatwardziałym milczkiem i niezwykle służbiście, co przywodziło na myśl bardziej dryl wojskowy niż swobodną, knajpianą nonszalancję. Swoją lokal przy ulicy Dzielnej (obecna Narutowicza) udekorował papierową roślinnością, sufit po-

malował na kolor ciemnoszafirowy, co miało imitować niebo i udekoro-
wał nieprawdopodobną wręcz liczbą maleńkich lampek (były to gwiaz-
dy). Dwie większe udawać miały słońce i księżyc.

Najwierniejszymi bywalcami „Wegety” byli członkowie łódzkiej
bohemy, którzy wprawdzie zawsze wprowadzali twórczy ferment, ale
za to byli najgorszymi klientami, bo nigdy „nie śmierzdzieli forszą”. Zaj-
mowali natomiast dużo miejsca, prawie nic przy tym nie zamawiając,
a i to brali zazwyczaj „na borg”. Jafe im pożyczał, choć widoki na od-
zyskanie chociaż części sumy były raczej nikłe.

O „duchowości” i elitarnym charakterze kawiarni świadczyć mia-
ła niewielka część oddzielona od reszty rajskiego ogrodu (jak Jafe na-
zywał swą papierową dekorację). Był to klub szachowy. Gospodarz bo-
wiem uważał, że muzyka i gra w szachy są najwyższymi sferami ludz-
kiego ducha. Gdy „Klub Szach-mat” wypełniał się graczami, serce Jafe-
go rosło z dumy i radości, że oto jego skromne progi są w stanie przyjąć
w gościnę całą śmietankę artystyczną Łodzi. Trudno powiedzieć, czy ko-
ściasty Litwak zdawał sobie w pełni sprawę z tego, jak wielkim ogniem
pogardy ziali na siebie nawzajem szachiści i artyści. Jedni i drudzy na-
tomiał żyli w zupełnym oderwaniu od rzeczywistego świata, zostawio-
nego za murami kawiarni.

W dziejach „Wegety” tylko raz jeden jedyny doszło do ostrego kon-
fliktu między artystami a szachistami, a stało się tak za sprawą stałego
bywalca knajpy - Herszla Jedwabia. Ten pochodzący z Bałut skromny
tkacz, choć był biedakiem, odznaczał się okazałymi rozmiarów brzu-
chem i nie mniejszym poczuciem humoru. Ostremu, ciętemu jęzorowi
zawdzięczał pozycję sowizdrzała bałuckiej ferajny. Nie miał on bowiem
żadnych świętości, przedrzeźniał wszystko i wszystkich, a jego małe,
świeące oczka patrzyły z wyższością na małość tego świata, do które-
go Herszl odnosił się z pogardą mędrca. Od czasu, natomiast, gdy Je-
dwab za sprawą zespołu „Sztuka dramatyczna” po raz pierwszy poczuł
czar desek scenicznych, zbliżył się do braci artystycznej, gromadzącej się
w „Wegecie”. Swawolił z nimi i odgrywał niezliczone scenki komicz-
ne ku uciechu ogółu.

Razu pewnego w „Klubie Szach-mat” zjawił się obcy gość, niezwykle
zaaferowany, w zmiętym kapelusiku. Poszukiwał mistrza szachowego,
z którym mógłby się zmierzyć. Przedstawiono mu Herszla. Ten jednak
butnie odparł, że życzy sobie dziesięć rubli za partię. Przypilony przy-
musem konfrontacji z najlepszym nieznajomy przystał na te warunki.

Nie wiedział wszakże, że ubogi tkacz nie ma pojęcia o grze w szachy, a wesola kompania lekkoduchów doradziła mu, by w czasie rozgrywki powtarzał ruchy partnera. I Jedwab tak z początku czynił, jednak przy trzecim posunięciu stracił głowę i wiele się nie namyślając ujął za łeb najpoważniej wyglądającą figurę w koronie i umieścił ją na środku szachownicy. Przybysz zbaraniał i tkwił tak w osłupieniu do momentu, w którym wesola ferajna wybuchnęła gromkim śmiechem. Odtąd stosunki między artystami a szachistami stały się niezwykle napięte.

Inną, szalenie barwną postacią Łodzi był fabrykant - Wolf Markus. Jak to się stało, że ten niedołęga i leń, który nigdy nie zaprządał sobie głowy logiką został przedsiębiorcą, pozostanie tajemnicą. Jest to tym dziwniejsze, że Wolf był prawie ślepy jak kret, a że przy swojej gigantycznej krótkowzroczności był także flejtuchem i bałaganiarzem, przeto przez cały czas szukał jakiejś zatłuszczonej stroniczki Talmudu, czy różnych drobiazgów, które wypadły mu z niezgrabnych, pulchnych jak serdelki łapsk. Jego największą namiętnością życia było obżarstwo. Ponieważ jednak nigdy z niczym nie mógł się wygrzebać na czas, swój dzień rozpoczynał śniadaniem, kiedy już było dobrze po dwunastej w południe, a że apetyt miał niespożyty, przeto posiłki łączyły się w jedną, wielką gargantuiczną ucztę, kończącą się wieczerzą o drugiej w nocy. Zatrudniona u niego służba przeklinała swój los w żywy kamień.

Jest także rzeczą wielce wątpliwą, czy Markus był w stanie rozpoznać twarze ludzi ze swego najbliższego otoczenia. Chyba, że po głosie. Złośliwcy twierdzili, że nie poznawał nawet własnej żony. Zresztą, zapewne niewiele go to obchodziło. Baba jak każda inna. Co tu jest do oglądania?

Jeszcze jednym dziwactwem Wolfa było obdarzanie własnych dzieci wyszukаныmi, trudnymi do wymówienia imionami, na przykład: Fajwel Ichazukel lub Trajtl Grunem.

Razu pewnego teść Markusa wydawał córkę za mąż za warszawianina. Jest rzeczą absolutnie zrozumiałą, że Wolf, który nie był w stanie rozpoznać własnej żony, tym bardziej nie miał pojęcia, jak wyglądają jej siostry. Niemniej jednak na wesele się wybierał, nie mógł przecież przepuścić tak wspaniałej okazji do napasienia swego brzucha, a poza tym liczył na to, że będzie gościem honorowym, obdarzonym specjalnymi względami. Jednak wyjazd do dalekiej Warszawy nie należał dla Wolfa do łatwych spraw.

Jego wierni, zaufani słudzy pomogli mu zapakować walizkę, której

zawartość sprawdzał Markus wsadzając tam w całości swój wielki łeb. W środku znajdowała się atlasowa, paradna kapota, ogromna, futrzana czapa, torba z tałesem i filakteriami, a także ulubiona książka - „Życie człowieka” (swoją drogą ciekawe, jak on ją czytał?). Syn, Fajwusz Ich-zakel, odprowadził ojca na stację i wsadził do wagonu. Po drodze Markus wielokrotnie tracił go z oczu i kurczowo chwycił obcych ludzi za rękawy, mniemając, że trzyma się syna.

Gdy w końcu znalazł się na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie, dał się ponieść tłumowi i zupełnie zdezorientowany pytał coraz to kogoś innego o drogę, trąbiąc mu prosto w ucho wyjaśnienie: *Przyjechałem tu na wesele!* Gdy w końcu usiadł w dorożce, odetchnął z ulgą i zaczął się zawieźć do domu weselnego. Wiedziony głośnymi dźwiękami muzyki dotarł do sali, gdzie bawili się zgromadzeni goście. Był szczęśliwy, że w podróży udało mu się nie zgubić walizki z paradnym strojem i prezentem dla młodej pary. W środku panował niewyobrażalny tumult i zgiełk. Spoceni i rozgrzani zabawą goście byli wszędzie. Wolf, jak przystało na krewnego narzeczonej, przywdział odświętne szaty i ruszył na poszukiwanie teścia. Usilnie wpatrywał się w twarze weselników, ale nikogo nie mógł rozpoznać. Dał więc za wygraną i przystąpił do uczty. Podsuwano mu najlepsze kąski: ryby, mięsa i wszelakie cymesy. Gdy jednak nastał czas wręczania darów, Markus dobył z otchłani swej przepastnej kieszeni srebrny puchar i wrzasnął na całe gardło tubalnym głosem: „Mazeł tow, teściu!”. Czyjeś zdziwione oczy przypatrzywały mu się z uwagą. Wolf trafił bowiem na obce wesele.

Gdyby ktoś chciał spotkać w Łodzi całą śmietankę świata interesów zgromadzoną w jednym miejscu, powinien się udać do bóżnicy Mosze Głowackiego i Hirsza Muchnickiego. Tam modlili się najznamienitsi fabrykanci, ale wśród nich byli także rzemieślnicy i tkacze, a nawet najędźnierzy z biednych. Tu wszyscy byli sobie równi i w tym samym stopniu mogli liczyć na szacunek i poważanie.

Nie o samym miejscu modłów będzie tu jednak mowa, a o ich gospodarzach. Mosze Głowacki był człowiekiem drobnej postury, o długiej, wypielęgowanej brodzie, którego bez przerwy swatano z coraz to inną kandydatką na żonę. Bowiem jego pierwsza małżonka spletała mu okrutnego figla i umarła, zostawiając nieszczęsnego czelczyne samego w wielkim, małżeńskim łóżu. Głowacki, trawiony chucią i nie spełnionymi tęsknotami zazdrościł niezwykle swemu współnikowi, Muchnickiemu, który posiadał za żonkę krzepką, zdrową i czerstwą niewiastę o wy-

datnym brzuszku, tłustych, różowych paluszkach i wesołych oczach.

Głowacki sechł ze smutku i rozpacz, lecz wciąż miał nadzieję, że dobry Bóg za sprawą swego sprytnego pośrednika - swata obdarzy go odpowiednią partią. Tymczasem jego głowę zaprzętały interesy i dwójki dzieci, które żonka zdążyła mu jeszcze urodzić. Był to wysoki, blade i chorowity Berł, którego ojciec oddał na naukę do Włoszczowera, jednego z uczonych chasydów i córka Sura, zwana Sarenką, która nie dość, że była chorowita jak jej matka, to jeszcze na dodatek zeszpecona garbem. Podobno nabawiła się go w dzieciństwie, spadając ze stołu, czego następstwem okazała się być nieforemna, spiczasta narośl, która naznaczyła życie dziewczynki.

Życie Głowackiego toczyło się ustalonym rytmem od jednych swatów do drugich, aż do dnia, kiedy nauczyciel Berła oświadczył jego ojcu, że znalazł u chłopca egzemplarz „Hazeiry”, gdzie m.in. umieszczono felieton Sz. I. Jackana, w którym w sposób heretycko-oświecony wyśmiewano chasydów. Włoszczower wraz z Głowackim rychło uradzili, że jedynym sposobem, mającym uchronić Berła od przekleństwa bożego jest jego możliwie szybki ożenek. Mosze był nawet zadowolony z takiego rozwiązania, licząc po cichu na to, że swat przy okazji i jemu wynajdzie jakąś żwawą oblubienicę. Jak się po tym okazało, były to nadzieje płonne, natomiast do domu Głowackiego wkrótce wprowadziła się synowa - wysoka, blada i wątła, za to rodem z Warszawy i na dodatek z bogatego domu - córka samego Abrahama Borowskiego.

Pociecha z wywyższającej się synowej była głównie taka, że można było podsłuchiwać pod drzwiami świeżo poślubionych małżonków, a także i ta, co Mosze już niezbyt doceniał, że elegancka warszawianka stała się jedyną przyjaciółką i powierniczką garbuski - siostry Berła. Za jej to sprawą kaleka dziewczyna podziwiała świat już nie tylko zza firanki swojego okna, ale także z przydomowego ogródka. To niespodziewane onieśmielenie Sarenki okazało się dla jej ojca brzemiennie w skutki, bowiem pewnego dnia staremu Głowackiemu wizytę złożył Włoszczower i, jak niegdyś ratował przed zatraceniem jego syna, tak teraz misją mędrca było niedopuszczenie do zhańbienia córki pobożnego przyjaciela. Okazało się bowiem, że Sura zakochała się w jednym z szykownych młodzieńców z bóżnicy swojego ojca i aby nie dopuścić do wstydu na całą dzielnicę, trzeba co prędzej posłać swatów. Niestety i tym razem nie do Mosze Głowackiego...

Zadziwiająco plotły się losy różnych łódzkich familii. Niektóre

z nich całymi pokoleniami klepały biedę, inne pomnażały majątek pokoleń, jeszcze inne po latach świetności bankrutowały, podczas gdy jeszcze inne gwałtownie awansowały na szczeblach drabiny społecznej.

Wiśliccy byli bogatymi fabrykantami, nieustająco powiększającymi swe dobra doczesne. Chaim Jakub Wiślicki głównie liczył weksle, a jego żona „ciački”, zbierane od biedoty łódzkiej za różne drobne usługi. Wiślicka miała też swe udziały w handlu wielkimi, wełnianymi chustami, używanymi przez niezamożne kobiety z Bałut do otulania w nie siebie i swego przychówku. Wszystkie kupowały u niej chusty na spląty, Wiślicka zaś skrupulatnie zapisywała w wysłużonym kajecie ich nazwiska, adresy i tygodniowy utarg z żebrania po kamiennych podwórkach. Potem, w piątki powtarzał się cotygodniowy rytuał i rząd nędznie odzianych kobiecín ustawiał się przed drzwiami Wiślickich, a gospodyni skrzętnie rozliczała się z każdą z nich. Tylko chytreńkie oczka latały jej spostrzegawczo, tak, że żadnej z nędzarek nigdy nie udało się oszważyć Wiślickiej, choćby na parę groszy. Ona znakomicie orientowała się, ile każda z niewiast wyrabia na tydzień i pazernie wyrывała im z rąk brudne zawiniątka z cuchnącymi drobnymi. Potem następował kolejny rytuał: układania z jednej strony stołu weksli Wiślickiego, a z drugiej strony - groszy jego żony. Tak to zamożna rodzina łódzkich fabrykantów wiodła dostatnie życie za pieniądze wyżebrane przez łódzką biedotę.

Zupełnie inny los przypadł w udziale rodzinie Wienerów. Niedgdyś byli oni najbogatszą chasydzką rodziną w Łodzi, jednak wraz z zawirowaniami niesionymi przez I wojnę światową ich fortuna, podobnie jak wiele innych rozplynęła się. Towary, które kiedyś zalewały rosyjski rynek, zostały zabrane przez Niemców, a liczne dobra podległy rekwizycji. Olbrzymie sumy w bankach zdewaluowały się. Wienerowie patrzyli na swój upadek oczami zarzynanych owiec. Stracili nie tylko cały majątek, ale także dotychczasowych pochtebców i znajomych.

Koło fortuny Szyi Szperlińskiego potoczyło się natomiast w całkiem innym kierunku. Pochodził on z głębin bałuckiej biedoty, zamieszkałej w tzw. chałupkach - skleconych naprędce, wiecznie rozwalających się domkach. Był synem ubogiego tkacza, który harując po 18 godzin na dobę, był w stanie zarobić jedynie na chleb. W dzieciństwie Szyja chodził bosi, obdarty i głodny. Dla rodziców był kolejną „gębą do wykarmienia”, toteż jeszcze jako dziecko musiał ciężko pracować, podobnie jak jego ojciec. Chodził też do chederu, ale niewiele się tam nauczył, za

to dobrze poznał smak kańczuga na gołym ciele. Nawykły do chłosty, nawet nie płakał, gdy go bito. Nieco później terminował u rzemieślnika, gdzie również musiał znosić wszelkie możliwe upokorzenia.

Gdy niebawem robotnicy żydowscy zaczęli podnosić głowy, Szyja wstąpił do „Małego Bundu” (żydowskiej partii socjalistycznej). Sam właściwie nie wiedział, dlaczego tak postąpił, ale swego kroku nigdy nie żałował. Po raz pierwszy w życiu poczuł się kimś ważnym, z kim, jak mu się wydawało, liczone się. Jego nader odpowiedzialne zadanie polegało na rozdawaniu ulotek na ulicy Piotrkowskiej, co było dla niego niezwykle silnym przeżyciem nie ze względu na propagowane treści ideowe, lecz pierwszą w życiu możliwość wykroczenia poza Bałuty. Ponadto, z ulotkami pod pachą nie czuł palącego wstydu swojej nędzy. Patrząc zaś na sytość bogaczy zamieszkających przy Piotrkowskiej, w Szperlińskim zakiełkowało uczucie żarliwej nienawiści.

W partii jednak nie zabawił długo, gdyż pochłonięty go bez reszty troski dnia codziennego. Podobnie jak ojciec, ugiął się pod ciężarem nędzy i trwał w tym beznadziejnym marazmie. Jednak i w jego życiu zapłonęła jasna iskierka. Miała na imię Jentl i tak, jak Szyja pochodziła z biednej, bałuckiej rodziny. Po niedługim czasie pobrali się, potem na świat przyszły ich dzieci. Gdy nadeszła wojna - oboje stracili pracę. Cała rodzina cierpiała głód i zimno. Zdruzgotany Szyja imał się różnych zajęć, ale wszystko to były prace krótkotrwałe, a co ważniejsze - lichy płatne. Wtedy na Bałutach zaczął rozwijać się szmugiel. Zdesperowany Szperliński postanowił chwycić się ostatniej deski ratunku. Czynił to bez wiary, lecz ku jego i jego kumpli zdziwieniu, szczęście do „przekrętów” sprzyjało mu niesamowicie. Czegokolwiek się nie dotknął - w nocy wzrastało na cenie, co, oczywiście, Szyja skrzętnie wykorzystywał. W bardzo niedługim czasie został więc nędzarz z chałupki bogaczem, znanym nie tylko w swoim rodzinnym mieście, ale w całej Polsce, gdzie krążyły legendy o jego niewyobrażalnej fortunie i sposobach jej pomnażania.

Co jednak jest w tej historii najbardziej zaskakujące, to finał dopisany przez samo życie. Po latach, doświadczony w swym fachu swat Jancze doprowadził do niezwyklego mariażu. Wyswatał bowiem córkę Szyi - Gitl, dziewczynę pochodzącą z dołów społecznych, ale dzięki sprytowi ojca opływającą w dostatki, z narzeczoną od samych Wienerów - zubożałej arystokracji żydowskiej. Tak oto kapryśne koło fortuny zatoczyło krąg...

Przez Łódź, co oczywiste, przetoczyło się znacznie więcej cieka-

wych, barwnych postaci. Wystarczy wspomnieć całe rzesze rzemieślników, drobnych handlarzy i dostawców, odwiedzających regularnie domy swych chlebodawców. Tych bezimiennych dostarczycieli nabiału, owoców, świeżych bułeczek, papierów, zeszytów, futer. Tych, którzy oferowali swoje bezcenne usługi: krawcowe (osobne do paradnej garderoby, osobne do bielizny pościelowej, osobne do łątania, haftowania i co tam jeszcze z łachami można zrobić!), praczki, maglarki, sprzątaczkę, słowem: cały sztab ludzi. Ich już nie ma i nie ma już dawnej Łodzi, ale jeżeli przymknie się oczy, można jeszcze zobaczyć cień przemyskający pod arkadami Starego Rynku...



Bibliografia:

- Fundacja Ekumeniczna „Tolerancja”, Oddział Wojewódzki w Łodzi: Łódź wielonarodowa i wielowyznaniowa a idea tolerancji. Łódź, 1997.
- Kempa A., Szukalak M.: Żydzi dawnej Łodzi, Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanym, T. I. Łódź, Oficyna Bibliofilów, 2001.
- Skrzydło L.: Rody fabrykanckie. Łódź, Oficyna Bibliofilów, 1999.
- Spodeńkiewicz P.: Zaginiona dzielnica. Łódź żydowska - ludzie i miejsca. Łódź, Łódzka Księgarnia Niezależna, 1999.
- Trunk J.I.: Pojln. Obrazy i wspomnienia z Łodzi. Wybór, przekład z języka jidysz i komentarz Clark A. Łódź, Biblioteka „Tygla Kultury”, 1997.

TADEUSZ BOGOLECKI

**DZIAŁANIA
POWSTAŃCÓW
1863 ROKU
W REJONIE
MIASTA ŁODZI****140 - LECIE POWSTANIA
STYCZNIOWEGO**

22 stycznia 1863 roku w zaborze rosyjskim rozpoczęła się kolejna polska insurekcja nazwana przez historyków Powstaniem Styczniowym. Jej wybuch przyspieszyła branka tj. pobór do wojska rosyjskiego, zarządzona przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, Naczelnika Rządu Cywilnego Królestwa Polskiego, przywódcę obozu politycznego grupującego zwolenników pracy organicznej i autonomii narodowej, ironicznie nazywanych millenerami - odkładającymi na tysiąc lat wyzwolenie Polski.

Powstanie zostało przygotowane przez Stronnictwo Czerwonych, nawiązujące do tradycji demokratyczno-radykalnych i wysuwające program odbudowy niepodległego państwa polskiego w granicach przedrozbiorowych. „Czerwoni” liczyli przede wszystkim na patriotyczne nastroje społeczeństwa polskiego silnie uzewnętrzniające się od 1860 roku w licznych demonstracjach ulicznych i kościelnych oraz na pomoc działaczy europejskich ruchów rewolu-

cyjno - demokratycznych, przede wszystkim w Rosji osłabionej klęską w wojnie krymskiej (1853-1856).

W drugiej dekadzie stycznia 1863 roku Komitet Centralny Narodowy przekształcił się w tajny Tymczasowy Rząd Narodowy, który w swoim pierwszym manifestie podkreślił: (...) K.C.N. ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnemi i równemi Obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystym. Właściciele poszkodowani, wynagrodzeni będą z ogólnych funduszków Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obronionej od wrogów ziemi. Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archaniola, rozwinięty.¹



Uczestnicy powstania styczniowego 1863 roku.
Rycina z epoki.

rys. archiwum

Plany powstańcze przewidywały w pierwszym dniu walki: 1. równocześnie zaatakowanie większości garnizonów rosyjskich, 2. zmuszenie oddziałów carskich do skoncentrowania się w większych miastach, 3. wyzwolenie przede wszystkim północnej części Królestwa Polskie-

go z Płockiem, co umożliwiłoby ujawnienie się Tymczasowego Rządu Narodowego i zorganizowanie regularnej armii polskiej. Insurgentom udało się zrealizować jedynie dwa pierwsze zadania.

Podjęta walka od początku miała nierówny charakter. Około 20 000 spiskowców zaatakowało formacje rosyjskie liczące blisko 100 000 żołnierzy. W toku powstania sformowano kilkaset małych, ruchliwych oddziałów zwanych partiami, liczących łącznie około 35 000 patriotów. Przez ich szeregi przewinęło się co najmniej 150 000 osób, którzy stoczyli około 1 230 bitew z czego 956 w Królestwie Polskim, 237 na Litwie oraz kilkadziesiąt na Ukrainie i Białorusi.

Powstanie rozszerzyło się wiosną 1863 roku, gdy gremialnie przystąpili do niego działacze Stronnictwa Białych, opowiadający się dotąd za odbudową niepodległego państwa polskiego na drodze porozumienia z rosyjskimi klasami panującymi, odrzucający jednocześnie zbyt ugo-

10671-A



Powstańcy 1863 r. na Nowym Rynku (pl. Wolności). Łódź 31.01.1863.
Szytych art. mal. Br. Lechowskiego.

dową, ich zdaniem, politykę A. Wielopolskiego. „Biali” traktowali jednak walkę partyzancką głównie jako demonstrację zbrojną w oczekiwaniu na pomoc państw zachodnich przede wszystkim Francji i Wielkiej Brytanii. Jesienią gdy upadła nadzieja na interwencję zbrojną większość z nich wycofała się z powstania. Insurekcja zaczęła wygasnąć. Ostatnie oddziały zakończyły walkę wiosną 1864 roku.

Podczas Powstania Styczniowego poległo lub zmarło z ran kilkanaście tysięcy insurgentów. Ponad tysiąc powstańców zostało straconych przez oprawców carskich, około 4 000 skazano na katorgę, kilkanaście tysięcy zesłano. Powyższa hekatomba wywarła istotny wpływ na umocnienie świadomości narodowej w następnych dziesięcioleciach.

Powstanie dzięki swej sile i programowi społecznemu przyczyniło się do uwłaszczenia chłopów na warunkach korzystniejszych niż pod innymi zaborami, co przyspieszyło postęp gospodarczy i społeczny w Królestwie Polskim, pozbawionym przez z cara resztek autonomii. Dowo-



fot. archiwum

Weterani powstania 1863 r. mieszkający w Łodzi. Łódź - styczeń 1925 r.

dem tego był dynamiczny rozwój miasta Łodzi i rejonu, których mieszkańcy aktywnie uczestniczyli w insurekcji styczniowej.

Na początku lat sześćdziesiątych Łódź była miastem zdominowanym gospodarczo przez przemysł bawełniany, przeżywający wówczas poważny kryzys surowcowy. W 1863 roku zamieszkiwało ją około 40 000 osób - większość stanowili Polacy, około 40 % Niemcy i blisko 10% Żydzi. Około 80% łodzian było analfabetami. Edward Rosset, znany statystyk i demograf następująco scharakteryzował ówczesnych mieszkańców miasta: *Nie byli wykształceni, ale byli to nad wyraz dzielni ludzie, którzy tę Łódź zbudowali.*²

W sytuacji ogólnej stagnacji i narastającego bezrobocia często dochodziło wówczas do wystąpień społecznych z których najbardziej znany był bunt tkaczy, w dniach 22 i 23.04.1861 roku, skierowany przeciwko fabrykantom mechanizującym swoje przedsiębiorstwa. Niektórzy historycy uważają, że był to ostatni w Europie przejaw luddyzmu, tj. ruchu robotników, którzy niszczyli maszyny fabryczne upatrując w nich przyczynę niskich płac i bezrobocia.

Część mieszkańców Łodzi nadzieję na poprawę swojego bytu zaczęła wówczas łączyć z realizacją programu „czerwonych”. Ich czołowym emisariuszem w mieście był Ignacy Radziejowski, który od drugiej połowy 1862 roku pracował w łódzkiej fabryce tabaczej (papierosów) jako kontroler Komisji Skarbu Rządu Cywilnego Królestwa Polskiego. Jednocześnie pełnił obowiązki konspiracyjnego naczelnika Łodzi. Jego działalność aktywnie wspierali miejscowi patrioci wśród których wyróżniali się: ksiądz wikary Józef Czajkowski i fotograf Józef Zajączkowski. W rejonie Łodzi szczególnie aktywni byli: Józef Sawicki, który po zakończeniu służby w wojsku pruskim wstąpił do zakonu franciszkanów w Łagiewnikach i jako jego kwestarz był znany w całej okolicy oraz nauczyciel Konstanty Piotrowicz i jego żona Maria, mieszkająca w Radogoszczu.

Liczbę członków łódzkiej organizacji spiskowej szacuje się na około 600 osób. Najaktywniejsi z nich kolportowali pisma i ulotki o patriotycznej treści, zbierali tzw. „ofiary narodową” na uzbrojenie, ekwipunek i szkolenie wojskowe, które prowadzono w lesie miejskim w podłódzkiej osadzie Mania i Łagiewnikach.

Pod koniec 1862 roku na wniosek przedstawicieli KCN zmieniono przywódcę łódzkiej organizacji spiskowej. Na nowego naczelnika miasta wybrano fotografa Józefa Zajączkowskiego, który dążąc do ograni-

czenia liczby przeciwników działalności patriotycznej zaniechał przymusowego opodatkowania miejscowych fabrykantów i kupców. Twierdził on, że 18 stycznia: (...) *przybył doń Frankowski, komisarz Rządu Narodowego, z pisemnym rozkazem do powstania na dniu oznaczonym, nie przywiózł jednak umówionego hasła. W tej chwili posłano do Łęczycy. Przybył dr Dworzaczek, a 19 stycznia po wspólnej modlitwie przed południem wysłał naczelnika miasta Z... do Warszawy dla powzięcia wiadomości, co należy czynić.*³ Naczelnik Zgierza przywiózł pisma zawierające polecenie wstrzymania rozpoczęcia działań powstańczych w Łodzi, Zgierzu i Ozorkowie planowanych na 22.01.1863 roku.



foto: archiwum

Trójdzielna tarcza z herbami Polski, Litwy i Rusi, używana w czasie powstania styczniowego.

Niektórzy historycy uważają, że J. Zajczkowski, wówczas zbliżony ideowo do „białych”, był osobiście zainteresowany odwołaniem rozkazu o wystąpieniu zbrojnym w Łodzi, co według nich uzyskał poprzez rozmyślne manewrowanie a może i oszustwo. Z drugiej jednak strony wiadomo, że w łódzkim garnizonie skupiającym 2 kompanie piechoty i baterię artylerii już 18.01.1863 roku ogłoszono pełną gotowość bojową.

DZIAŁANIA POWSTAŃCÓW NA TERENIE ŁODZI

Po pierwszych atakach powstańców dowództwo rosyjskie zmniejszyło liczbę garnizonów w Królestwie Polskim ze 180 do 40. Zgodnie z rozkazem o koncentracji oddziały carskie opuściły 27 stycznia Łódź i wymaszerowały do Łęczycy będącej wówczas siedzibą powiatu obejmującego również nasze miasto. Fakt ten ułatwił tworzenie i szkolenie partii powstańczych w rejonie Łodzi.

Miejscowi spiskowcy już wieczorem 31 stycznia zebrali się na terenie obecnego Parku Julianowskiego im. A. Mickiewicza. Wyznaczeni dowódcy sformowali dwie kompanie: strzelecką i kosynierską oraz rozdali im broń. Ksiądz Józef Czajkowski odczytał manifest Tymczasowego Rządu Narodowego i dekret o uwłaszczeniu chłopów oraz odebrał przysięgę powstańców. Łódzkie Polki przekazały insurgentom sztandar z Orłem i Pogonią oraz napisem „Całość, Wolność, Niepodległość”.

Następnie oddział wkroczył do Łodzi gdzie z gmachu ratusza zebrał dwugłowego orła rosyjskiego i zawiesił manifest wzywający mieszkańców do walki z caratem. W domu fabrykanta Leopolda Hentschla przy ulicy Piotrkowskiej insurgenci zarekwirowali 72 sztuki broni, głównie sztucery z gwintowanymi lufami lecz bez kurków, które członkowie niemieckiego towarzystwa strzeleckiego wcześniej ukryli. Na Górnym Rynku powstańcy zajęli budynek Banku Polskiego, z którego zabrali za pokwitowaniem 18 775 rubli i 50 kopiejek na potrzeby siły zbrojnej narodowej. O czwartej na ranem 1 lutego opuścili miasto i pomaszerowali w kierunku lasów rososzyckich na terenie których, według ich informacji, działała partia Józefa Oxińskiego.

Po dotarciu do Łasku zawrócili na Wronowice, gdzie doszło do potyczki z oddziałem mjr. Esmana podczas której Rosjanie zranili kilku powstańców, kilkunastu wzięli do niewoli i zdobyli część taborów. Większość insurgentów rozproszyła się, tylko czterdziestu dołączy-

ło do partii J. Oxińskiego. Józef Czajkowski został później kapłanem w oddziale Roberta Skowrońskiego i wyróżnił się pod Cyrusową Wolą (4.09.1863 r.).

Powstańcy ponownie wkroczyli do Łodzi 22 lutego 1863 roku. Świadkiem tego wydarzenia był Józef Kajetan Janowski członek Tymczasowego Rządu Narodowego, który następująco je opisał: ... *W mieście w którym nie było wcale Moskali, zastaliśmy jakiś gorączkowy i podniecony ruch. Zajechaliśmy do pp. Cichockiego i tu dowiedzieliśmy się, że przyczyną tego niezwykłego ruchu w mieście była wiadomość, że oddział sformowany przez dra Dworzaczka, naczelnika powiatu Łęczyckiego, w którym było bardzo wiele młodzieży z Łodzi ma przyjść do miasta. I rzeczywiście około g. 3 po południu oddział złożony z około 1000 ludzi w uroczystym pochodzie i ze śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła” wkroczył do miasta gościńcem od Łęczycy. Przyjmował go proboszcz miejscowy z wikariuszami w otoczeniu bractw, cechów rzemieślniczych z chorągwiami i mas ludowych: Polaków, Niemców i Żydów. Cała prawie ludność miasta była na ulicach. Przed kościołem oddział się zatrzymał. Proboszcz powitał go krótką, gorącą przemową i poświęcił sztandar z Matką Boską (ofiarowany przez kobiety łódzkie) i pobłogosławił wojsko i lud. Lud był żywo przejęty uczuciem patriotycznym, szczerze i ochoczo witał i podejmował żołnierzy.*⁴

Łódź była ostatnim etapem trasy propagandowej partii J. Dworzaczka. Wbrew zasadom wojny partyzanckiej manifestacyjnie przemaszerowała ona przez Brzeziny, Stryków i Zgierz oraz leżące między nimi wioski. Niektórzy wojskowi określali takie działania jako „agitację czy-nem”, która miała podnieść temperaturę uczuć patriotycznych ludności cywilnej i skłonić ją do wstępowania w szeregi powstańcze.

Działalność propagandowa partii J. Dworzaczka zmusiła Rosjan do zdecydowanego działania - ich oddziały z Piotrkowa Trybunalskiego i Łęczycy otrzymały rozkaz rozpoczęcia akcji likwidacyjnej.

Z dostępnych relacji wiadomo, że powstańcy jeszcze trzykrotnie wkraczali do Łodzi. W dniach od 24 do 26 maja przebywały tu oddziały Oborskiego i Włodka.

18 czerwca o godz. 21.00 Robert Skowroński z dwunastoma kawalerzystami brawurowo zaatakował żołnierzy rosyjskich koło ratusza na Nowym Rynku (plac Wolności). Korzystając z zaskoczenia i wywołanego zamieszania zabili i zranili oni kilku Rosjan, zdobyli dwa karabiny i bez strat własnych szybko odjechali w kierunku Aleksandrowa. J. Zajączkowski twierdził, że zabrali również przeszło 6 000 rubli z filii Ban-

ku Łódzkiego. Po tym wypadzie miejscowy garnizon składający się dotąd z trzech kompanii piechoty został wzmocniony dwiema rotami, sotnią kozaków i dwoma działami artylerii polowej.

Ostatni wypad na Łódź przeprowadził 11 września niezidentyfikowany oddziałek powstańczy, który od strony Rokicin dotarł na Górny Rynek, gdzie zaatakował patrol kozacki. Po zabraniu Rosjanom koni wycofał się bez strat w stronę Pabianic.



Ksiądz Józef Czajkowski, dowódca pierwszego oddziału partyzanckiego Łódź, styczeń 1863 r.

Działania powstańców w Łodzi aktywnie i w miarę możliwości wspierali miejscowi konspiratorzy, kierowani kolejno przez następujących naczelników: Józefa Zajączkowskiego, rejenta Jana Cichockiego i farmaceutów - Homana Stenzla i Marcelgo Kuźnickiego. Efektywnie wspomagał ich prezydent miasta Andrzej Rosicki (12.12.1862 - 21.12.1865). 22 lutego 1863 roku polecił on powstańcom aresztować siebie i urzędników przebywających wówczas w ratuszu, co uchroniło go na dłuższy czas przed represjami Rosjan.

Po 11 września 1863 roku Rosjanie zwiększyli środki ostrożności i gotowość bojową w łódzkim garnizonie. Nasiliły się represje i zwiększyła się aktywność wojska w powiecie łęczyckim. Władzom carskim udało się rozbić miejscową cywilną organizację powstańczą. W tej sytuacji jesienią 1863 roku J. Zajączkowski opuścił Łódź i wyjechał do Galicji. Nadal jednak w mieście działali miejscowi konspiratorzy. Wielu z nich wstąpiło do partii walczących w Kaliskiem i Kieleckiem.

NAJWIĘKSZE BITWY I POTYCZKI W REJONIE ŁODZI

Część powstańców z rozbitego pod Wronowicami oddziału Józefa Czajkowskiego dołączyła do partii utworzonej przez Józefa Sawickiego w lasach łagiewnickich. Była ona stosunkowo dobrze wyposażona i uzbrojona m.in. w 34 sztucery skonfiskowane niemieckiemu towarzystwu strzeleckiemu podczas wypadu, 1 lutego 1863 roku w Zgierzu. Zarekwirowana broń była celniejsza i miała większy zasięg niż karabiny będące na uzbrojeniu wojska rosyjskiego.

J. Sawicki uchodził za najbardziej radykalnego społecznie dowódcę partyzanckiego w Łódzkiem. Jego działalność niepokoiła prawicę powstańczą, która obawiając się „czerwienca” pozbawiła go dowództwa. Na jego stanowisko wyznaczono dr. Józefa Dworaczka ordynatora szpitala w Łęczycy, będącego naczelnikiem cywilnym powiatu. Jako młodzieniec uczestniczył on w Powstaniu Wielkopolskim w 1848 roku, nie zdobył jednak znaczącego doświadczenia bojowego, nie miał również predyspozycji i kwalifikacji dowódcy wojskowego o czym świadczyła m.in. jego „agitacja czynem” na trasie Brzeziny-Stryków-Zgierz-Łódź.

Po zakończeniu powyższej akcji propagandowej oddział łęczycki liczący ponad 400 osób w tym około 150 łódzian biwakował koło wsi Dobra (miedzy Zgierzem a Strykowem). Większość insurgentów nie mia-

ła doświadczenia bojowego, była słabo wyszkolona i ciężko znosiła niewygody życia obozowego.

23 lutego łódzcy spiskowcy powiadomili J. Dworzaczka o 2 kompaniach piechoty i sotni kozaków, które przemieszczały się z Piotrkowa Trybunalskiego w kierunku Dobrej. Informację tę zlekceważono co poświadcza fakt wysłania J. Sawickiego mającego największe doświadczenie bojowe i umiejętności dowódcze rankiem 24 lutego, do pobliskich miejscowości z zadaniem podkucia koni oraz obozowanie oddziału koło wioski a nie w głębi pobliskiego lasu.



Andrzej Rosicki - Prezydent miasta Łodzi (1862-1865) Łódź 1863 r.
Aktywny współpracownik łódzkiej organizacji powstańczej.

Nie zabezpieczeni wartami, jedzący śniadanie powstańcy dali się zaskoczyć Rosjanom przyprowadzonym w samo południe przez grupę kolonistów niemieckich z Nowosolnej. Mimo to insurgenci posiadający sztucery odparli pierwsze ataki wroga. Nie wytrzymali trzeciego natarcia.

W końcowej fazie walki na miejsce bitwy dotarła Maria Piotrowiczowa, która po otrzymaniu informacji o krytycznej sytuacji oddziału zebrała całą służbę folwarczną i ruszyła w kierunku Dobrej. Po drodze do jej grupy dołączyli zgierscy ochotnicy. Maria liczyła, że uda się jej przebić przez pierścień wroga i pomóc walczącym, w tym jej mężowi Konstantemu wyrwać się z okrążenia. Kiedy przybyła na pole walki los bitwy był przesądzony. Znający ją oficerowie rosyjscy wezwali Piotrowiczową do poddania się. W odpowiedzi strzeliła z pistoletu do nich, co rozjuszyło podbitych żołnierzy, którzy zakuli bagnętami ciężarną Marię.⁵ Rzeź powstańców zakończyła się około godziny 17.

Podczas bitwy poległo ponad 70 insurgentów wśród których zidentyfikowano 17 łodzian w tym 5 Niemców i 2 Żydów. Część spośród 75 rannych przewieziono do Łodzi, pozostałych leczono w pobliskich folwarkach.

Rosjanie schwytali 84 powstańców. Część z nich została skazana na śmierć, a wielu wcielono do armii rosyjskiej lub zesłano na Syberię m.in. J. Dworzaczka. Zwycięzcy zdobyli całe wyposażenie i broń oddziału m.in. 2 armatki i moździerz. Obrabowali również wszystkich poległych i rannych powstańców.

Po tej największej i najkrwawszej bitwie na terenie powiatu łęczyckiego powstańcy stoczyli 4 większe zwycięskie potyczki w rejonie Łodzi. 23 maja partia kujawsko - kaliska Szumlańskiego i Włodka pokonała Rosjan pod Niewieszem, na drodze z Poddębic do Uniejowa. 8 i 9 lipca szwadron jazdy łęczyckiej Parczewskiego rozproszył oddziały carskie pod Walewicami na drodze z Łęczycy do Kutna oraz koło Kier nad Bzurą.

26 sierpnia pod Sędziejowicami w Sieradzkim partia Edmunda Taczanowskiego wsparta przez kawalerię Parczewskiego wycięła w pierń oddział złożony z 37 petersburskich ochotników, którzy na jednym z bankietów obiecali zebranym damom osobiście uczestniczyć w likwidacji polskiego powstania.

4 września pod Cyrusową Wola, na drodze ze Strykowa do Rogowa Robert Skowroński dowodzący trzecią partią łęczycką rozproszył Ro-

sjan. Potyczka ta uznawana jest jako ostatni większy sukces powstańców 1863 roku w rejonie Łodzi. Sześć dni później Skowroński poniósł klęskę pod Dalikowem i Poddębicami.

25 września powstańcy zatoczyli swoje koło swojego szlaku bojowego w rejonie Łodzi. Tego dnia pod Dobieszkowem, niedaleko Dobrej, oddział kpt. Orłowskiego został pokonany przez Rosjan.

Jak już zaznaczono od jesieni 1863 roku zakończyły się istotniejsze działania powstańców w rejonie Łodzi. Nadal jednak wielu łodzian brało udział w oddziałach walkach oddziałów operujących w Kaliskiem i Kieleckiem. Badacze dziejów Powstania Styczniowego, m.in. Stanisław Zieliński obliczyli, że na terenie przedwojennego województwa łódzkiego powstańcy 1863 roku stoczyli ogółem 286 potyczek i bitew, w większości zakończonych porażką.

REPRESJE WŁADZ ROSYJSKICH W REJONIE ŁODZI

Po klęsce powstańców pod Dalikowem i Poddębicami nie było już w rejonie Łodzi większości działań wojennych. W tej sytuacji Aleksander von Broemsen będący od lipca 1863 roku naczelnikiem „Okręgu miasta Łodzi i okolic” skoncentrował swoją uwagę na rozbudowie sys-



Uroczystość odsłonięcia tablicy upamiętniającej straconych powstańców styczniowych. Rynek Bałucki 27.01.2002 r. Uczniowie XXXV ŁO w Łodzi ze sztandarem szkoły.

temu represji wojskowych i policyjnych. Dzięki jego staraniom pod koniec września rozpoczęły działalność miejscowe komisje: wojenno-sledcza i wojenno-sądowa (sąd polowy). Jednocześnie otrzymał on prawo zatwierdzenia wyroków śmierci bez odsyłania ich w trybie rewizji do Audytoriatu Polowego w Warszawie.

Wymienione komisje działały do końca 1864 roku. Ich członkowie stosowali brutalne metody śledcze i wymierzali drakońskie kary schwytanym spiskowcom i powstańcom oraz osobom wspierającym insurgentów. Ogółem łódzki sąd wojenny wydał 17 wyroków śmierci. Większość z nich wykonano w Łodzi, gdzie powieszono Leopolda Jurczykowskiego (25.04.1863), Walentego Suchowicza (25.04.1863), Leona Tuszyńskiego (13.06.1864), Jana Żubrowicza (13.06.1864) Hipolita Gałęckiego (13.06.1864) Ignacego Skowrońskiego (28.07.1864) i Walentego Sztembera (09.09.1864). Podczas powstania byli oni żandarmami narodowymi lub wykonywali wyroki śmierci na zdrajcach.

Natomiast schwytanych dowódców partii i naczelników organizacji cywilnej oraz szeregowców i oficerów, którzy zdezerterowali z armii rosyjskiej i walczyli w oddziałach powstańczych łódzki sąd wojenny skazał na śmierć przez rozstrzelanie. Tak stracono w Łodzi Timofiej Bogdanowa (06.11.1863), kpt Jana Birtusa (08.12.1863), Ignacego Radziejewskiego (06.02.1864), Wasilija Gordiejewa (07.04.1864) i Michała Grabowskiego (04.07.1864).

W zachowanych źródłach archiwalnych i prasowych znajdują się informacje tylko o 2 miejscach 4 egzekucji. Wynika z nich że 6 listopada 1863 roku w lesie „Grabinka” (prawdopodobnie w lesie grabowym przy obecnej ulicy Łagiewnickiej, gdzie jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku zachowała się aleja obsadzona tymi drzewami) rozstrzelano T. Bogdanowa, dezertera z armii rosyjskiej walczącego później w partii powstańczej na terenie powiatu sieradzkiego.

Z całą pewnością wiadomo również, iż 13 czerwca 1864 roku na Rynku Bałuckim powieszono Leona Tuszyńskiego (majstra tkackiego, naczelnika nowomiejskiej dzielnicy organizacji spiskowej, żandarma narodowego) oraz Jana Żubrowicza i Hipolita Gałęckiego (czeladników tkackich, policjantów powstańczych).

O miejscach egzekucji pozostałych powstańców nie konkretnego powiedzieć nie można. Odnotowane ustne przekazy sugerują, że schwytanych insurgentów zazwyczaj rozstrzeliwano w rejonie obecnego ronda Powstańców 1863 roku (przy ulicach Łagiewnickiej i Inflanckiej),

a wyroki śmierci przez powieszenie wykonywano na Bałuckim Rynku.

Łódzki sąd wojenny wymierzył również wiele kar poprawczych: do rot aresztanckich wcielono kilkudziesięciu łódzian (m.in. dwóch litografów - F. Gotza i F. Zarzyckiego; kowala T. Lipińskiego oskarżonego o kucie kos dla powstańców; tkaczy J. Kozłowskiego i W. Satanowskiego). Kilkunastu mieszkańców naszego miasta skazano na osiedlenie w północnej Rosji m.in. farmaceutę R. Stencła i nauczyciela L. Falkiewicza.

Z kolei naczelnik Broemsen lubował się w nakładaniu kontrybucji na miasta i właścicieli ziemskich uznając ten administracyjny środek represji za najbardziej skuteczny wobec sprawców przewinień. W okresie swojego urzędowania w Łodzi oficjalnie ściągnął z ludności około 69 000 rubli. Nie miał jednak opinii człowieka czystych rąk.

GLORIA VICTIS

Powstanie Styczniowe wywarło wielki wpływ na umocnienie świadomości narodowej. Jego przebieg i formy walki partyzanckiej analizował J. Piłsudski, komendant główny polskich Związków Strzeleckich w Galicji, przywódca insurekcji strzeleckiej 1914 roku i Legionów Polskich. Jako Wódz Naczelny Wojska Polskiego podkreślił on w rozkazie z 21 stycznia 1919 roku: *... Dla nas żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 1863r. są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski walczącej o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy. Witam ich tym rozkazem jako naszych Ojców i Kolegów.*

W Łodzi ich daninę krwi i życia przypominają kwatery powstańcze na starym cmentarzu rzymskokatolickim przy ulicy Ogrodowej, w których spoczywają polegli, zmarli z ran i weterani insurekcji. Największa z nich, bratnią mogiłę 7 powstańców rannych w bitwie pod Dobrą i zmarłych w Łodzi, wyróżnia kamienny sarkofag nazywany często pomnikiem powstańców 1863 roku. Niedaleko tej kwatery znajdują się groby Marii i Konstantego Piotrowiczów, których miłość, działalność patriotyczna i okoliczności śmierci to gotowy materiał na romantyczną powieść lub scenariusz filmowy. W kwartale nr 24 wymienionego cmentarza znajdują się też liczne mogiły weteranów powstania.

Duchownymi opiekunami kwater powstańczych są przewodnicy PTTK i członkowie Społecznego Komitetu Uczczenia Pamięci Józefa Pił-

sudskiego, którzy popularyzują te miejsca pamięci narodowej, a w święta państwowe i kościelne oraz rocznice insurekcji organizują przy nich spotkania patriotyczne.

Od 2001 roku do grona strażników tych tradycji dołączyli działacze Łódzkiego Oddziału Związku Legionistów Polskich i Ich Rodzin. 27 stycznia 2002 roku uroczyście odsłoniли oni tablicę upamiętniającą STRACONYCH POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH, umieszczoną na frontonie budynku przy ul. Łagiewnickiej 27, w rejonie Rynku Bałuckiego.

PTTK, Piłsudczycy i Związek Strzelecki corocznie organizują rajdy i marsze na cmentarz w Dobrej, gdzie już w 1937 roku ustawiono pomnik ku czci powstańców poległych pod tą miejscowością i Dobieszkowem.

W tym miejscu należy przypomnieć ideę wystawienia w Łodzi pomnika powstańców 1863 roku przedstawioną przez Romana Kaczmarka na łamach okolicznościowego numeru czasopisma „Łódź w Ilustracji” (nr 4, 23.01.1938, s. 7) przygotowanego przez Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historycznego. Podkreślił on: ... *mamy nadzieję, że w najbliższym czasie, a najdalej na 100 rocznicę powstania styczniowego wystawi (Łódź - TB) dowód swej pieczołowitej pamięci i przywiązania do bohaterskich rycerzy Niepodległości.*



Przypisy:

1. Manifest Tymczasowego Rządu Narodowego z 22.01.1863 roku.
2. E. Rosset: Przemiany w strukturze demograficznej Łodzi. Łódź, 1973, s. 9.
3. J. Zajączkowski: Notatki z czasów powstania w r. 1863 a mianowicie w m. Łodzi i jego okolicach [w:] S. Kieniewicz: Spiskowcy i partyzanci 1863 roku. Warszawa, 1967, s.117.
4. J.K. Janowski: Pamiętniki o powstaniu styczniowym, T I. Lwów, 1923, s. 145.
5. L. Waszkiewicz: Opowieści o Piotrowiczach. Łódź, 1956.

JERZY GAŁĘBA
**KATOLICKA
WIZYTÓWKA
ŁODZI**

**PARAFIA pw. Wniebowzięcia
Najświętszej Maryi Panny**

Historia najstarszej łódzkiej parafii przy kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny na tzw. Górkach Plebańskich, (dziś - placu Kościelnym), sięga głębokich zakamarków wczesnego średniowiecza.

Wprawdzie budowa drewnianego kościoła, na tym bałuckim wzgórzu ukończona została w 1366 roku, kiedy to diecezją kierował biskup włocławski - Zbilut Galanczewski (1364-1383), jednak - niestety - nie udało się do tej pory ustalić dokładnej daty erygowania parafii. Hipotezy były rozmaite - ale większość z nich skłaniała się do przypuszczenia, że nastąpiło to przed złożeniem dymisji z kierowania archidiecezją gnieźnieńską przez tracącego wzrok abpa Jarosława Bogoria Skotnickiego (1342-1371). Jej proboszczem jest teraz ks. Józef Masłowski.

Późniejszy - tzw. stary drewniany kościół wzniesiony został w tym miejscu w latach 1765-1768 na solidnym, murywanym fundamencie.

Miał 35 łokci długości i o połowę węższą szerokość (łokieć - ok. 0,5 m). Jego

dach pokryty był gontem. Na środku wznosiła się wieżyczka kryjąca sygnaturkę. Do świątyni prowadziły trzy wejścia. Główne - przez kruchtę, zaś boczne - od strony południowej oraz zakrystii, która znajdowała się z tyłu ołtarza głównego.

W latach 1835-1837 kościół został wydłużony i oszalowany. Rozbudowę uzupełniono późniejszym remontem wnętrza, przeprowadzonym w latach 1838-1839.

Dzięki tym zbiegom cały obiekt zupełnie zmienił swój wygląd. Miał teraz w sumie 11 okien. Mierzył 51 łokci długości oraz 16 łokci szerokości. Wieża została pokryta blachą i pomalowana na czerwono. We wnętrzu znajdowało się 5 ołtarzy. W głównym - umieszczony został słynący łaskami obraz Matki Boskiej Wniebowzięcia. W ołtarzach bocznych znajdowały się wizerunki św. Anny, św. Józefa, Pana Jezusa na Krzyżu i Matki Boskiej Różańcowej. Mensy ołtarzowe były drewniane. Z kruchty prowadziły schody na podest chóru, z 12-głosowymi organami - odrestaurowanymi w 1882 roku. Zakrystię pozostawiono bez zmian - z jednym tylko oknem. Na dziedzińcu, ogrodzonym drewnianym płotem, stała drewniana dzwonnica. W 1881 roku kościół znowu został powiększony. Prezbiterium poszerzono o dawną zakrystię, zaś nową - wraz z przedsionkiem - dobudowano na lewo od ołtarza głównego. Po prawej stronie - znalazła się kaplica chrzcielna, gdzie umieszczono również konfesjonał. W takim stanie, drewniany kościół przetrwał do kwietnia 1888 roku.



Widok z ulicy Lutemiejskiej w perspektywie lat 20-tych minionego stulecia.

foto: archiwum



Dobra łódzkie, stanowiące własność książęcą, jeszcze przed 1332 roku przypadły biskupom włocławskim. Od początku XV wieku obowiązywały tu królewskie prawa miejskie. Natomiast pod względem jurysdykcji kościelnej Łódź nadal znajdowała się w granicach archidiecezji gnieźnieńskiej.

Dokumenty, na które powołuje się Marek Budziarek - opisujący cudowny obraz Matki Boskiej Miłosierdzia w ołtarzu głównym kościoła - wskazują, że parafia Wniebowzięcia NMP weszła w skład diecezji włocławskiej 9 maja 1765 roku, zaś po upływie kolejnych 53 lat - od 30 czerwca 1818 roku zaczęła egzystować w granicach archidiecezji warszawskiej.

Dopiero po dalszych 100 latach - pod koniec 1920 roku - Łódź stała się stolicą samodzielnej prowincji kościelnej w Polsce.



- Nie mamy w całym kraju miasta, które by tyle co Łódź zawdzięczało przemysłowi, które by przez przemysł z zupełnego zapomnienia, z zupełnej nicości podniosło się na stopień zamożności i rozwoju - napisał ks. Piotr Zwoliński w swej pracy „Dzieje parafii Wniebowzięcia NMP na tle rozwoju Łodzi” cytując wydany w 1853 roku „Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym” autorstwa O. Flatta.

Jednocześnie też zastrzegł, że Flatt pisząc te słowa w połowie XIX wieku nie przypuszczał, że najlepsze lata rozwoju Łódź ma dopiero przed sobą.

Wskaźnikiem szybkich, korzystnych zmian - był bowiem dla miasta m.in. jego wzrost demograficzny. Ówczesne statystyki podają, że w ciągu 100 lat liczba ludności zwiększyła się w Łodzi niemal 1000-krotnie. Na przełomie XIX i XX wieku nasze miasto nie miało w kraju pod tym względem żadnego odpowiednika. Dość powiedzieć, że w latach 90-tych XIX stulecia łódzkie tempo przyrostu ludności było niespotykane w całej Europie.

Dawało się porównywać jedynie z rozwojem największych aglomeracji Stanów Zjednoczonych Ameryki.



Na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego z 1815 roku - Łódź znalazła się w obrębie Królestwa Polskiego. Wchodziła w skład obwodu łęczyckiego i należała do województwa mazowieckiego. Rząd Królestwa Kongresowego z ministrem spraw wewnętrznych - Tadeuszem Mostowskim, ministrem skarbu - Ksawerym Druckim-Lubeckim, dyrektorem Wydziału Przemysłu - Stanisławem Staszicem oraz marszałkiem Sejmu Królestwa Polskiego - Rajmundem Rembierińskim podjął starania zmierzające do ożywienia życia gospodarczego m.in. przez zorganizowanie przemysłu włókienniczego.

To właśnie ci ludzie byli twórcami przyszłego wizerunku miasta, zwanego „ziemią obiecaną” albo polskim Manchesterem.

Ogromny i chłonny rynek dla łódzkich wyrobów bławatnych miało stanowić całe Imperium Rosyjskie oraz Chiny. Rządowy program rozwoju polskiego przemysłu opierał się na osadnictwie zagranicznych fachowców-rękodzielników w wytypowanych miastach.

Władze Królestwa udzieliły pełnomocnictwa do organizowania na terenie miasta przemysłu włókienniczego marszałkowi Rembierińskiemu - ówczesnemu prezesowi Komisji Województwa Mazowieckiego.



foto: archiwum

Kościół św. Józefa. do 1910 r. świątynia filalna parafii Wniebowzięcia NMP.

Od 1823 roku zaczęły więc napływać do Łodzi - tej reymontowskiej „ziemi obiecanej” fale pierwszych sukienników, zakładających tutaj swoje warsztaty tkackie. Sprzyjające warunki osadnicze sprawiły, że w latach 1821-1830 liczba ludności wzrosła do 4 343 osób.

Tkacze napływali z Prus, Saksonii i Czech. Wielu z nich pochodziło z ziem polskich zaboru pruskiego. Choć w większości byli Polakami - to granice Królestwa przekraczali z paszportami niemieckimi i traktowani byli przez władze administracyjne jako Niemcy.

Właśnie takie upolitycznione decyzje sprawiły, że na przestrzeni lat oficjalne statystyki różnie podawały liczbę ludności polskiej i niemieckiej w Łodzi, często zawyżając dane - zwłaszcza dotyczące osób pochodzenia germańskiego.

Razem ze zróżnicowaniem narodowościowym - w obrębie samej Łodzi jak też okolicznych miejscowości - wiązało się zróżnicowanie wyznaniowe.

W 1820 roku gmina żydowska liczyła 259 osób. Stanowiło to wówczas trzecią część ludności w mieście. W latach 1848 - 1857 liczba Żydów zwiększyła się do 3 000 co oznaczało ok. 11% mieszkańców. W połowie lat 70-tych XIX wieku liczba ludności żydowskiej jeszcze bardziej wzrosła, sięgając w skali miasta 26% ogółu mieszkańców.

Po wejściu w życie dekretu wprowadzającego Łódź w poczet miast fabrycznych oraz napływie rękodzielników, zwiększył się w także procent ewangelików.

Pod koniec lat 20-tych XIX stulecia stanowili oni trzecią część mieszkańców. W tym samym czasie w Łodzi było prawie dwa razy więcej katolików. Natomiast w drugiej połowie lat 30-tych liczby te niemal zrównały się, ponieważ ewangelicy stanowili 41-45% ogółu ludności, a katolicy 42-47%.

Na przełomie XIX i XX stulecia wśród ludności napływowej nastąpił wyraźny wzrost liczby katolików. Dość powiedzieć, że przed wybuchem I wojny światowej było ich w Łodzi 51%, zaś liczba ewangelików sięgała 25%, Żydów było 23%, a prawosławni stanowili - według ówczesnych statystyk - 1% ogółu mieszkańców. W tym czasie zdarzały się także - dość liczne - przypadki przechodzenia na katolicyzm osób z innych wyznań.

Z opatrzonego datą 15 sierpnia 1871 roku listu ks. Ignacego Nowickiego do Konsystorza Generalnego wynika, że od pewnego czasu zgłaszali się do niego ludzie wyznania mojżeszowego i ewangelickie-

go z prośbą o przyjęcie na łono Kościoła katolickiego. Autor tego listu zwracał się więc do Konsystorza, aby zajął jednoznaczne stanowisko w tej sprawie.



W połowie XIX stulecia Łódź zamykała się w granicach wyznaczonych na północy przez wieś Bałuty. Na zachodzie - przez ulice Wólczarńską i Kątną. Na południu miasto opierało się o majątek Chojny i wieś Rokicie w rejonie dzisiejszego placu Niepodległości. Natomiast na wschodzie - wybiegało poza ulicę Przędzalnianą wzdłuż wsi rządowych Zarzew i Widzew, sięgając alei Mickiewicza oraz placu Zwycięstwa. Stamtąd zaś granica kierowała się ku - ulicom Kilińskiego oraz Rewolucji 1905 roku.



Wzniesiony w głębokim średniowieczu modrzewiowy kościół na Górkach Plebańskich zastąpiony został w połowie XVIII stulecia nową drewnianą świątynią. Proboszczem był wówczas ks. Jan Siemiec.

Do 1885 roku świątynia Wniebowzięcia NMP była jedynym łódzkim kościołem parafialnym.

Obejmowała cały obszar miasta wraz z przyległymi wioskami. Arcybiskup metropolita warszawski - Wincenty Teofil Chościak-Popiel - na podstawie oficjalnego zezwolenia władz rządowych - rozdzielił obszar tej parafii aktem erekcyjnym z 24 stycznia 1885 roku i dokładnie określił granice z nowo utworzoną, sąsiadującą parafią pw. Podwyższenia Św. Krzyża (przy zbiegu dzisiejszych ulic Sienkiewicza i Tuwima).

Linia podziału przebiegała ulicami Zawadzką oraz Południową (obecnie: Próchnika i Rewolucji 1905 r.) rozcinając miasto na dwie części.

Była to zarazem południowa granica parafii Wniebowzięcia NMP, obejmująca także ówczesne wsie: Bałuty, Stary i Nowy Brus, Doły, Manię, Marysin, Radogoszcz, Rogi, Rószczki, Żubardz oraz Żabieniec.

Podział łódzkiej parafii był znacznym osiągnięciem duszpasterskim, jednak - zdaniem miejscowych księży - nie wystarczał do zapewnienia należytej opieki duchowej. Od chwili rozpoczęcia budowy nowego kościoła do czasu erygowania parafii, liczba ludności miejskiej wzrosła wie-

lokrotnie. Już w momencie podziału wiadomo było, że dla wielkiej liczby wiernych oba kościoły są zbyt ciasne. Z tych powodów ks. Jan Siemiec rozpoczął starania o wybudowanie nowej, dużej świątyni. Drewniany kościółek był obliczany na 500-600 osób. Tymczasem w niedziele i święta przychodziło na nabożeństwa cztery razy więcej - ok. 2 000 wiernych. Postanowiono więc wybudować odpowiednio większą świątynię murowaną.

Architekt miejski - akademik Hilary Majewski oficjalnie wyraził przy tej okazji opinię, że: *nowy kościół powinien przedstawiać się jak najokazalej, by należycie spełniał cel służby Bożej*. Gubernator piotrkowski udzielił pozwolenia na budowę w miejscu istniejącego starego kościoła parafialnego. Ten stary, drewniany kościół miał być rozebrany po obudowaniu go murami nowo powstającej świątyni.

Jednak dzięki staraniom Rady Parafialnej udało się przekonać władze, że stary kościół należy przenieść w inne miejsce, aby do momentu zakończenia prac budowlanych przy nowej świątyni mógł służyć jako kaplica. W marcu 1888 roku uzyskano zgodę na nową lokalizację.

Za najodpowiedniejsze miejsce uznano stary, zamknięty już cmentarz przy drodze prowadzącej do Retkini - między dzisiejszymi ulicami: Ogrodową, Legionów, Gdańską i Zachodnią.

Wznoszenie nowej świątyni zostało rozpoczęte na podstawie projektu arch. Konstantego Wojciechowskiego, budowniczego wielu obiektów sakralnych w diecezji płocko-kaliskiej. Poświęcenie kamienia węgielnego i fundamentów przez abpa warszawskiego - Wincentego Teofila Chościak-Popiela odbyło się 21 maja 1888 roku. Dzięki składkom parafian oraz hojnym ofiarom bogatych fabrykantów - m.in. Karola Scheiblera, Izraela Poznańskiego, Juliusza Kunitzera wybudowany został kościół - w tzw. „stylu nadwiślańskim” z bogatą architekturą oraz równie bogato wyposażonym wnętrzem. Istotne znaczenie dla szybkiego tempa robót miało również głębokie zaangażowanie robotników, pracujących na placu budowy także nocami.

Kościół o długości 94 i szerokości 35 łokci został konsekrowany i udostępniony wiernym w 1897 roku przez biskupa sufragana warszawskiego - Kazimierza Ruszkiewicza.

W październiku 1889 roku proboszczem parafii został ks. Karol Szmidel - znawca sztuki sakralnej, który ukończył prace przy budowie oraz wystroju wnętrza świątyni. W myśl zarządzenia władz carskich - stary kościół miał być rozebrany zaraz po ukończeniu budowy nowego.

Warto też podkreślić, że w owym czasie religia katolicka w Łodzi spotykała się ze zdecydowanymi represjami. Obowiązywał zakaz wznoszenia nowych kościołów i kaplic. Wspomniana świątynia - jak podaje ks. Piotr Zwoliński - być może dlatego miała być rozebrana, że chodziło o zlikwidowanie obiektu pamiętającego czasy swobodnego śpiewania narodowych pieśni religijnych i składania przysięgi powstańców.

Aby nie dopuścić do rozbiórki - jeszcze przed ukończeniem budowy nowego kościoła - członkowie nadzoru technicznego użyli pewnego wybiegu - wspomina w bezpośredniej rozmowie emerytowany ks. Alfred Mikołajewicz z parafii pw. Św. Józefa przy ulicy Ogrodowej, gdzie rozebrany kościółek został w ciągu 30 dni zrekonstruowany z wielką pieczołowitością.

Otóż do cara w Petersburgu wysłane zostało wiernopoddane pismo z prośbą o zezwolenie na umieszczenie w zabytkowym kościółku obrazu św. Mikołaja dla upamiętnienia cudownego ocalenia oraz troskliwej opieki, jakiej doznał następca tronu podczas podróży do Japonii.

Oczywiście prośbę rozpatrzono pozytywnie dając odpowiedź na piśmie, co uratowało stary kościółek od zagłady. W takiej sytuacji carski gubernator w Piotrkowie Trybunalskim nie miał nic do powiedzenia - kończy ks. Mikołajewicz.



Jednak w momencie rozpoczynania robót budowlanych przy wznoszeniu nowej świątyni, okazało się, że - z praktycznego punktu widzenia - nie jest możliwe ich normalne kontynuowanie prac bez naruszenia konstrukcji starego, drewnianego kościoła parafialnego. Dlatego też, mając na względzie potrzeby duchowe parafii - liczącej w owym czasie blisko 30 000 wiernych - już 10 kwietnia 1888 roku przystąpiono do rozbiórki i przewożenia poszczególnych elementów na miejsce wspomnianego, zamkniętego od ponad 30 lat cmentarza przy ulicy Ogrodowej, gdzie równocześnie rozpoczęto murowanie fundamentów z 35 000 cegieł, które ufundował przedsiębiorca o nazwisku Meyer. Roboty ciesielskie postępowały bardzo szybko - tak, że już 10 maja 1888 roku kościół został w całości zrekonstruowany. Całość pomalowano i oszalowano. Na chórze zamontowano prawie nowe, 12-głosowe organy, które zakupiono za 800 rubli.

Zmienił się też profil architektoniczny bryły. Sygnaturkę bowiem przeniesiono ze środka dachu na front. Gonty zastąpiono papą, zaś prezbiterium zostało powiększone i podwyższone. Łuk poprzeczny, zasłaniający ołtarz, zastąpiono żelaznym prętem. Otoczenie nowo wznoszonego kościoła zostało uporządkowane. Posadzono 1 500 drzewek, które były darem rodziny Scheiblerów. Dla wiernych ustawiono ławki na zewnątrz oraz wybrukowano ulicę i plac na dziedzińcu - przed frontem. We wnętrzu ustawiono trzy ołtarze. Główny - został rozszerzony i podwyższony. Ozdobiony był teraz figurą Św. Józefa - patrona robotników - którą zasuwano obrazem Serca Pana Jezusa. Pod ołtarzem znajdowała się figura Pana Jezusa w grobie. W lewym, bocznym ołtarzu zawieszono - ozdobiony wotami - obraz Matki Boskiej Bolesnej w srebrnej sukience, który zasłaniany był obrazem św. Anny. W prawym ołtarzu znajdował się obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego.

Poświęcenie kościoła pw. św. Józefa odbyło się 6 maja 1888 roku - z upoważnienia władzy archidiecezjalnej - przez proboszcza staromiejskiego ks. Jana Siemca, który tego dnia odprawił pierwsze nabożeństwo. Arcybiskup warszawski - Wincenty Teofil Chościak-Popiel wizytował odrestaurowany kościół dwa tygodnie później - 21 maja 1888 roku. Przez kolejne 22 lata - do 1910 roku, była to świątynia filialna parafii Wniebowzięcia NMP.

Warto przy okazji wspomnieć, że filią tejże parafii był także, zbudowany w latach 1906-1907 według projektu inż. arch. Kazimierza Sołowskiiego, jednonawowy kościół murowany. Zgromadzenia Synów Matki Boskiej Bolesnej - czyli braci Dolorystów. Kościół ten został poświęcony w listopadzie 1907 przez ks. Franciszka Szamotę.

Parafię pw. Dobrego Pasterza erygowano przy tym kościele 5 sierpnia 1951 roku.



Do czasu oficjalnego utworzenia parafii staromiejskiej - posługę duszpasterską pełnili w kościele na Górkach Plebańskich - specjalnie mianowani rektorzy. Pierwszym proboszczem był ks. Gruchalski, który m.in. dobudował kruchtę. Abp warszawski - Wincenty Teofil Chościak-Popiel wydał dekret z datą 29 XII 1909 roku o utworzeniu samodzielnej parafii, która zaczęła funkcjonować już po dwóch dniach - z początkiem następnego roku. Pierwszym proboszczem został ks. Henryk Przeździecki, późniejszy biskup podlaski, sprawujący swe obowiązki do 1918 roku.

Równo 100 lat wcześniej - w 1818 roku - w momencie włączenia parafii łódzkiej do archidiecezji warszawskiej, proboszczem w kościele Wniebowzięcia NMP był ks. Czerwiński, który wśród wiernych nie cieszył się ani autorytetem ani zbytnią popularnością ze względu na swoje daleko posunięte skłonności pijackie oraz nagminne zaniedbywanie obowiązków duszpasterskich.

Już w roku 1819 burmistrz miasta oficjalnie wystąpił do komisarza obwodu łęczyckiego o zmianę proboszcza. W rezultacie - został nim ks. Franciszek Zengeteller, który w dziejach parafii zapisał się pozytywnie - zarówno uporządkowaniem cmentarza jak też remontem kościoła.

Od 1828 roku proboszczem w Łodzi był ks. Józef Krieger. To właśnie dzięki jego staraniom w latach 1835-1836 kościół został powiększony i oszalowany.

Po wybuchu Powstania Listopadowego ks. Krieger odczytał z ambony - na polecenie Komitetu Obywatelskiego w Łęczycy - odezwę Rządu Tymczasowego datowaną 13 XII 1830 roku. Zgodnie z poleceniami tego dokumentu utworzono w parafii tzw. straż bezpieczeństwa - liczącą 300 osób.

W 1843 roku wyniknął problem obsady łódzkiego probostwa, ponieważ ks. Józef Krieger został przeniesiony do Piątku. Do momentu oficjalnego wręczenia nominacji, czynności administratora parafii pełnił jego rodzony brat - ks. Stanisław Krieger.

Zarówno miejscowi Niemcy jak i Polacy złożyli do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych odrębne memoriały z prośbą o mianowanie swoich kandydatów. Polacy proponowali dotychczasowego wikariusza parafii - ks. Ksawerego Żaka, natomiast Niemcy wystawili ks. Stanisława Kriegera. Administrator diecezji chcąc uniknąć podzielenia ludności parafialnej, pominął obie kandydatury proponując kapłana diecezji płockiej - ks. Jana Radzikowskiego.

Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych, do której należał głos decydujący - wyraziła formalny sprzeciw, ponieważ proponowany kandydat uczestniczył w Powstaniu Listopadowym jako kapelan wojskowy. Wobec takiego obrotu sytuacji - Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych przekazała kwestię do zbadania Zarządowi Warszawskiego Gubernatora Wojskowego.

Zespół ten jednak wyraził przekonanie, że kapelani wojskowi powoływani byli przez władze powstańcze częstokroć bez oficjalnie wyrażonej osobiście zgody, a zachowanie ks. Radzikowskiego nie budzi-

ło pod względem politycznym żadnych podejrzeń. Jednak w tym czasie ks. Radzikowski sam zrezygnował z objęcia parafii. Wówczas - już bez żadnych przeszkód natury politycznej - mianowano proboszczem Łodzi w 1846 roku ks. Henryka hr. Platera, który w 1859 roku został biskupem sufraganiem łowickim - tak bowiem zwyczajowo nazywano rezydującego w Łowiczu biskupa pomocniczego warszawskiego. Funkcję proboszcza łódzkiego powierzono wówczas ks. Wojciechowi Jakubowiczowi, który wcześniej był prefektem w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych oraz wikariuszem parafii św. Aleksandra w Warszawie.



W okresie przed powstaniem 1863 roku w łódzkiej konspiracji działali księża Józef Czajkowski i Augustyn Zalewski, którzy m.in. odbierali przysięgi składane przez nowo wstępujących do patriotycznego związku podziemia, obejmującego swym zasięgiem cały kraj.

Podczas Powstania Styczniowego - 22 lutego 1863 roku do Łodzi wkroczył oddział partyzancki, liczący ok. 500 żołnierzy, serdecznie przyjmowany przez mieszkańców. Jego dowódcą był dr Dworaczek. Na granicy miasta powstańcy byli powitani przez proboszcza - ks. Wojciecha Jakubowicza w asyście licznych grup członków poszczególnych bractw kościelnych i cechów rzemieślniczych z chorągwiami. Oddział ten został w dwa dni później rozbity przez kawalerię rosyjską w bitwie pod Dobrą. W rocznicę tej bitwy - ks. Wojciech Jakubowicz odprawił nabożeństwo za poległych, zaś w odwecie - władze zaborcze obłożyły grzywną każdego z wiernych, zgromadzonych tłumnie na tej mszy.

Nie był to jednak koniec represji. W lutym 1864 roku aresztowano ks. Wojciecha Jakubowicza za namawianie ludności do wystąpień powstańczych i zesłano do Jąrdynia w guberni kazańskiej. Jednak mimo tego rodzaju szykan, wikariusz - ks. Józef Czajkowski, który w chłopskim przebraniu przemierzał w tym celu wsie powiatu łęczyckiego - nadal próbował podrywać ludność do walki.

Po stłumieniu powstania, w parafii rozpoczęła się - co prawda ukryta, ale ostra - walka polityczna. Konflikt wywołała również kwestia obśadczenia probostwa łódzkiego, wakującego po zesłaniu ks. Jakubowicza. Obowiązki administratora parafii w tym czasie sprawował nominalnie dziekan zgierski - ks. Gabrjelski, zaś faktycznie funkcję probosz-

cza pełnił wikariusz - ks. Augustyn Zalewski, który naraził się licznej grupie parafian, ponieważ czynił przeszkody przy zawieraniu małżeństw mieszanych. Kandydatura ta wywołała sprzeciw katolików niemieckich, wysuwających ks. Feliksa Wabnera - prefekta gimnazjum niemieckiego w Łodzi. Jednakże proboszczem i dziekanem łódzkim został dotychczasowy dziekan zgierski - ks. Gabrjelski, który już w kwietniu 1868 roku złożył na ręce dyrektora Głównej Komisji Spraw Wewnętrznych i Duchownych - Muchonowa - podanie o ponowne przeniesienie do parafii w Zgierzu. Z podobną prośbą zwrócił się też do administratora archidiecezji warszawskiej, tłumacząc, że nie jest w stanie sprostać obowiązkom proboszcza łódzkiego ze względu na podeszły wiek i słaby stan zdrowia. Pisał, że praca duszpasterska w Łodzi jest trudniejsza niż w Zgierzu z uwagi na duże zróżnicowanie narodowościowe. W parafii mieszkało wówczas 16 000 katolików i ponad drugie tyle ludności innych wyznań. Trudności nastroczały też znaczne odległości oraz skromne warunki mieszkaniowe.

W 1872 roku kiedy atmosfera polityczna rozluźniła się, prałat Zwołński przychylił się do kolejnej prośby ks. Gabrjelskiego i zwolnił go z zajmowanego stanowiska, przenosząc z powrotem do Zgierza. Proboszczem łódzkim oraz dziekanem tegoż dekanatu został ks. Ludwik Dąbrowski, którego kandydatura uzyskała aprobatę władz rosyjskich 7 marca 1872 roku



W marcu 1873 roku w parafii łódzkiej - dosyć rozległej i liczącej wówczas 20 000 wiernych - pracowało tylko czterech księży. Problemem były odległości, jakie trzeba było pokonywać przy wypełnianiu codziennych obowiązków duszpasterskich. Miasto było bowiem rozciągnięte na siedmiu i pół wiorstach długości (ok. 8 km). Zarówno sam proboszcz jak i wikariusze mieli do obsługi szkoły elementarne i rzemieślnicze, posługę u chorych w domach i szpitalach - nie wspominając już o licznych pogrzebach, chrztach i ślubach. Dlatego już w połowie XIX wieku proboszcz łódzki zwracał się do władz rządowych o przyznanie mu dodatkowych funduszy na utrzymanie koni, bez których poruszanie się księży w tak rozległej parafii było bardzo uciążliwe. Swoją kolejną prośbę proboszcz motywował tym, że nie jest w stanie utrzymywać koni z własnych dochodów.

Przez 80 lat uposażenie proboszcza parafii łódzkiej nie zmieniło się - a obowiązki i wydatki wzrosły wielokrotnie.

Decyzją Komisji Rządowej Wyznania i Oświecenia Publicznego w Warszawie przyznano proboszczowi w 1861 roku 300 rubli z Kasy Miejskiej rocznie.



Katolicy łódzcy wykazywali w okresie budowy nowego, murowanego kościoła głębokie przywiązanie do wiary i polskości. To właśnie dzięki ich staraniom, jak również dzięki ofiarom bogatych fabrykantów - którzy w większości nie byli katolikami - mógł powstać w rekordowo krótkim czasie okazały kościół - reprezentacyjny dla ówczesnej Łodzi.

W tym czasie oprócz kolejnych proboszczów: ks. Jana Siemca, który funkcję tę sprawował do 27 września 1889 roku i ks. Karola Szmidla - w parafii pracowało wielu wikariuszy: ks. Fiatkowski, ks. Piotrowski - mianowani w kwietniu 1887 roku, od marca 1888 roku - ks. Wacław Wyrzykowski, od września 1888 roku - ks. Jan Kasiński.

W marcu 1889 roku mianowany został ks. Herman Schmidt. W czerwcu 1889 roku ks. Stanisław Wiśniewski zastąpił ks. Jana Kasińskiego. W sierpniu 1890 roku ks. Ludwik Chyłkowski zastąpił ks. Wyrzykowskiego. Pracowali również ks. Marcin Gruchalski, który zastąpił w listopadzie 1890 roku ks. Schmidta a także księża: Sobolewski, ks. Regulski, ks. Jan Soltyszewski. W związku z dużą rotacją księży pracujących w parafii staromiejskiej, nie sposób wymienić po kolei wszystkich wikariuszy pełniących tam obowiązki - wyjaśnia ks. Piotr Zwołński. W 1902 roku proboszczem parafii Wniebowzięcia NMP został ks. Franciszek Szamota.

Na lata jego duszpasterzowania w parafii staromiejskiej przypadały największe strajki oraz rozruchy - jakie miały miejsce w historii Łodzi. Następny proboszcz parafii staromiejskiej - ks. kanonik Antoni Gniazdowski równocześnie piastował funkcję dziekana łódzkiego. W okresie I wojny światowej i tuż po jej zakończeniu proboszczem parafii był ks. Seweryn Popławski. Nominację otrzymał w październiku 1915 roku, jednak swe obowiązki zaczął pełnić od początku 1916 roku, a zakończył je w lipcu 1919 roku. W czasie jego pracy gwałtownie zmniejszyła się liczba mieszkańców Łodzi, bo w mieście panował głód i epidemie. Racje żywnościowe przypadające na osobę były niewielkie i nie wystarczały aby żyć, choć - jak ironicznie mówiono - były wystarczające, by nie

umrzeć. Z pomocą przychodziły organizacje charytatywne, które istniały przy parafii Wniebowzięcia NMP, nie pomijając Towarzystwa Różańca Św., Towarzystwa Wstrzemięźliwości, Serca Jezusowego oraz Towarzystwa Śpiewaczego.

Proboszcz i jego współpracownicy - księża wikariusze, dali się w tym okresie poznać jako znakomici duszpasterze i społecznicy. Z listu wysłanego 2. IV. 1916 roku przez ks. Popławskiego do Konsystorza Archidiecezji Warszawskiej wynikało, że parafię położoną w dzielnicy żydowskiej zaliczano do najbiedniejszych w Łodzi ze względu na ubogą ludność zamieszkującą jej teren. Ludność ta wymagała od duchowieństwa szczególnej opieki i posługi. Liczba pięciu księży była zupełnie niewystarczająca do prowadzenia właściwej pracy duszpasterskiej.

Od 1915 roku przy parafii istniała ochronka, w której 400 dzieci pobierało naukę i otrzymywało posiłek. Była też tania kuchnia, w której 2 000 ludzi korzystało z codziennych obiadów. W ostatniej fazie przygotowań znajdowała się też kolejna kuchnia, w której mogłoby się posilać 2 000 dzieci, a otrzymywało w niej śniadania już 500 dzieci „szczególnie wynędzniałych”.

Ks. Popławski pisał o niesłychanych trudnościach przy zdobywaniu artykułów spożywczych oraz o uciążliwej rachunkowości, którą prowadził osobiście. Dawał też świadectwo o swoich współpracownikach, pisząc m.in., że: *ks. Szufladowicz z nadzwyczajną przemyślnością i gorliwością zarządza taną kuchnią, natomiast ks. Świetliński wybornie i z dużą roztropnością prowadzi ochronkę. Wspominał też o księżach Wojdasie i Merklejnie, którzy: z wielkim poświęceniem przeszli ciężkie chwile bitew łódzkich. Wszyscy wikariusze mimo wielu innych obowiązków, nauczali religii w wymiarze 18 godzin tygodniowo. Proboszcz prosił władzę diecezjalną o zwiększenie liczby księży prefektów w Łodzi, bądź wikariuszy, których głównym źródłem utrzymania była praca dydaktyczna w szkołach.*



Nieco wcześniej - pierwszym działaczem charytatywnym był ks. Ludwik Dąbrowski, który skupił wokół siebie wiele osób z łódzkiego laikatu. Najwybitniejszym z grona tych działaczy był baron Juliusz Heinzel.

Od 1877 roku rozpoczęto starania o utworzenie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Opieki nad Najuboższymi. W 1896 roku oddano do

użytku przytułek dla biednych oraz zorganizowano noclegownię dla bezdomnych w budynku przekazanym przez wojsko. Znaczącą inicjatywą było przekazanie do użytku w 1902 roku istniejącego do dziś dnia zakładu leczniczego dla psychicznie chorych w Kochanówce. Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności dawało też zapomogi, a w czasie strajków zajmowało się wydawaniem tanich obiadów. Praca charytatywna ks. Popławskiego i jego współpracowników przyniosła imponujące rezultaty. W 1917 roku w parafii istniały już 3 tanie kuchnie, w których codzienne posiłki otrzymywało w sumie 7 000 ludzi.

Po ks. Sewerynie Popławskim proboszczem został ks. prałat Wacław Wyrzykowski, sprawujący te funkcję do 24 sierpnia 1920 roku. Wówczas to, na mocy rozporządzenia kard. Aleksandra Kakowskiego, proboszczem tej parafii został o. Stanisław Mieloch - kapłan Towarzystwa Jezusowego.

Jezuici bowiem 14 lipca tegoż roku wystosowali do kard. Kakowskiego list, w którym zaofiarowali się podjęcia pracy duszpasterskiej w Łodzi w charakterze misjonarzy. Zdawali sobie dokładnie sprawę ze specyfiki tego wielowyznaniowego miasta, które przestało już być w tym okresie „ziemią obiecaną”.

W momencie przekazywania staromiejskiej parafii księżom jezuitom - poza kościołem, plebanią i wikariatką, w składzie dóbr materialnych były także 4 morgi ziemi ornej, 2-morgowy ogród warzywny, plac przy ulicy Brzezińskiej nr 8, oraz zabudowania gospodarcze - stajnia, obora i szopa.

Władza diecezjalna, a także przedstawiciele parafii uzgodnili, że ziemia orna i plac mogą być sprzedane bądź użytkowane na korzyść przyszłej diecezji łódzkiej.



Okres I wojny światowej przyniósł ze sobą - poza przejściowym wydłuznieniem miasta - dramatyczne wręcz zubożenie pozostałych mieszkańców i upadek obyczajów. Teren bałuckiej parafii zamieszkiwało w latach dwudziestych ok. 70 000 wiernych. Ludzie przybywali z okolicznych wsi, by podjąć pracę w fabrykach. Wyrwani z dotychczasowego środowiska, zagubili się w wielkim mieście. W rodzinach robotniczych pracowali wszyscy - łącznie z dziećmi.

Duszpasterstwo parafialne właściwie nie należało do profilu prac

jezuitów. Zezwolenie na prowadzenie parafii Wniebowzięcia NMP wydała Stolica Apostolska jedynie na okres 10 lat. W 1930 roku parafia ponownie znalazła się w rękach księży diecezjalnych. Bp Wincenty Tymieniecki, doceniając owocność pracy zakonu - nie tylko na terenie parafii staromiejskiej, ale i całej Łodzi - zaproponował oddanie jezuitom pomariawickiego kościółka Niepokalanego Poczęcia NMP przy ulicy Curie-Skłodowskiej dopóki nie wystawią własnej świątyni.



Podczas okupacji hitlerowskiej Łódź znalazła się w obrębie tzw. Kraju Warty. Z początkiem 1940 roku, kiedy okupanci wydzielili z północnej części miasta teren pod przyszłe getto żydowskie - parafia staromiejska znalazła się poza obrębem aryjskiej części miasta. Księża musieli opuścić swoją placówkę. Jednakże ówczesny proboszcz - ks. Hipolit Pyszyński wydał w styczniu 1940 roku polecenie wikariuszom, aby osiedlili się w pobliżu getta. Murowany kościół został przez hitlerowców ograbiony, zamknięty - a następnie zamieniony na magazyn wojskowy. Mieścił się tam m.in. skład rzeczy zagrabionych Żydom oraz pierze i sprzęt przeciwpożarowy. W maju 1941 roku gestapo zarekwirowało dzwony kościelne, ufundowane przez parafian w latach 1922-23. W czasie wojny uległa dewastacji znaczna część wyposażenia świątyni - w tym ołtarze i witraże. Sprowadzone w 1892 roku z Wiednia 31-głosowe organy wywieziono w nieznanym kierunku.

Kościół wraz z budynkiem wikariatki, w którym mieścił się posterunek policji kryminalnej - stał się niemyym świadkiem eksterminacji narodu żydowskiego.

W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu uporządkowano zdewastowaną świątynię dzięki staraniom proboszcza ks. Romana Rajcherta.

W latach 1946-1962, kiedy funkcję proboszcza pełnił ks. Bolesław Żukowski, wykonano konieczne remonty - m.in. wymieniono więźbę dachową, zmieniono jego pokrycie, a także zakupiono nowe sprzęty - w tym 5 dużych konfesjonałów.



Oglądany dziś murowany Kościół pw. Wniebowzięcia NMP jest trzecią z kolei świątynią najstarszej parafii łódzkiej pod tym wezwaniem. Trzynawowa bryła wzniesiona została na planie krzyża łacińskiego, we wspomnianym wcześniej stylu neogotyku nadwiślańskiego z czerwonej cegły - nie krytej tynkiem. Ściany zewnętrzne przyozdobiono systemem skarp i wnęk, a wewnętrzne ściany nawy głównej zwieńczone zostały w górze ażurową balustradą i sterczynami. Od frontu kościół ma dwie wysokie wieże. Pośrodku dachu jest mała wieżyczka na sygnaturkę. Do świątyni prowadzą od frontu trzy wejścia zakończone ostrołukowymi portalami i podobne w stylu dwa wejścia boczne oraz drzwi do zakrystii. Wnętrze i całe jego wyposażenie zostało urządzone w stylu gotyckim. Pierwsza polichromia - z 1899 roku była dziełem artysty malarza Strzałeckiego. Architekt - Konstanty Wojciechowski zaprojektował w 1895 roku ołtarz główny, w którego nastawie znajduje się zdobiony obustronnie tryptyk gotycki. Rzeźby ołtarza zostały wykonane przez Antoniego Panasiuka.

W kaplicy Matki Bożej umieszczony jest wzorowany na wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej obraz Matki Bożej Łódzkiej. Narosło wokół niego wiele legend, które jednak nie określają momentu kiedy pojawił się w Łodzi, ale za to ściśle uwydatniają współistnienie miasta i obrazu. Pierwsza pisana wzmianka o tym obrazie datowana jest 11 kwietnia 1718 roku i została umieszczona w sprawozdaniu z wizytacji kościoła oraz parafii. Napisano w niej, że w ołtarzu głównym umieszczony jest obraz Matki Boskiej uchodzący za cudowny. Relacja ta zdaje się potwierdzać fakt, że obraz został ufundowany jako wotum dziękczynne po najeździe szwedzkim w 1655 roku. Można też przypuszczać - jak podaje w swej publikacji ks. Piotr Zwoliński - że obraz musiał przebywać w kościele już jakiś czas, skoro zdążył zasłynąć jako cudowny i został obdarowany wotami. W 1754 roku kolejny wizytator kościoła napisał, że jest: *koronka poślaczana na obrazie Matki Boskiej w wielkim ołtarzu*. W swej historii obraz ten był nazywany rozmaicie - także jako wizerunek Matki Boskiej Bolesnej. Warto więc wspomnieć, że Matka Boska Bolesna jest jedynym przykładem Madonny bez Dzieciątka, jaki występuje w sztuce przed Rafaeliem.

W 431 roku Sobór Efeski zakazał bowiem przedstawiania wizerunku Matki Boskiej bez Dzieciątka, poza scenami Ukrzyżowania. Ten typ

obrazów określany jest mianem Mater Dolorosa. W swoich badaniach nad tym obrazem, które zostały zamieszczone w wydawanych przez Muzeum Historii Miasta Łodzi „Miscellaneach Łódzkich” nr 1/1990 r. P. Uznański pisze: *W XVII wieku w dziełach powstałych w Akademii Bolońskiej oraz w malarstwie hiszpańskim powstaje nowy, czasem zwany portretowym, sposób ukazywania Matki Boskiej bez Dzieciątka. Wyrósł on z tradycji szkoły Rafaela, podjętej w Akademii Bolońskiej przez Carracci’ch, Guido Reni’ego i Domenichina. Pełny wyraz osiąga w obrazach Carla Dokiego i Sarzoferaty. Z tymi inspiracjami łączy się obraz Łukasza Porębskiego w Krakowie i Wilnie, a za nimi także obraz łódzki.*

Trudne do wyjaśnienia w naukowy sposób jest także ustalenie pochodzenia oraz faktu, czy Łódź miała być rzeczywistym miejscem przeznaczenia tego obrazu. Istnieje bowiem hipoteza, że obraz Matki Boskiej mógł być przeznaczony dla słynącego cudami się w początkach XVIII wieku klasztoru oo. Franciszkanów w Łagiewnikach - lecz nie dotarł tam z nieznanych powodów.

Było to w czasie, kiedy spotykamy się z pierwszą wzmianką o tym obrazie. Hipoteza ta jednak wyraźnie przeczy wspomnianemu przekazowi, że obraz był ufundowany jako wotum dziękczynne łodzian po potopie szwedzkim w 1655 roku.

Do najważniejszych zabytków sztuki, stanowiących własność bałuckiej parafii Wniebowzięcia NMP należą także: obraz św. Antoniego z XVIII wieku oraz umieszczony w zakrystii barokowy obraz Zaśnięcia i Wniebowzięcia NMP z XVII wieku, który pierwotnie - przez krótki czas - znajdował się w ołtarzu głównym, a ponadto wizerunek św. Izydora z przełomu XVIII i XIX wieku, jak też płaskorzeźba Chrystusa w Ogrójcu z końca XVII wieku i monstrancja z 1626 roku.



Krótko mówiąc: dla wielu pokoleń Polaków łódzkiej Starówki czy tzw. bliskich Bałut, kościół Wniebowzięcia NMP na dawnych Górkach Plebańskich był - od niepamiętnych czasów - także przystanią patriotyzmu oraz ośrodkiem realnej, codziennej pomocy materialnej i duchowej w wielu istotnych sprawach życiowych.



PAWEŁ WRONISZEWSKI

ŁÓDZKIE WYBORY SAMORZĄDOWE 1905-1939

Pierwsze wybory do Rady Miejskiej odbyły się w Łodzi w styczniu 1917 roku w dobie okupacji niemieckiej według zasad ustalonych w „Ordynacji Wyborczej dla miast General-Gubernatorstwa Warszawskiego”. Pierwsza Rada Miejska w okresie niepodległości została wybrana w lutym 1919 roku na podstawie „Dekretu o wyborach do Rad Miejskich na terenie byłego Królestwa Kongresowego”.

Burzliwy rozwój wydarzeń 1905 roku oraz czterokrotne wybory do Dumy Państwowej wciągnął do życia politycznego niemal całe społeczeństwo Łodzi. Rewolucja wzbogaciła wiedzę polityczną Łódzian i wzmocniła ich chęć organizowania się. Tysiące mieszkańców miasta związało się z licznymi partiami i stronnictwami politycznymi.

W końcu 1906 roku SDKPiL, PPS, Bund, NZR i ChD liczyły ok. 80 000 członków. Łódzka SDKPiL stała się najliczniejszą organizacją socjaldemokratyczną w Królestwie Polskim. W październiku 1905 roku liczyła 800 członków, a w styczniu 1907 roku już prawie 20 tysięcy. W PPS-ie krystalizowały się dwa nurty programowo-ideowe, opowia-

dające się za rewolucją społeczną i wojną z Rosją. Jesienią 1906 roku partia ta liczyła ok. 19 000 członków, w tym ok. 3 000 kobiet. Wszystkie partie socjalistyczne prowadziły ożywioną akcję wydawniczą i propagandową. SDK-PiL miała własne organy prasowe: „Do walki” i „Vorwärts”, a PPS „Łódzianina” i „Der Arbiter”. Równolegle kolportowały wielotysięczne nakłady odezw wzywających do obalenia imperium carskiego i przedstawiających własny ustrój społeczeństwa socjalistycznego. W środowisku robotników żydowskich dominował Bund z ok. 4 000 członków. Oprócz dużych partii rywalizowały z nim znacznie mniejsze ugrupowania, jak: Syjonistyczno - Socjalistyczna Partia Robotnicza czy Żydowska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Poalej Syjon. Do przeciwdziałania rosnącemu wpływowi partii socjalistycznych powołany został w czerwcu 1905 roku przez endecję Narodowy Związek Robotniczy. Ruch Chrześcijański natomiast w środowisku robotniczym rozwinął się dopiero w drugim roku rewolucji. Reprezentowany był przez Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich i Chrześcijańską Demokrację. W środowiskach łódzkiej inteligencji i mieszczaństwa największe wpływy miała ND, wkrótce jednak Związek Postępowej Demokracji przejął jej członków odrzucając program endecji. Im bliżej wyborów aktywizowało się także niemieckie i żydowskie środowisko mieszczańsko-inteligenckie. Czynnej działalności politycznej nie przejawiała na ogół wielka burżuazja łódzka i większość średniej.



Ratusz i Kościół Ewangelicki.

Ilustracja W. Walkiewicz

WYBORY DO DUMY PAŃSTWOWEJ

Duma Państwowa stanowiła izbę niższą parlamentu o ograniczonych kompetencjach. Ordynacja wyborcza wprowadzała system kurii. W grupie właścicieli ziemskich i wyborców miejskich wybory były dwustopniowe, w grupie robotniczej trzy-, a chłopskiej czterostopniowe. Czynne prawo wyborcze posiadali tylko mężczyźni powyżej 25 roku życia. W kurii miejskiej musieli dodatkowo wynajmować mieszkanie na własne nazwisko lub opłacać odpowiedni podatek. W kurii robotniczej do wyborów dopuszczeni zostali wyłącznie robotnicy z zakładów zatrudniających powyżej 50 pracowników. W przedsiębiorstwach większych wybierano pełnomocnika na każdych 1 000 robotników. Dla Łodzi przyznano tylko jeden mandat poselski, dlatego w proteście przeciw tym ograniczonym i antydemokratycznym wyborom, partie socjalistyczne w Łodzi wezwały do ich bojkotu. Wskutek odsunięcia mas robotniczych od głosowania, układ sił zmienił się na niekorzyść ludności polskiej i niemieckiej. Po wycofaniu się partii socjalistycznych walka ugrupowań uczestniczących w wyborach 1906 roku do I Dumy rozegrała się tylko na płaszczyźnie narodowościowo-wyznaniowej. Najwięcej tarć wywołała akcja wyborcza w łonie ludności żydowskiej. Część z nich proponowała bowiem wysunięcie kandydatury Polaka postępowca. Jednak ostateczna lista wyborcza, wystawiona przez utworzony wspólnie Żydowski Komitet Wyborczy, zawierała kandydatury wyłącznie żydowskie. To oni właśnie stanowili większość wyborców, aniżeli wynikało to z układu narodowościowego ludności miasta Łodzi.

Liczba wyborców		%
Polacy	38	43,7
Niemcy	14	16,1
Żydzi	35	40,2
Ogółem	87	100

Liczba mieszkańców		%
Polacy	152 638	46,4
Niemcy	90 680	27,6
Żydzi	75 977	23,1

Inne narodowości	9 761	2,9
Ogółem	329 056	100

Liczba głosów		%
Blok Polsko-Niemiecki	20 100	62,2
Żydowski Komitet Wyborczy	12 196	37,7
Głosy rozstrzelone	40	0,1
Ogółem	32 336	100

Dane Warszawskiego Komitetu Statystycznego za rok 1906

W drugiej fazie wyboru posła Żydzi jednak udziału nie wzięli. Blok Polsko-Niemiecki dysponował bowiem absolutną większością głosów, a ich kandydat nie przybył na spotkanie z Żydowskim Komitetem Wyborczym. Tak więc 2 maja 1906 roku z 87 uprawnionych do głosowania swoje gałki z głosami wyborczymi złożyło do urny kandydata Bloku Polsko-Niemieckiego 51 wyborców. Ostatnią gałkę wręczył przewodniczącemu wyborów kandydat-zwycięzca, poseł miasta Łodzi do I Dumy Państwowej dr Antoni Rząd. I Duma egzystowała krótko, bo już 21 lipca została rozwiązana przez Cara.

Zainteresowanie wyborami do II Dumy Państwowej, które miało miejsce w lutym 1907 roku, było nieznaczne. Do wyborów poszło prawie 20 000 mniej uprawnionych niż w poprzednich wyborach. Bardzo dobry wynik wyborczy w kurii miejskiej osiągnęła jedyna lista socjalistyczna Komitet Socjal-Demokratyczny (26,2%) wyprzedzając Zjednoczenie Postępowe (23,8%). Zgodnie z ordynacją przy podziale mandatów zasada proporcjonalności nie miała jednak zastosowania, dlatego posłem został kandydat Polskiego Komitetu Koncentracyjnego (48,9%) adw. Al. Babicki. I znowu po bardzo krótkim okresie działalności w czerwcu 1907 roku ukaz carski rozwiązał II Dumę Państwową.

Utrata wiary w znaczenie Dumy spowodowała absencję wyborczą do III Dumy Państwowej jesienią 1907 roku sięgającą 73%. Swoich kandydatów nie wystawili też, zniechęceni poprzednimi niepowodzeniami, Żydzi. W kurii miejskiej prawicowy Polski Komitet Wyborczy (61,4%) oparty głównie o Narodową Demokrację popartą częściowo przez Niemców walczył z lewicą (38,6%) reprezentowaną przez Polską Partię Postępową i Postępową Demokrację popieraną przez Żydów. Wynik ten zadecydował, że ponownie posłem został dr Antoni Rząd (ND).



Ratusz Miejski na Ryнку Nowego Miasta.

Odsunięcie przez ordynację od wyborów polskiej klasy robotniczej doprowadziło w konsekwencji, że struktura narodowościowa prawyborców łódzian do IV Dudy Państwowej w 1912 roku przesądzała z góry wynik wyborów na korzyść Żydów, których w wyborach posła reprezentować mogło 51 wyborców.

Liczba prawyborców		%
Polacy	3 677	21,7
Niemcy	3 040	17,9
Żydzi	9 964	58,8
Ogółem	16 955	100

Dane Statystyczne za rok 1912

W dwóch grupach wyborczych (tzw. cyrkulach) wygrali natomiast Niemcy uzyskując 29 mandatów wyborczych. W mieście, w którym przeważała narodowość polska ani jeden Polak nie uzyskał w 1912 roku mandatu wyborcy. 7 listopada 1912 roku posłem został wybrany kandydat Żydowskiego Komitetu Wyborczego dr M. Bonasz. Bardzo ciekawie zapowiadały się więc pierwsze wybory do Łódzkiej Rady Miejskiej.

WYBORY DO RADY MIEJSKIEJ W 1917 ROKU

Kampania wyborcza rozpoczęła się w grudniu 1916 roku. Powstało ogółem 17 komitetów, które złożyły 33 listy kandydatów. Wprowadzona przez niemieckie władze okupacyjne „Ordynacja Wyborcza dla miast General-Gubernatorstwa Warszawskiego”, wzorowana była na ordynacjach obowiązujących na obszarze Rzeszy Niemieckiej i Austrii. Określała ona szczegółowo czynne prawo wyborcze na podstawie art.1 § 1:

1. wyborca powinien posiadać przynależność państwową do Królestwa Polskiego
2. wyborca powinien mieć 25 lat skończonych
3. wybierają tylko mężczyźni z zastrzeżeniem szczególnych przepisów dla właścicieli domów i nieruchomości, jako też dla osób prawnych i towarzystw handlowych
4. wyborca powinien mieszkać bez przerwy w obrębie miasta przynajmniej 2 lata; wysiedlenia przez rząd rosyjski lub nieobecności skutkiem wypadków wojennych nie uważa się przerwę
5. wyborca powinien posiadać ważny paszport, odpowiadający rozporządzeniu z dnia 9 września 1915 r.
6. wyborca powinien dopełnić specjalnych co do poszczególnych kurii wyborczych żądanych przepisów, o ile nie zamierza korzystać z prawa wyborczego w kurii ogólnej.

Wyborcy podzieleni na sześć kurii wybierali z każdej po dziesięciu radnych. Wybory były tajne, a każdy wyborca musiał być wpisany na urzędową listę wyborców.

W głosowaniu wzięło udział tylko 25 656 osób (53% uprawnionych i 80% zapisanych na listy wyborcze). Ludność miasta Łodzi, jak podaje w 1918 roku Wydział Statystyczny Magistratu, zmalała w tym okresie z przeszło 500 000 mieszkańców do 342 000. Był to wynik mobilizacji ok. 15 000 osób dokonany przez ustępujące władze rosyjskie, emigracja dobrowolna w różnych kierunkach oraz masowa emigracja bezrobotnych na wieś, a także wzmożona śmiertelność.

Dnia 7 grudnia ukazał się program i wezwanie do ludności Polskiego Komitetu Wyborczego, dnia 14 grudnia wezwanie Centralnego Komitetu. Polski Komitet Wyborczy koncentrował głównie obóz zwolenników chwilowej neutralności wobec potęg, zmagających się na wschodzie; Polski Centralny Komitet Demokratyczny- obóz aktywistyczny, nawołujący do współdziałania z mocarstwami centralnymi

A. Goerne „Informator miasta Łodzi” 1919 rok

Precz z mianowanemi magistratami! Niech żyje wybieralna demokratyczna Rada Miejska

hasło wyborcze klasy robotniczej z 1916 roku

Wybory dały następujące wyniki poszczególnym grupom narodowościowym: Polacy 23 mandaty, Żydzi 29, Niemcy 8. W łódzkiej Radzie Miejskiej zdecydowaną przewagę uzyskała burżuazja i sfery mieszczańskie. Po ogłoszeniu wyniku wyborów powstało Koło Radnych Polskich, które wywalczyło u władz okupacyjnych uznanie języka polskiego jako obowiązującego w obradach i korespondencji samorządu, a kandydat tego koła L. Skulski objął stanowisko I burmistrza. Pierwsze posiedzenie Rady Miejskiej odbyło się 23 maja 1917 roku, a funkcje przewodniczącego powierzono T. Sułowskiemu (Polski Centralny Komitet Wyborczy).

Podział głosów polskich		%
Polski Centralny Komitet Wyborczy	1 450	12,1
Komitet Wyborczy 5 Zrzeszeń Przemysłu i Handlu	123	1,0
Polski Centralny Komitet Demokratyczny	592	5,0
Radykalno-Demokratyczny Komitet Wyborczy	306	2,6
Polski Mieszczański Komitet Wyborczy	914	7,6
Polski Centralny Robotniczy Komitet Wyborczy (Ch. D.)	2 967	24,8
Narodowy Robotniczy Komitet Wyborczy (N. Z. R.)	2 345	19,6
Robotniczy Komitet Wyborczy Socjalistów Polskich (P. P. S. frakcja)	1 430	12,0
Komitet Polskiej Lewicy Socjalistycznej (P. P. S. lewica)	1 834	15,3
Ogółem	11 961	100

Dane Statystyczne za rok 1917

Wyborcy niemieccy zarówno z warstw burżuazyjnych jak i robotniczych głosowali na listę Zjednoczonych Niemieckich Komitetów Wyborczych. 55,6% wyborców żydowskich poparło Centralny Żydowski Komitet Wyborczy, 24,6% „Poalej-Sjon”, a 16% „Bund”.

WYBORY DO RADY MIEJSKIEJ W 1919 ROKU

„Dekret o wyborach do Rad Miejskich na terenie b. Królestwa Kongresowego” nadawał czynne prawo wyborcze wszystkim obywatelom bez różnicy płci, którzy:

- 1) ukończyli 21 lat,
- 2) posiadali przynależność państwową polską,
- 3) mieszkali na stałe w obrębie gminy miejskiej od 6 miesięcy przez sześć miesięcy przed przymusową migracją dla celów zarobkowych.

Nie mogą wybierać osoby, utrzymujące szynki i domy rozpusty

art. 3 Dekretu wyborczego

Ograniczenie dotyczące stałego półrocznego zamieszkiwania na terenie danego miasta, zmniejszyło liczbę wyborców o około 14 000 w porównaniu z odbywającymi się miesiąc wcześniej wyborami do Sejmu Ustawodawczego. Tak więc w lutym 1919 roku stanęło do urn wyborczych w naszym mieście 136 384 wyborców, aby wybrać 75 radnych miejskich. Poszczególne polskie komitety wyborcze uzyskały następujące liczby głosów:

Liczba głosów		%
Polska Partia Socjalistyczna	40 949	46,6
Narodowy Robotniczy Komitet Wyborczy	27 752	31,6
Konfederacja Zrzeszeń	7 977	9,1
Chrześc. Robotn. Demokrat. Kom. Wyb.	4 350	4,9
Kom. Wyb. Właścicieli Nieruchom. Chrześc.	2 444	2,8
Polski Komitet Wyborczy Przedmieść	1 920	2,2
Komitet Wyborczy Majstrów Fabrycznych	1 275	1,4
Komitet Wyborczy Pracowników Intelktualnych	1 201	1,4
Ogółem	87 866	100

Dane Statystyczne za rok 1919

Sukces PPS-u wynikał głównie z haseł głoszących tradycyjnie pokój i braterstwo ludów, co dla zmęczonych fizycznie i moralnie długotrwałą wojną mas robotniczych miało kluczowe znaczenie. Wybory dały klasie robotniczej zdecydowane zwycięstwo. Łącznie na 5 list robotniczych głosowało 82 710 wyborców.

(...) Rezultat wyborów do przedstawicielstwa narodowego w całym kraju wypadł dla klasy robotniczej niezbyt pomyślnie, należało tedy próbować szczęścia od strony samorządów lokalnych. Skutek osiągnięto w całym kraju nadspodziewanie dobry.

M. Nusbaum-Ołtaszewski „Zarys rozwoju ruchu robot. w Łodzi” 1920 rok

Sprzeciw wobec wyborów do Rad Miejskich ogłosili komuniści, czyli dawni socjaldemokraci KPiL i członkowie Lewicy PPS. Uważali bowiem, że Rady Miejskie wchodzić będą w kompromisy z burżuazją. W skład prezydium pierwszej w okresie niepodległości Rady Miasta Łodzi weszli: Aleksy Rzewski (PPS- 25 mandatów) jako prezydent, W. Wojewódzki (NZR- 16 mandatów) i J. Faterson (PPS) jako wiceprezydenci. Przewodniczącym Rady został Antoni Remiszewski (PPS).

WYBORY DO RADY MIEJSKIEJ W 1923 ROKU

Wskutek zdekompletowania zespołu radnych i niemożności dokonania wyborów uzupełniających, Rada Miasta została po czterech latach działalności rozwiązana przez władze nadzorcze. W maju 1923 roku na podstawie tego samego „Dekretu” wyborczego, do urn wyborczych zgłosiło się 179 150 Łodzian, co stanowiło 66,4% uprawnionych do głosowania. Ostatecznie głosowano na 6 list polskich, 2 niemieckie i 8 list żydowskich. Wyniki głosowania na polskie listy przedstawiały się następująco:

Liczba głosów		%
Chrześcijańska Jedność Narodowa	50 777	43,6
Narodowa Partia Robotnicza	42 882	36,9
Polska Partia Socjalistyczna	19 004	16,3
Stowarzyszenie "LOKATOR"	1 826	1,6
Stowarzyszenie Właścicieli Nieruchomości	1 322	1,1

Komitet Wyborczy Przedmieść	571	0,5
Ogółem	116 382	100

Dane Statystyczne za rok 1923

Wybory samorządowe w 1923 roku i do Sejmu i Senatu w 1922 roku wysunęły na czoło Chrześcijańską Jedność Narodową. W tym komitecie wyborczym główną rolę odgrywał Związek Ludowo-Narodowy i Chrześcijańska Demokracja. Powstał zatem zwarty obóz narodowy reprezentujący warstwy posiadające i pewien odłam klasy robotniczej. Ale obok rozszerzania swych wpływów przez prawicę, wzrastała także w siłę skrajna lewica. Ta dwubiegunowość polityczna wynikała jednak z tych samych przyczyn, głównie ekonomicznych.

Z jednej strony bogacące się na sprzyjającej koniunkturze jednostki domagały się silnych rządów i w konsekwencji popierały prawicę, z drugiej zaś dotkliwie dotknięta przez inflację klasa robotnicza, głosiła potrzebę przewrotu gospodarczo-społecznego. Podczas wyborów do Rady Miejskiej w 1923 roku jasno skryształizowało się oblicze polityczne ludności niemieckiej. Wyborcy niemieccy podzieleni byli na dwie grupy: jedną stanowiło mieszczaństwo (Niemiecka Partia Mieszczańska - 32,3% głosów) i drugą reprezentującą klasę robotniczą i kierunek socjalistyczny (Niemiecka Partia Pracy - 67,7% głosów). Elektorat żydowski był natomiast równie rozdrobniony jak polski.

Liczba głosów		%
Ortodoksi	9 884	25,5
Syjniści	8 375	21,6
"Bund"	8 081	20,9
Żydzi bezpartyjni	4 635	12,0
Ludowcy żydowscy ("Folkiści")	3 920	10,1
"Poalej-Sjon"	2 910	7,0
Centr. Zw. Kupców i Przemysł. Żydowskich	928	2,4
Drobni Kupcy Żydowsy	2	-
Ogółem	38 735	100

Dane Statystyczne za rok 1923

Podczas posiedzenia organizacyjnego Rady Miejskiej 24 lipca 1923 roku dokonano wyboru nowych władz miejskich. Prezydentem został Marian Cynarski, wiceprezydentami Wacław Wojewódzki i Wiktor Groszkowski. Na stanowisko prezesa Rady Miejskiej powołano byłego posła do Sejmu Ustawodawczego Bolesława Fichnę.

WYBORY DO RADY MIEJSKIEJ W 1927 ROKU I 1934 ROKU

Szczegółowy program i osiągnięcia drugiego socjalistycznego samorządu w latach 1928-1932 opisał E. Ajnenkiel w opracowaniu z 1938 roku „O socjalistyczny samorząd Łodzi”. Główne punkty programu, z którym socjaliści szli do władzy to:

1. Walka z głodem mieszkaniowym
2. Podniesienie stanu zdrowotnego miasta
3. Zatrudnienie bezrobotnych i pomoc dla nieposiadających pracy
4. Rozszerzenie działalności na polu opieki społecznej
5. Sprawa szkolnictwa
6. Piecza nad zaniedbanymi przedmieściami (bruki, oświetlenie, tramwaje)
7. Pomoc walczącemu proletariatu Łodzi

W 1930 roku Łódź, licząca już przeszło 600 000 mieszkańców, gnieździła się po kilka a nawet kilkanaście osób w jednopokojowych mieszkaniach. Na Polesiu Konstantynowskim i na Nowym Rokiciu miano rozpocząć budowę domów. Niestety rząd udzielił (skąd my to znamy?) pierwszeństwa pożyczce zagranicznej dla Śląska. W kolonii mieszkaniowej im. Montwiłła-Mireckiego wybudowano zaledwie 2 672 izby i trochę domów drewnianych głównie dla nauczycieli. W ślad za Magistratem socjalistycznym, komitet kapitalistyczno-biskupi postawił domki na Karolowie, a Z.U.P.P. duże gmachy mieszkalne na Bednarskiej. Realizowano także inne punkty programu wyborczego:

Magistrat socjalistyczny szedł z pomocą bezrobotnym, udzielając im pomocy opałowej. W roku zaś 1928 i 1929 udzielono również pomocy żywnościowej bezrobotnym. Ta pomoc kole w oczy endeków i fabrykantów.

E. Ajnenkiel „O socjalistyczny samorząd Łodzi” 1938 rok

Prezydentem miasta Łodzi w latach 1928-1933 był działacz prawicowego skrzydła PPS a później członek Rady Naczelnej PPS Bronisław Ziemiecki. Ten wybitny ekonomista, minister w rządzie lubelskim oraz minister pracy i opieki społecznej w gabinecie Moraczewskiego i poseł do sejmu w latach 1919-1930, zamordowany został przez Niemców w czasie okupacji.

W 1934 roku Łódź podzielona była na 199 okręgów wyborczych. Ustawa samorządowa z 23 marca 1933 roku preforsowana przez sanacyjną większość, podniosła granicę wieku wyborców do 24 lat (czynne prawo wyborcze) i 30 lat (bierne prawo wyborcze). Wprowadzony został także podział na samodzielne okręgi wyborcze w celu zniweczenia zasady proporcjonalności. Ustawa ograniczała także kompetencje władz samorządowych na rzecz tzw. kontrolnych władz nadzorczych i miejskich władz wykonawczych. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zatwierdzało wybory Prezydentów Rad Miejskich oraz posiadało możliwość rozwiązania całego samorządu. W styczniu 1936 roku nowelizacja tej ustawy wprowadzała m.in. obowiązek wyższego wykształcenia dla kandydatów na prezydenta miasta. Rozkład głosów w 1934 roku przedstawiał się następująco:

Prawica polska	głosów	Listy socjalistyczne	głosów
Obóz Narodowy	98 602	Robot. Jedność Socjal. i Klasowe Zw. Zaw.	27 373
Unia Odrodz. Narod.	2 122		
BBWR	29 980	Poalej Syjon	3 133
Nar. Socjal. Partia Rob.	5 207	Unieważniona lista nr 13 (komuniści)	18 203
Ogółem	135 911	Ogółem	48 709

Dane Statystyczne za rok 1934

WYBORY DO RADY MIEJSKIEJ W 1936 ROKU

Zasadniczym celem władz sanacyjnych w wyborach łódzkich było osłabienie jej przeciwników politycznych, ale przede wszystkim zahamowanie konsolidacji obozu lewicowego. Rząd w obawie przed kompromitacją nie wysunął jednak swojej oficjalnej listy. Walkę wyborczą prowadził natomiast w inny sposób. Główna Komisja Wyborcza skwapliwie korzystała z przepisu ordynacji o możliwości poddawania

kandydatów na radnych egzaminowi z języka polskiego. Tak więc na 42 kandydatów 31 nie przystąpiło na znak protestu w ogóle do egzaminu, a z pozostałych ten fikcyjny egzamin pomyślnie zdały zaledwie cztery osoby.

Do przeciętnego Obywatela Łodzi! Przed okienkiem Wielkiego Biurokraty w urzędach miejskich tracisz zdrowie i czas !!! Dość już podań, odwołań, opłat, prośb, łez i ukłonów. Przekreśl Biurokratyzm!!! Złóż kartkę z wypisanym dwanaście razy Stanisław Aleksander Heyman.

ulotka Niezależnego Komitetu

fot. archiwum



Ratusz Miejski na Rynku Nowego Miasta.

W trakcie kampanii wyborczej sam tylko blok lewicowy wydał kilkanaście odezw, druków, karykatur itp. w łącznej ilości 500 000. Większość z nich skierowana była przeciwko głównemu rywalowi - Stronnictwu Narodowemu.

Łódź dla Łodzian (...) na listach partii politycznych za dużo jest ludzi nam obcych... sięgają po mandaty panowie z Warszawy, z Lublina, z miast i miasteczek galicyjskich - nawet zgłosił się jeden Węgier.

treść ulotki wyborczej

Bloki wyborcze organizowały także liczne wiece wyborcze, na których występowali czołowi działacze miejscowi oraz przedstawiciele

centralnych instancji partyjnych. Łącznie wiece i masówki bloków socjalistycznych objęły około 80 000 ludzi. Miasto podzielone zostało na 10 okręgów wyborczych, a ilość okręgów wyborczych wzrosła do 203.

Oficjalne wyniki wyborów do Rady Miejskiej w Łodzi 27 września 1936 roku przedstawiały się następująco:

Lista wyborcza	Głosy	Mandaty
PPS i Klasowe Związki Zawodowe	94 955	34
Obóz Narodowy	77 831	27
Bund i Klas. Związ. Zawod. Robotn. Żyd.	23 685	6
Zjednoczony Żydowski Blok Wyborczy	14 935	3
Niemiecki Związek Ludowy	13 059	-
Narod.-Chrześcijański Front Robotniczy	11 469	-
Zjednoczony Blok Syjonistyczny	10 599	2
Związek Związków Zawodowych	3 211	-
Stronniectwo Młodoniemców	2 309	-
Stow. Właścicieli Nieruchom. Chrześcijan	1 450	-
Widzewski Niezależny Komitet Wyborczy	760	-
Obywatelski Komitet Gospodarczy	715	-
PPS - dawna Frakcja Rewolucyjna	693	-
Front Żydows. Dzielnic Górnej i Chojen	250	-
Polski Komitet Wyborczy	165	-
Kom. Wybor. Robot. Fizyczn. i Umysł.	135	-
Ogółem	256 218	72

Dane Statystyczne za rok 1936

Inaugurację nowo wybranej Rady Miejskiej opóźniał komisaryczny zarząd pod przewodnictwem Tymczasowego Prezydenta Miasta Mikołaja Godlewskiego. Oficjalnym powodem były dwa protesty wyborcze Stronniectwa Narodowego i Bloku Syjonistycznego. Pod przewodnictwem tegoż prezydenta ostatecznie odbyło się pierwsze posiedzenie Rady dopiero 17 grudnia 1936 roku. Po raz pierwszy w dziejach Rady Miejskiej wśród dwóch skrajnych ugrupowań brak było centrum. Długo przed obradami galeria została szczelnie wypełniona i nawet przed gmachem Rady przy ulicy Pomorskiej 16 zgromadził się duży tłum łódzian.

Nie ma co dziwić się „ulicy” kiedy na sali obrad dochodziło do podobnych zachowań. Każde kolejne posiedzenie Rady Miejskiej miało bardzo burzliwy charakter. Podczas obrad przemawiający radny syjonistyczny adwokat Sztrauch został zaatakowany przez endeków. Na pomoc ruszyli socjaliści, mimo że napadnięty był ich przeciwnikiem politycznym. Doszło do bójki, a prezydent Godlewski przerwał posiedzenie.

I znów ulica Pomorska dała nam wczoraj widowisko, którego styl zaczyna się utrwalać i przechodzić w stały rytuał. Znów endecy sprowokowali burdę jedną z tych, które leżą w programie ich działalności: za wszelką cenę skompromitować Radę Miejską jako taką, aby zdyskredytować ideę samorządu miejskiego i wszelkich urządzeń demokratycznych.

Głos Poranny 1937 rok

Z trudnością wyłanianio więc kolejnych kandydatów na prezydenta. Decydujący głos i tak miało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które np. odmówiło zatwierdzenia kandydata obozu lewicowego Norberta Barlickiego. W marcu 1937 roku po przedstawieniu przez Departament Samorządowy Ministerstwu Spraw Wewnętrznych sytuacji w łódzkiej Radzie Miejskiej, podpisany został dekret o jej rozwiązaniu.

Trudno, proszę Panów, między nami jest walka i względy przyzwyczajenia muszą upaść (...)

wypowiedź radnego na podstawie stenogramu Rady Miejskiej

WYBORY DO RADY MIEJSKIEJ W 1938 ROKU

Jeszcze przed rozwiązaniem Rady Miejskiej Łódzki Okręgowy Komitet KPP wezwał masy pracujące do strajku protestacyjnego w obronie Rady Miejskiej. W przemyśle włókienniczym pracę porzuciło wówczas 90% robotników. Rząd ocenił sytuację w Łodzi jako „wysoce niekorzystną”. Dlatego 23 kwietnia 1937 roku przyjechał do naszego miasta premier oraz minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj-Składkowski. Później nastąpiły represje, aresztowania i odtransportowania z terenu Łodzi działacze lewicy. Wszystko to odniosło odwrotny skutek, ponieważ jeszcze bardziej blok lewicowy zważył swoje szeregi i 18 grudnia 1938 roku wygrał wybory samorządowe.

Partie i ugrupowania	mandaty
PPS i klasowe związki zawod. z NSPP i Stronnictwem Demokr.	32
Obóz Narodowy	18
Obóz Zjednoczenia Narodowego	12
Bund i lewica Poalej Syjon	11
Zjednoczeniowy Żydowski Blok Religijny "AGUDA"	3
Syjonistyczny Blok Demokratyczny	3
Deutsche Volksverband (hitlerowcy)	5

Dane Statystyczne za rok 1938

8 lutego 1939 roku na posiedzeniu nowej Rady Miejskiej wybrano Prezydium. Prezydentem został Jan Kwapiński, wiceprezydentami: Adam Walczak, Artur Szewczyk i Antoni Portal (wszyscy blok socjalistyczny). Nie mając szans na przełomowanie swoich kandydatów, prawica zbojkotowała wybory.



Bibliografia:

- Korc P.: Studia i materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego.
 Ajnenkiel E.: Walka o demokratyzowanie i spolszczenie łódzkiego samorządu w latach 1916-1917.
 Ajnenkiel E.: O socjalistyczny samorząd Łodzi.
 Rosset E.: Oblicze polityczne ludności miasta Łodzi w świetle statystyki wyborczej.
 Goerne A.: Wybory do Rady Miejskiej w Łodzi w styczniu 1917 r.
 Badziak K.: Łódź - dzieje miasta.
 Wachowska B.: Idea jednolitego frontu w latach 1918-1939.
 Wachowska B.: Łódzka organizacja KPP w latach 1918-1926.

FABRYKA SŁOWA

Do dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego Aleksandra Postołowa przyszedł młody człowiek. Bardzo chciał być pisarzem, ale nie wiedział, co zrobić, aby pisarzem zostać. Zapytał o to dyrektora. Ten nie zastanawiał się. Ale nie dlatego, że dyrektor nie powinien zastanawiać się, bo z urzędu wszystko o wszystkim musi wiedzieć. Dla Aleksandra Postołowa jedyną prawdziwą książką była „Matka” Maksyma Gorkiego. Polecił więc młodeму człowiekowi, aby poszedł do domu i przeczytał tę właśnie książkę. Młody człowiek został pisarzem, ale nie dlatego, że przeczytał „Matkę” Maksyma Gorkiego.

Zdarzyło się dawniej, tak przed wojną, jak i dziś, że dyrektorami, prezesami, ministrami, a nawet premierami zostawali ludzie niekompetentni, nie znający się na sprawach, nad którymi mieli sprawować pieczę. Tak dzieje się zawsze, kiedy przy obsadzaniu stanowisk decydują nie kompetencje, a wszelkie inne względy. Nie ma więc czemu dziwić się, że Aleksander Postołow, który został pierwszym dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego, nie znał się na literaturze. Był natomiast bardzo dobrym człowiekiem. Tak przynajmniej wspominają go niektórzy pisarze. Tu mała dygresja.

W 1956 roku w „Życiu Literackim” ukazało się opowiadanie Mariana Promińskiego „Salamandra”. Jest to opowieść o tym, co się może stać z człowiekiem, kiedy bardziej liczy się produkcja niż człowiek. W tym opowiadaniu jest taka historyjka. Potrzebny był dyrektor huty. W Komitecie partyjnym zastanawiali się nad kandydatami. Nikt im nie pasował. Ktoś sobie przypomniał, że jest przecież krawiec, który przed wojną sympatyzował z komunistami, dawał im schronienie w swoim warsztacie. Wezwali więc krawca i powiedzieli:

-Zostaniecie dyrektorem huty!

-Ależ ja się na tym nie znam. Nigdy nie miałem nic wspólnego z hutą, z żelazem - bronił się krawiec.

- A czym szyjecie?

- No, igłą, na maszynie...

- Ano, właśnie! A z czego one są zrobione? Przecież z żelaza, ze stali.

I tak krawiec został dyrektorem huty. Czy był dobrym dyrektorem? To już zupełnie inna historia.

Powojenne dzieje kultury i sztuki w Łodzi zaczynają się nieodmiennie od stwierdzenia, że po wojnie miasto stało się duchową stolicą Polski. Wszystko, co nie mogło pomieścić się w innych miastach, na przykład w Krakowie, lokowano w Łodzi. Po pierwsze dlatego, że Łódź była nie zniszczona. Po drugie - bo była blisko Warszawy, gdzie na Pradze ulokowały się centralne władze. Ale była to duchowa stolica tymczasowa. Ledwie Warszawa zaczęła się odbudowywać, już rozpoczęła się emigracja do Stolicy. W Łodzi zrobiły się pustki. Ci, którzy pozostali wierni miastu, czuli się teraz na marginesie kulturalnego życia Polski. Zaczęto więc myśleć o lokalnym piśmie społeczno-literackim i tak powstała „Łódź Literacka”, potem „Kronika”, a na końcu „Odgłosy”. I zaczęto myśleć o własnym wydawnictwie, bo - jak mówi Tadeusz Chróścielewski - w Warszawie czy w Krakowie nie bardzo chciano łódzian drukować. O pomysł nie było trudno. Prezes łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich - Stanisław Czernik i kierownik Wydziału Kultury i Sztuki Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi - Ryszard Stefańczyk, przy przychylności partyjnych władz, spowodowali, że Rada Narodowa m. Łodzi przyjęła stosowaną uchwałę. Pojechali do Warszawy z projektem założenia w Łodzi wydawnictwa literacko-społecznego. W Ministerstwie Kultury i Sztuki pomysł łódzian bardzo się nie spodobał. Stołeczni urzędnicy byli zwolennikami daleko posuniętej centrali-

zacji, bo to dawało im pełnię władzy. Dzięki temu mogli bez przeszkód rządzić słabą prowincją. Ostatecznie zdecydowano - mogłaby Łódź wydawać literaturę... propagandową. Wtedy Ryszard Stefańczyk wziął kapelusza i bez słowa wyszedł z ministerialnego pokoju. To był rok 1957. Tuż po Polskim Październiku, jeszcze była odwilż - tak wówczas określano liberalny kurs w polityce, kulturze i życiu społecznym. Nawet ministerialni urzędnicy nie byli jeszcze tacy pewni siebie jak później. Gest odwagi Ryszarda Stefańczyka zadecydował. Warszawa zgodziła się, żeby Łódź wydawała zaangażowaną poezję i prozę. Błędny strach padł na literatów. Przeżyli to już niedawno, kiedy pisali na polityczne zamówienie i nic z tego dobrego nie wynikło. Czyżby miało się to powtórzyć? Ale w partyjnym Komitecie machnęli ręką: *Nie przejmujcie się tym, robcie swoje!* Łatwo powiedzieć. Jak tu robić swoje, kiedy - jak to w Polsce bywa od niepamiętnych czasów - nie ma pieniędzy. I wtedy - można powiedzieć bez przesady - stał się cud. Do Stanisława Czernika zgłosił się prezes Spółdzielni Poligraficzno-Introligatorskiej „POZIOM” z ofertą, że oni... sfinansują wydawniczą działalność łódzkich pisarzy. Spółdzielnia robiła naklejki, etykiety, a także książeczki dla dzieci. I tak się zaczęło. Początkowo wydawnictwo mieściło się w Domu Literatów przy ulicy Adama Mickiewicza 8. W 1960 roku zostało upaństwowione, otrzymało lokal w kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej 171 i wtedy dyrektorem został Aleksander Postołow. *To był taki człowiek - wspomina Honorata Chrościelewska - który nie przywiązywał wagi do drobiazgów. Dla niego wszyscy byli równi, nie interesowało go ich pochodzenie, poglądy. Każdemu pomagał, kto tego potrzebował.* Ale przyszedł rok 1968, przypominano sobie, że Aleksander Postołow jest z pochodzenia Żydem i musiał z Polski wyjechać.



Stanisław Czernik (1899-1969) pochodził ze wsi Zochcin koło Opatowa i nigdy o swoim chłopskim pochodzeniu nie zapomniał. Debiutował tomem „Poezje” w 1931 roku. W Ostrzeszowie wydawał „Okolice poetów”. Był twórcą kierunku zwanego autentyzmem. Uważał - mówiąc w skrócie - że podstawą poezji są autentyczne przeżycia poety, przez co powstaje w jedność spleciona prawda artystyczna z życiową. W Łodzi osiadł w 1949 roku. To był czas, kiedy w Łodzi mieszkali - w dużej mierze w Domu Literatów - wybitni polscy pisarze: Pola Gojawiczyń-

ska, Seweryna Szmaglewska, Anna Pogonowska, Władysław Broniewski, Kazimierz Brandys, Stanisław Dygat, Artur Sandauer, Adolf Rudnicki, Jan Brzechwa i inni. Mieszkali krótko i wyjechali do Warszawy. Niektórzy jednak zostali i związali się na trwałe z Łodzią. Spośród nich Stanisław Czernik, który został naczelnym redaktorem Wydawnictwa Łódzkiego, dobierał sobie współpracowników.

Jednym z nich został Leon Gomulicki. Urodzony w 1903 roku w Petersburgu. Początkowo pisał po rosyjsku. Po polsku zadebiutował w lubelskiej „Kamenie” w 1935 roku. W latach 1948-1951 wykładał literaturę rosyjską na Uniwersytetach Warszawskim i Łódzkim. W latach 1952-1953 zatrudnił się jako praktykant w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego (Marchlewski też tam pracował, kiedy była to fabryka Izraela Kalmanowicza Poznańskiego, w latach siedemdziesiątych „Poltex”, dziś już nie istniejąca). Chciał poznać pracę włóknarzy. W wyniku tych doświadczeń powstała książka, wydana w 1962 roku, „Białe runo”, którą krytyka uznała za „antypowieść produkcyjną”. Leon Gomulicki bardzo poważnie traktował piszących kolegów. Wnikliwie oceniał maszynopis, proponował liczne zmiany, które jego zdaniem przydałyby się powieści. Bronił tych tekstów na posiedzeniach redakcyjnych kolegów. *A pisarze - wspomina Tadeusz Chróścielewski - traktowali go jak najzacieklejszego wroga. Nie rozumieli, że on jest ich przyjacielem, choć surowym krytykiem.* Inne rozmowy z pisarzami prowadził Waław Mrozowski (1912-1967). Pochodził z Chełma Lubelskiego. Tomik poezji wydał w 1933 roku. Po wojnie przez jakiś czas mieszkał i pracował na Dolnym Śląsku, gdzie był między innymi redaktorem wychodzących tam pism. W Łodzi zamieszkał w 1950 roku. Potrafił przekonać rozmówcę, że jego rzecz jest świetna, ale wydawnictwo nie może jej... wydać. I pisarze wychodzili od niego zadowoleni, choć im powieść czy poezję odrzucono.



Po 1968 roku Wydawnictwo Łódzkie objął Wiesław Jażdżyński (1920-1998). Poprzednio redaktor naczelny tygodnika „Odgłosy”. Zaraz po wojnie pracował w wychodzącym w Łodzi piśmie „Wież”, ale poświęcił się publicystyce. W 1960 roku ukazała się jego pierwsza powieść „Okolice starszego kolegi”, która miała trzy wydania. Inna powieść „Świętokrzyski polonez” też trzy wydania, a „Nie ma powro-

tu" i „Czuwajcie w letnie noce" po dwa wydania. Wiesław Jażdżyński był dyrektorem i redaktorem Wydawnictwa Łódzkiego. Był jednocześnie prezesem łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Tak się szczęśliwie złożyło, że w Łodzi osiedli pisarze, pochodzący z Kresów II Rzeczypospolitej, którzy świetnie znali języki: rosyjski, ukraiński, białoruski: Jan Huszcza, Józef Maciej Kononowicz i Igor Sikirycki, dołączył do nich Tadeusz Chrościelewski - rusycysta i jego kolega ze studiów Jerzy Plesiewicz. Tak powstało „Łódzkie Zagłębie Przekładowe", które przyswoiło polskiemu czytelnikowi wiele pozycji literatury białoruskiej, ukraińskiej, rosyjskiej, a także narodów Kaukazu. Igor Sikirycki przetłumaczył „Konika Garbuska", „Witezia w tygrysiej skórze", „Dawida z Sasumu". Jan Huszcza opracował antologię poezji białoruskiej. Tłumaczono utwory Maksyma Tanka, Janki Bryła, Władimira Karatkiewicza, Aleksandra Adamowicza, Maksima Bohdanowicza i wielu innych. Nawiązano bliskie kontakty z białoruskimi pisarzami. W 1969 roku w Gdyni odbywał się kolejny zjazd pisarzy ziem północnych i zachodnich. Przy gdyńskim nadbrzeżu zacumowano „Batorego", w którym mieszkali i obradowali pisarze i ich goście. Tak się złożyło, że podczas przerwy w obradach przy jednym stoliku usiedli pisarze z Łodzi i Mińska, był wśród nich Wiesław Jażdżyński dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego i w trakcie rozmowy narodził się pomysł współpracy Łodzi z Mińskiem. Dzięki temu wiele polskich książek ukazało się na Białorusi, białoruskich w Polsce. Pisarze z Łodzi i Mińska odwiedzali się, narodziły się bliskie znajomości i przyjaźnie. Dziś niestety pozostały tylko wspomnienia.



Wiesława Jażdżyńskiego zastąpił Jacek Zaorski. Polonista z wykształcenia, przez pewien czas przebywał na Serbii. Dobrze poznał literaturę narodów Jugosławii i zaczął wydawać ją w Polsce. Tak powstała seria: Biblioteka jugosłowiańska. Ukazały się w niej między innymi książki: Vesny Parun, Branko Belana, Dusana Kalicia, Ivo Andrića, Aleksandra Tismy. Rozpoczął też wydawanie antologii literatury narodów ZSRR. Dobrał sobie do współpracy Jerzego Gosa, dobrego organizatora, człowieka pracowitego, z licznymi pomysłami.

Wiosną 1980 roku Wydawnictwo Łódzkie zorganizowało wyjazd do Suwałk. Pojechaliśmy w składzie: Jerzy Gos, Igor Sikirycki, Władysław

Orłowski, Edward Kopczyński, Jerzy Wawrzak i ja. Zawieźliśmy plon konkursu ogłoszonego wcześniej, który znalazł się w książce: „Spotkania z Suwalszczyzną”. Wtedy, pamiętam, odbył się w Suwałkach pierwszy kiermasz książki. Podpisywaliśmy swoje książki, które właśnie ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Odbyliśmy wiele spotkań z tamtejszą publicznością, która, można wierzyć, stała się naszymi czytelnikami. Ten konkurs reporterski o Suwalszczyźnie był wynikiem zainteresowania się Jacka Zaorskiego i Jerzego Gosa tym regionem. Przy jakiej okazji zetknęli się z władzami Suwałk, tego nie wiem. Pamiętam tylko, że w Wydawnictwie wisiała wielka fotografia suwalskiego pejzażu z jakimś domem w samym jego środku, który to dom miał być udostępniony Wydawnictwu Łódzkiemu bodajże na miejsce pracy twórczej. Nic z tego nie wyszło, był to już bowiem 1980 rok i nie takie projekty upadały.



Konkursów Wydawnictwa Łódzkiego było kilka. Pierwszy ogłoszono w 1958 roku. Był to konkurs ogólnopolski. Liczono, że pisarze po latach wojny i stalinizmu, kiedy nie mogli wypisać się i nie wszystko mogli drukować, powinni mieć pełne szuflady powieści. Czy mieli te powieści w szufladach, czy też napisali je specjalnie na konkurs, trudno to dziś ustalić i nie ma zresztą takiej potrzeby. Pierwszą nagrodę w konkursie zdobył Wilhelm Mach za powieść „Życie duże i małe”, drugą - Leon Gomulicki za „Ucieczkę”, trzecią - Aleksander Minkowski za „Nigdy na świecie”, czwartą - Eugeniusz Kabatz za „Za dużo słońca”, Włodzimierz Odojewski otrzymał wyróżnienie za powieść „Miejsce nawiedzone”. W 1963 roku ukazała się książka, która dziś jest już legendą. Był to zbiór reportaży, rezultat konkursu, jaki na opisanie Łodzi ogłosił Wiesław Jażdżyński, kiedy jeszcze był redaktorem naczelnym tygodnika „Odgłosy”. Udział wzięła czołówka ówczesnych reporterów: Wojciech Adamiecki, Jerzy Ambroziewicz, Mirosław Azembski, Andrzej Berkowicz, Bohdan Drozdowski, Stefan Kozicki, Józef Lenart, Janusz Roszko, Aleksander Rowiński, Jerzy Szperkowicz, Jerzy Urban, Andrzej Krzysztof Wróblewski. Z łódzian wspomnę tylko tych, którzy już odeszli z tego świata - Juliana Brysza (niegdyś pracował w „Dzienniku Łódzkim”) i Feliksa Bąbola („Głos Robotniczy” i Polska Agencja Prasowa). Był też konkurs organizowany przez Jerzego Gosa współ-

nie z Zakładami Przemysłu Bawełniarskiego im. Feliksa Dzierżyńskiego - "ESKIMO" (dawna fabryka Ludwika Geyera). W 1979 roku ukazał się plon tego konkursu: „Pasje dnia powszechniego”. Autorzy, uczestnicy konkursu: Wojciech Adamiecki, Anna Strońska, Konrad Turowski, Krzysztof Pogorzelec, Andrzej Jankowski, Andrzej Makowiecki, Lucjusz Włodkowski, Mirosław Kuźniak.

TROCĘ ZAPISKÓW KRONIKARSKICH

Dorobek Wydawnictwa Łódzkiego jest pokaźny. Tadeusz Chróścielewski utrzymuje, że wydano około 2 000 książek. Od 1963 roku wychodziła „Osnowa” - almanach literacki, później rocznik społeczno-literacki, chociaż od 1966 roku wydawano po dwa lub trzy zeszyty rocznie, a w latach siedemdziesiątych - zeszyty tematyczne. Wydawano też „Zeszyty Kieleckie”. Wydawnictwo stworzyło bowiem możliwość druku pisarzom, w tym również początkującym, z różnych rejonów Polski, a przede wszystkim z Kielecczyny, Opolskiego, Warmii i Mazur, dopóki tam nie powstały własne wydawnictwa. Roli i znaczenia Wydawnictwa Łódzkiego w kreowaniu środowisk twórczych, a przede wszystkim literackich, nie można nie docenić. Tyle tylko, że to już przeszłość! Wydawnictwo Łódzkie stworzyło możliwości druku historykom Uniwersytetu Łódzkiego. Publikowali swoje prace: Bohdan Baranowski, Alina Barszczewska, Władysław Bortnowski, Mirosław Cygański, Andrzej Feliks Grabski, Władysław Lech Karwacki, Paweł Korzec, Zbigniew Kucho-wicz, Zofia Libiszowska, Gryzelda Missalowa, Anna Rynkowska, Barbara Wachowska i inni. Wydano w dwóch tomach „Kroniki Getta Łódzkiego”, materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego, wspomnienia pisarzy, działaczy politycznych i społecznych, nauczycieli, dziennikarzy. Ukazywały się książki humoru polskiego „Puszka satyry”, „Biblioteka poetów” - obie te pozycje ukazywały się w specjalnie zaprojektowanych futerałach - wydano kilka almanachów poezji. Ukazały się albumy fotograficzne, między innymi bardzo realistyczny album fotografii autorstwa Wacława Bilińskiego, rysunków Wacława Kondka: „Łódzkie pałace” i „Ulica Piotrkowska” i wiele innych. Z Wydawnictwem Łódzkim współpracowali graficy i malarze: Stefan Wegner, Krystyn Zieliński, Henri Poulain, Zdzisław Głowacki, Stanisław Ibis-Gratkowski, Jerzy Urbanowicz, Karol Baraniecki, Wacław Kondek, Zdzisław Walter i inni. Nie sposób wszystkich wymienić.



Zatytułowałem ten szkic: „Fabryka słowa”, bo tak było w istocie. Posługiwano się słowem. Pracowało nad tym wielu ludzi: autor, redaktor, korektorzy, drukarze, introligatorzy, księgarze, recenzenci i wreszcie plon ich pracy dostawali do ręki czytelnicy. Czy zawsze byli z niej zadowoleni? Kilka razy powtórzyłem, że po tej wielkiej pracy „fabryki słowa” pozostały tylko wspomnienia. Mamy wprawdzie dziś w Łodzi liczne i bardzo różne wydawnictwa i dobrze, że są, ale czy spełniają należycie swą rolę? Niedawno (na początku czerwca 2000 roku) Jerzy Wilmański przypomniał w telewizyjnym felietonie, między innymi niedokończzone prace Jana Huszczy czy pamiętniki Adama Ochockiego, którymi dziś się nikt nie interesuje. W pogoni za zyskiem wydawnictwa tracą rolę kreatorów kultury i sztuki, rolę inspiratorów, współtwórców nawet czy choćby mecenasów. W pogoni za zyskiem zapomina się, że kultura jest istotną częścią narodowej świadomości, bez której naród karleje. Nie było moim zamiarem napisanie monografii, nie taki był cel tego szkicu. Jeśli więc kogoś pomiąłem, o kimś nie wspomniałem, to bardzo przepraszam.

Są to tylko wspomnienia moje i cudze.



JERZY WILMAŃSKI

TYGODNIK "ODGŁOSY"

1958 - 1990

ZARYS DZIEJÓW

Za parę miesięcy, wiosną 2003 roku minie 45 lat od chwili powstania tygodnika „Odgłosy”. Jego dzieje były złożone i bogate - zaczynał jako pismo popularne z założenia - kończył podobnie, ale cała wieloletnia historia „Odgłosów” to jednak znaczyło: ambicje intelektualne i literackie, wysoki poziom lokujący czasopismo w rzędzie licznych w Polsce Ludowej tygodników społeczno-kulturalnych. Dziś ten gatunek czasopiśmiennictwa zmarł pod ciosami niewidzialnej ręki rynku, dobity niemiecką, kolorową tandetą czasopiśmienniczą dla ćwierćinteligentów.

Kiedy 3 marca 1958 roku, ukazał się w Łodzi pierwszy numer tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” - nie wróżyono mu zbyt długiej egzystencji. Ów pesymizm miał swoje historyczne uzasadnienie. Na przestrzeni stuletniej historii łódzkiej prasy nie zdarzyło się, aby pismo o takim charakterze utrzymało się dłużej niż 2-3 lata. „Meteor”, „Wymiar”, „Osnovy Literackie”, „Odnowa” z lat dwudziestych i trzydziestych istniały zaledwie od kilku do kilkunastu miesięcy... Po wojnie „Kuźnica” i „Wies” uciekły szybko do Warszawy w latach Wielkiego Exodusu końca lat czterdziestych.

Właśnie przygotowywałem się do matury, kiedy w kioskach „Ruchu” pojawiła się swego rodzaju forpoczta „Odgłosów” czyli „Łódź Literacka”. Pierwszy numer ukazał się z datą „lipiec-sierpień 1954”. Miał to być miesięcznik, ale ukazywał się nieregularnie. W zespole redakcyjnym żartowano wówczas, że jest to miesięcznik pojawiający się co kwartał, raz na pół roku. Ogółem wydano 5 numerów - ostatni z datą „luty-marzec 1955”. Od początku redaktorem pisma, a następnie redaktorem „Kroniki” był Jan Koprowski. Kiedy ukazała się „Kronika” (w maju 1955 roku) byłem już studentem polonistyki, tzw. początkującym poetą i nawet udało mi się opublikować w „Kronice” parę wierszy. O niczym więcej nawet nie marzyłem, bo łamy „Kroniki” zapępiały takie nazwiska jak Tadeusz Kotarbiński czy Jan Szczepański.

„Kronice” jednak zmarło się po niespełna trzech latach, bo choć ją wszyscy bardzo chwalili, to mało kto chciał ją kupować. Wiosną 1958 roku zaczęły się ukazywać „Odgłosy”. Dziś mało kto pamięta, że początkowo było to coś na kształt niedzielnego magazynu gazety codziennej. W pierwszych numerach był nawet... komiks pt. „Pustynne szczyry”, czy coś w tym rodzaju, w każdym razie główną troską redakcji było: skokietować Czytelnika. W tej sytuacji niewesoło rysowały się perspektywy tygodnika społeczno-kulturalnego. Nic też dziwnego, że jubileusz setnego numeru (dwa lata) obchodzono bardzo uroczyście, podobnie jak pięciolecie. Pięć lat - niewielki to powód do jubileuszu. Może więc dlatego piszący te słowa zatytułował okolicznościowy artykuł aż tak gromko: „25 kilogramów jubileuszu”. No cóż, gdy lat było mało, wystarczyło zważyć pięć oprawnych roczników i zamienić lata na kilogramy.

W ogóle kiedy się przegląda stare roczniki „Odgłosów”, zwracają na siebie uwagę numery poświęcone kolejnym jubileuszom pisma. Nie ma co ukrywać, że kochamy się w jubileuszach, nie tylko dlatego, iż dostarczają okazji do hucznego bankietowania. Każde „lecie” wyzwała również skłonność do rozpamiętywania i refleksji, do publicznego obrachunku przed opinią czytelniczą. Mamy więc w redakcyjnych „zszywkach” aż cztery numery jubileuszowe, wydawane dotychczas co pięć lat. Owszem, często, ale przecież żadne z poprzednich czasopism łódzkich nie zdołało dotrzeć do swego pięciolecia.

Jak oceniali sytuację pisma - jego osiągnięcia i zamierzenia - dawni redaktorzy i współpracownicy, czy spełniało ono oczekiwania czytelników? Jeśli wolno do końca polegać na tym, co się mówi i pisze, zwłaszcza w momentach odświeżających, to można odnieść wrażenie, że sam

fakt dojrzenia do pierwszego pięciolecia był dla redakcji swego rodzaju zaskoczeniem.

Nie musiało być jednak zbyt dobrze z nakładem pisma, skoro ówczesny naczelny redaktor Wiesław Jażdżyński dopomina się czy też apeluje o „odpowiedni klimat”. Redakcja informuje ponadto czytelników, że z powodu trudności papierowych zmniejsza objętość pisma. Natomiast piszący te słowa w okolicznościowym felietonie pt. „25 kilogramów jubileuszu”, oszołomiwszy najpierw czytelników łączną wagą kompletu pisma z owych pięciu lat, przekazuje wiele - dziś dla nas istotnych - informacji o życiu kulturalnym Łodzi i o (dość skromnych jeszcze) zasługach „Odgłosów” w tej mierze, ale już docenionych przez ówczesne władze, które przyznały zespołowi „Honorową Odznakę Miasta Łodzi”. Daj dobry Boże - wzdychałem wtedy - drugie pięć lat, trzecie i jeszcze z dziesięć albo dwadzieścia.



Zespół "Odgłosów", koniec lat siedemdziesiątych. Siedzą od prawej: Jerzy Wilmański, Janusz Szymański-Glanc, Grażyna Szypowska, Jerzy Wawrzak, Bogda Madej; Stoją od prawej: Jerzy Rzymowski, Tomasz Soldenhoff, Janina Lasoń, Lucjusz Włodkowski, Wiesław Jażdżyński, Ryszard Binkowski, Władysław Orłowski, Andrzej Makowiecki, Konrad Frejdlch, Włodzimierz Stokowski.

Na marginesie warto zauważyć, że w tym krótkim okresie redakcja zdążyła już zmienić zarówno winietkę tytułową, jak i szatę graficzną pisma. Upragnione drugie pięciolecie wszakże nadeszło. Redakcja (która zafundowała sobie znów nową winietkę tytułową), zwróciła się z prośbą o wypowiedzi wspomnieniowe i ocenę aktualnej roli pisma do osób

z poprzedniego zespołu, a także do Czytelników.

Kiedy zacząłem pracować w „Odgłosach” - wspomina Jarosław Marek Rymkiewicz - *gatunkiem wiodącym były komiksy obrazkowe, a jak wynika z dalszej jego wypowiedzi, pismo w ciągu tych lat nabrało powagi i znaczenia. W ankiecie wspomnieniowej pt. „Mój flirt z „Odgłosami”* zabrali głos Tadeusz Chróścielewski, Stanisław Czernik, Leon Gomoliczki, Jan Huszcza, Marian Piechal i Seweryna Szmaglewska. Z ich wypowiedzi można wywnioskować, iż ów niezobowiązujący stosunek miłośny wyszedł im na zdrowie.

W tym samym numerze redakcja ogłasza dwa konkursy: publicystyczny pod hasłem „Młodzi Polacy lat sześćdziesiątych” oraz zgadywaną z nagrodami (ilustrowaną rysunkami Wacława Kondka) pt. „Dziesięć lat Łodzi, dziesięć lat „Odgłosów”, polegającą na rozpoznaniu oddawanych w Łodzi corocznie obiektów użyteczności publicznej.

Od samego początku redakcja pamiętała o tym, że „Odgłosy” ukazują się w Łodzi - mieście szkoły i wytwórni filmowej. Wraz z powstaniem pisma rozwijała się też w Łodzi telewizja. Tak więc kolumnę telewizyjną redagował od samego początku Wiesław Machejko, a kolumnę filmową najpierw Edward Etler, a po nim Janusz Weychert, mało znany jako reżyser, ale redaktor doskonały. To w „Odgłosach” zaczynały swoje kariery naukowe w dziedzinie filmoznawstwa obecni profesoria Ewelina Nurczyńska-Fidelska czy Tadeusz Szczepański. Także na łamach „Odgłosów” pisywał często twórca polskiego filmoznawstwa prof. Bolesław W. Lewicki.

Numer na piętnastolecie znów prezentuje całkiem odmienną winiętkę z czego nietrudno odgadnąć, że do redakcji przyszli nowi ludzie. W artykule wstępnym przypomina się z dumą: *Pamiętajmy, że „Odgłosy” są w historii łódzkiej prasy periodycznej - zjawiskiem zupełnie wyjątkowym: najdłużej kiedykolwiek wychodzącym w naszym mieście tygodnikiem społeczno-kulturalnym.* Okolicznościowe wspomnienie Jażdżyńskiego osnuwa mgiełka melancholii. Trzeci kolejny naczelny redaktor Jan Koprowski, który zdążył już ustąpić miejsca Jerzemu Wawrzakowi, jawi się nam jako człowiek pełen rozwagi i umiaru. *Obejmując redakcję po Wacławie Bilińskim - wspomina Koprowski - nie miałem rewolucyjnych zamierzeń programowych w stosunku do pisma, które wchodziło w dziesiąty rok swego istnienia. Uważałem wówczas i jestem tego zdania dziś, że w kulturze najważniejsza jest ciągłość.*

Pismo już się w Łodzi i regionie na dobre zadowoilo, stało się nieodłącznym elementem łódzkiego pejzażu kulturalnego. Jego redaktorzy

zeszli na ten dzień z jubileuszowych koturnów i zaaranżowali zabawę w „List gończy” zawierający fotografie członków zespołu, jako osób poszukiwanych za... Oczywiście nie za takie czy inne ludzkie lub redaktorskie przywary i potknięcia, ale za (dowcipnie zareklamowany) dorobek twórczy, pod postacią „włamania się” do kasy tego czy innego wydawnictwa, rozgłośni lub innej renomowanej instytucji. Słowem - who is who, czyli uczyć bawiąc...

Czy numer na dwudziestolecie mógł się obejść bez nowej winietki? Oczywiście, że nie. Otwiera go „rodzinne” zdjęcie całego zespołu redakcyjnego, z szefem Jerzym Wawrzakiem. Na dalszych stronach znajdujemy zbiorową fotografię grupy pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, związanych z redakcją. Dorobek pisma w zakresie publicystycznym, jak i organizatorskim przedstawia gruntowny a zarazem syntetyczny artykuł Konrada Frejdlicha „Dwadzieścia lat minęło”. Dalej felietony wspomnieniowe Widoka (Jerzy Wilmański), Ćwieka (Włodzimierz Krzemiński) i Marcina Rodaka (Lucjusz Włodkowski), rysunek satyryczny Ibisa-Gratkowskiego przedstawiający kierownictwo redakcji, wreszcie ukierunkowana okolicznościowo, dowcipna kolumna „Magazynu kulturalnego”.

Sprawami kultury zajmowałem się w „Odgłosach” całe lata i w ogóle mój sentyment do tego czasopisma pozostał nieuleczalny, bowiem spędziłem w nim wiele lat i opublikowałem w nim ponad 1 000 cotygodniowych felietonów, chociaż tytuły cykli się zmieniały: „Od niedzieli do niedzieli”, „Kupić nie kupić”, „Zdarzenia i zwierzenia”. W sumie w rocznikach „Odgłosów” zawarłem około dwóch i pół tysiąca tekstów, ale też warto pamiętać, że pisałem tam przez blisko trzydzieści lat. Połowę mojego życia. A zaczynałem od samych początków czyli od wiosny 1958 roku, kiedy Wiesław Jażdżyński „Odgłosy” organizował.

Dla porządku, aby już do spraw personalnych nie wracać, uszeregujmy naczelnych pisma. Byli nimi kolejno: Wiesław Jażdżyński pisarz zdobywający dziennikarskie ostrogi jeszcze w tygodniku „Wieś”. Potem kierownictwo pisma objął Waław Biliński, pisarz i wieloletni dziennikarz radiowy. Następnie lat parę prowadził „Odgłosy” Jan Koprowski, pisarz, poprzednio redaktor naczelny „Kroniki”. Potem naczelnym został Jerzy Wawrzak, co było decyzją dość zaskakującą. Wawrzak nigdy z dziennikarstwem nie miał nic wspólnego, a po studiach rolniczych pisał co prawda powieści, ale kierował... Państwowym Ośrodkiem Maszynowym w Rąbieniu. Trzeba przyznać jednak, że dość szybko się zaadapt-

tował. Po Wawrzaku redaktorem naczelnym został Lucjusz Włodkowski doświadczony publicysta i pierwszy naczelny, który nie był literatem. „Odgłosom” to nie zaszkodziło - wręcz przeciwnie, pomogło osiągnąć, większą dynamikę, a co za tym idzie nakład i poczytność. Na Lucjuszu Włodkowskim kończy się właściwie historia „Odgłosów”. Przemiany ustrojowe w Polsce ukatrupiły to dobre i wysokonakładowe czasopismo. Likwidacja koncernu RSW-Prasa, przejście tytułu przez samozwańczą „spółdzielnię” dziennikarską, a potem prywatnego właściciela... To dzieje tak żenujące, że nawet nie warto wymienienia nazwisk tych, którzy „Odgłosy” wówczas pogrzebali.

W zespole z roku 1958 było początkowo dwóch pisarzy - Wiesław Jażdżyński i Tadeusz Papier, oraz dwóch dziennikarzy - Zbigniew Chyliński i Zbigniew Nowicki. Po latach pierwszy zrobił krótkotrwałą karierę jako korespondent zagraniczny polskiej prasy - drugi natomiast po przybraniu pseudonimu „Nienacki” zasłynął najpierw kryminałami typu „Laseczka i tajemnica”, potem serią „Pana Samochodzika”, a wreszcie powieściami „Raz w roku w Skirolawkach”, „Wielki las” oraz „Dagome iudex”.

Wiesław Jażdżyński był szefem tego interesu pod nazwą „Odgłosy”. Jak chłop średniorolny miał dwie dusze: chciał robić gazetę dla Czytelnika, pomny doświadczeń „Kroniki” - a jednocześnie chciał robić pismo względnie ambitne. Trochę się ze sobą te dwie rzeczy kłóciły. Tak więc na jednej kolumnie prof. Henryk Anders prowadził „wykłady” o sztuce współczesnej - a na sąsiedniej czytaliśmy sensacyjne „Opowieści Białego Kapitana”. Mariaż jednak po latach okazał się nie najgorszy, bowiem ów eklektyzm tematów i poziomu nieźle „Odgłosom” służył. Wbrew prognozom pesymistów pismo jakoś się w Łodzi zaaklimatyzowało, ewoluując od popularnego magazynu drukującego wstrząsające „stories” typu „Pustynne szczury” czy „Opowieści Białego Kapitana”, a potem lekko skandalizujące lub sensacyjne powieści („Magdalena w nocy” Papiera, czy „Zabójstwo Herakliusza Pronobisa” Nienackiego) - do poziomu pisma społeczno-kulturalnego. Publikowano np. cykl „Kultura polska w świecie” - serię wywiadów z attaches kulturalnymi ważniejszych ambasad, cykl „Sztuka XX-lecia” itp.

Moje zupełnie prywatne refleksje na temat pisma, w którym 45 lat temu publikowałem swoje pierwsze reporterskie notatki, pozbawione będą sprawozdawczej precyzji. Dla mnie jest to po prostu pismo, z którym związałem połowę mojego dziennikarskiego i pisarskiego życiory-

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Wystawa rysunków 15 LAT

ANDRZEJ GRUN

KLUB MIĘDZYNARODOWY KSIĄŻKI I PRASY
Łódź marzec-kwiecień 1973

To nie jest zwykła wystawa rysunków. Nie dlatego, że sztuka Andrzeja Gruna jest intrygująca i nieswykła. To nie jest zwykła wystawa, ponieważ artysta nie prezentuje nam wyczelowanego, wymuszonego efektu swojej pracy. Andrzej Grun prezentuje nam WARSZĄT. Pokazuje notatki graficzne, zarysy pomysłów, bruliony i szkice. Nie szukajmy tu więc dzieł skończonych, ponieważ artysta chce nam pokazać skajazzenia i inspiracje, które towarzyszą narodzinom grafik i rysunków.

Klasykne linie greckich kolumn – te wszystkie wierzzące je zarysy architravów, głowic i ślimacznicy oraz ten sam rym linii w metafizyce (symbolu?) jakichś monstrualnych piszczałek nie istniejących organów. I jeszcze sznur przewleczonych przez piszczałki – surrealistyczny symbol... I jeszcze fotograficzny niemal portret...

To nie są skończone kompozycje – to są zapisy skajazzeń.

Ale w tym zawieszeniu, w tym jak gdyby urwanu w pół słowa jest przecież także skończoność i pełnia artystycznej wizji. Te rozszerzone oczy u dołu białego kartonu – i nie poza tym, tylko biel, puste miejsce na nasz domysł, to przecież także jakiś skończony, pełny wizerunek światła rysowanego przez Andrzeja Gruna.

Artysta prezentuje nam WARSZĄT – notatki do codziennej, gazetowej grafiki, ale także notatki do codziennego zapisu świata, jaki nas otacza. Ten pośpieszny, nerwowy brulion jest przecież chwilami zapisem najautentyczniejszym, najpełniej zamykającym nerwowość i pośpiech naszego czasu.

I w tym właśnie miejscu lakoniczny szkic Andrzeja Gruna nobiera wymiarów skończonego dzieła. Piękno epoki odciska swój ślad na sztuce artysty. I sztuka ta – zdyszana i monosylabiczna – odnajduje swój pełny kształt w zapisie z brulionu.

Nie czytelny tego nerwowego zapisu, świadomi, iż może nam nie starczyć czasu na pełnię czytelności. Niech więc pozostaną owe proporcjonalne błazeńskie, lata niepojęte, nieodcinknięte ślady na marowym śniegu...

JERZY WILMAŃSKI

Okładka Tygodnika "Odgłosy" - wydany z okazji 15-lecia istnienia pisma.

su. Ale nie tylko. Jest to bowiem pismo, którego roli i doniosłości w życiu kulturalnym Łodzi trudno nie dostrzec. Niezależnie od wahań nakładowych, dość sporych, bo w różnych latach od prawie 20 000 egzemplarzy do ponad 100 000, „Odgłosy” - zawsze spełniały jakąś potrzeb-

ną funkcję. Piszę „jakaś”, bo przecież nieraz była to funkcja głównie rozrywkowa, nieraz głównie kształcąca, nieraz głównie informacyjna... A nieraz funkcje te występowały we wszystkich możliwych układach.

Pamiętam jak wszyscy cieszyliśmy się, kiedy „Odgłosy” osiągnęły po raz pierwszy 20 000 egz. - drukując sensacyjną powieść Tadeusza Papiera „Magdalena w nocy”. Któż wtedy mógł przypuszczać, że pismo będzie się po latach bez trudu sprzedawać w stu tysiącach egzemplarzy? Jażdżyński przyciągnął do współpracy „młodych zdolnych”. Nie wiem jak ze zdolnościami, ale czterdzieści parę lat temu młody byłem bez wątpienia. Wkrótce więc powstała w „Odgłosach” nieformalna (bez etatów i ryczałtów) „silna grupa” w składzie: Marek Wawrzkiwicz, Włodzimierz Łuszczkiewicz, Jerzy Dębski, Marceli Kazimierski i piszący te słowa. Dębski i Kazimierski zrobili solidne kariery inżynierskie i po skończeniu politechniki przestali się bawić w pisanie. Trochę szkoda, bo byli to niezłe pióra i bardzo inteligentne umysły. Wiesław Jażdżyński dał nam do dyspozycji jedną kolumnę i jeden pokój. Podkreślał ów pokój, bo wówczas „Odgłosy” mieściły się w trzech pokojach z łazienką. Potem łazienkę przebudowano na archiwum... Na naszej kolumnie robiliśmy co dusza zapagnie i zagadki literackie, parodie, minifelietony, fraszki, notki polemiczne... A ponieważ kolumna to było dla nas za mało, bezczelnie wchodziliśmy do całego numeru, jeździliśmy na reportaże, pisaliśmy recenzje i felietony literackie, publicystykę kulturalną - słowem pisaliśmy dużo i chętnie w zamian za co pozwalano nam od czasu do czasu na publikację naszych wierszy, o których Jażdżyński niezmiennie powiadał, że ich kompletnie nie rozumie, ale jak tu odmówić tak sympatycznym chłopakom. Oczywiście Jażdżyński rozumiał doskonale nasze wiersze - a co ważniejsza rozumiał nas, młodych. Nasz środkowy pokój w redakcji na trzecim piętrze przy Piotrkowskiej 96 wykleiliśmy do sufitu kolorowymi plakatami, na których każdy, komu przyszła na to ochota, wypisywał fraszki i złośliwości pod adresem współkolegów i o zgrozo! - pod adresem łódzkich pisarzy. Kiedy Jan Koprowski opublikował swoją książkę pt. „Strumień życia”, na plakacie pojawiła się fraszka:

*Płytki życia Twego strumień
Rumień się więc Janie, rumień*

Na szczęście Jan Koprowski ma wyjątkowe poczucie humoru, więc śmiał się z tego najgłośniejszy, a po latach, kiedy został naczelnym „Odgłosów”

nasza współpraca układała się znakomicie. Mogę zresztą powiedzieć, że to on wykreował mnie na felietonistę, choć pierwszą stałą rubrykę „ciekawostek kulturalnych” dostałem od Jażdżyńskiego, a drugi stały kącik „wydarzeń kulturalnych” od Wacława Bilińskiego, który objął redakcję po Jażdżyńskim.

Przez „Odgłosy” przewinęło się ponad pół setki etatowych dziennikarzy. Lista ta (zapewne niepełna, bo zawodna jest ludzka pamięć) wygląda imponująco: Karol Badziak, Halina Bek, Wacław Biliński, Ryszard Binkowski, Tadeusz Błazejewski, Andrzej Brycht, Lech Budrecki, Zbigniew Chyliński, Dariusz Dorożyński, Edward Etler, Zbigniew Faliński, Konrad Frejdlch, Małgorzata Golicka, Andrzej Grun, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Jan Janicki, Wiesław Jażdżyński, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Jerzy Katarasiński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska, Jerzy Kwieciński, Edmund Lewandowski, Roman Łoboda, Ryszard Łucyszyn, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Andrzej Mazur, Marek Miller, Zbigniew Nienacki, Ewa Ostrowska, Celina Paluch, Jerzy Panasewicz, Tadeusz Papier, Włodzimierz Parys, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jerzy Rzymowski, Ewa Siemińska, Igor Sikirycki, Tomasz Soldenhoff, Ewa Suliborska, Karol J. Stryjski, Włodzimierz Stokowski, Bernard Sztajnert, Janusz Szymański-Glanc, Grażyna Szypowska-Olechnowicz, Paweł Tomaszewski, Jerzy Waleńczyk, Jerzy Wawrzak, Marek Wawrzekiewicz, Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski, Teresa Wojciechowska, Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler, Marian Zdrojewski.

Oczywiście stałych współpracowników było co najmniej dwa razy tyle. Dodam tylko, że stosunkowo wcześniej weszli na stale do pisma: Andrzej Brycht, Marian Zdrojewski, Lucjusz Włodkowski. A był przecież i taki czas (początek lat sześćdziesiątych), że na łamach „Odgłosów” drukowali reportaże na przykład Jerzy Ambroziewicz, Stefan Bratkowski, Bohdan Drozdowski, Stefan Kozicki, Janusz Roszko czy Jerzy Urban... To dziś historia i klasyka polskiego reportażu! Były to piękne czasy, bo my byliśmy „piękni i młodzi” - nie dręczyły nas niewydolności krążenia, anginy pectoris, fobie i nałogi. I choć później różnie bywało - „jak to w środowisku twórczym” - nie potrafię do tamtych czasów przyłożyć innej miary jak tylko tę sentymentalną. Mimo, że rozstanie było mało sentymentalne. W roku 1978, kiedy byłem już sekretarzem redakcji - musiałem odejść z „Odgłosów”, ponieważ ambicją nowoprzyjętego do redakcji Jerzego Katarasińskiego było objęcie tej właśnie funkcji. Załatwiono więc w Wydziale Propagandy KŁ PZPR prze-

niesienie mnie do Redakcji Literackiej Polskiego Radia. Wkrótce zresztą ambicje tow. K. okazały się jeszcze większe - kandydował mianowicie na stanowisko... sekretarza propagandy Komitetu Łódzkiego PZPR. Bez powodzenia jednak więc szybko zwrócił swoją sympatię w kierunku „Solidarności”. Sam co prawda już nie zdążył zrobić tam kariery, ale wdowa-małżonka, nawet sporą.

Kiedy w 1963 roku ukazał się tom reportaży „Ucieczka przedmieścia” marzyła się redakcji „Biblioteka „Odgłosów”. Wspomniany tom, będący pokłosiem konkursu na reportaż, w którym brali udział m.in. Ambroziewicz i Drozdowski, Kozicki i Roszko, miał być pierwszą jaskółką takiej biblioteki. Skończyło się na zamiarach, ale jednak... Jednak „Biblioteka „Odgłosów” powstała. Kiedy dziś spoglądamy wstecz, kiedy wertujemy 32 roczniki pisma, widzimy, że przecież ponad pół setki książek powstało bądź dla tych łamów, bądź tu miało swoją premierę. I choć nie powstała już żadna książka zbiorowa tak ściśle i wyłącznie zrodzona z inspiracji czasopisma, jak „Ucieczka przedmieścia” - to jednak parę dziesiątków książek wywodzi swój rodowód i notuje swoje pierwodruki na łamach „Odgłosów”.

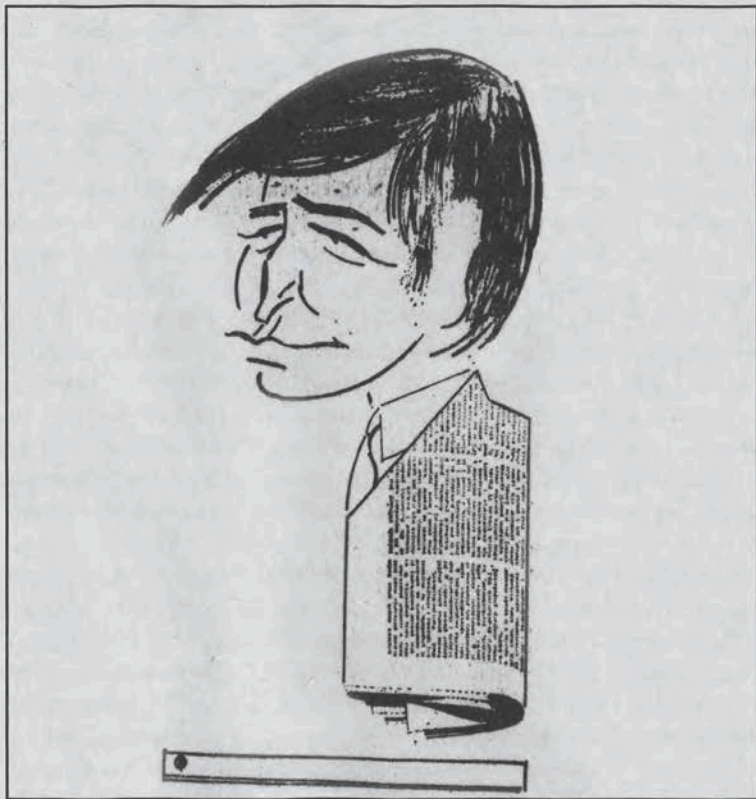
Zacznijmy od felietonistyki, bo z felietonowych, cyklicznych rubryk „Odgłosów” powstało parę książek, które z pewnością nie zostałyby napisane, gdyby nie tygodniowy rytm gazety i ponaglenia redaktorów. Są to: „Bez strachu” Bernarda Sztajnerta, „Lewym okiem” Włodzimierza Krzemińskiego, „Rzeczy dziwne i ciekawe” Jerzego Wilmańskiego, „Rysunki i słowa” Wacława Kondka, „Patrząc na stare fotografie” Wacława Pawlaka...

W „Odgłosach” publikował swoje satyryczne felietony Zygmunt Fijas, i cykl jego przewrotnych tekstów, drukowanych na naszych łamach w początkach lat siedemdziesiątych, znalazł się również w książce „W krainie majaczeń” tego autora. Ze stałej rubryki publicystycznej Mariana Piechala „Sedno sprawy” powstała po latach książka „Pelagia, uczennica diabła czyli sedno rzeczy”. Do tej samej kategorii zaliczyć należy szkice literackie i reportaże Jana Koprowskiego, które drukowane w „Odgłosach” znalazły się potem w szeregu książek eseistycznych tego pisarza. Możemy więc śmiało zaliczyć do „Biblioteki „Odgłosów” takie pozycje, jak „Ludzie i książki”, „Podróże po bliskiej Europie”, „Dzień powszedni literatury”, czy „Na Wschodzie i Zachodzie”.

W „odgłosowej” bibliotece szczególne miejsce zajmują zbiory reportaży. Jest to przecież rodzaj pisarstwa immanentnie związany z ga-

zeta, dziesiątki publikowanych na naszych łamach reportaży składały się potem na książki. W późniejszych książkach Wiesława Górnickiego czy Longina Pastusiaka odnajdziemy przecież teksty drukowane w 1960 roku w cyklu „Przez porty świata” czy „Moje odkrycie Ameryki”.

rys. Stanisław Bils-Gratkowski



Jerzy Wawrzak - Redaktor Naczelny "Odgłosów" w latach siedemdziesiątych.

Podobnie rzecz wygląda z reportażami Jana Bąbińskiego, które później znalazły się w książkach tego autora „Drogi do kariery”, „Chirymanta i komputery”, „Noc w Soho”... Także wiele reportaży i szkiców Jerzego Urbankiewicza ujrzało światło dzienne na łamach „Odgłosów”, zanim zebrane zostały w książki „Muzy przy krosnach”, „Za płotem Paradyżu”, „Prawie Pitaval”... Podobnie tom szkiców publicystycznych

Krzysztofa Pogorzela „Bez recepty na myślenie”, którego spora część publikowana była na naszych łamach.

Najściślej jednak „odgłosowy” rodowód mają reportaże Andrzeja Makowieckiego. Wspólnie z Konradem Frejdllichem opublikował on w czasopiśmie cykl reportaży, wydanych później w tomie „Miraże i złoto”. Potem wszystkie książki Makowieckiego brały swój początek z codziennych reporterskich penetracji, których efekty czytelnicy mogli oceniać (czasami na „tak”, czasami na „nie”, ale nigdy obojętnie) w kolejnych numerach „Odgłosów”. Listę tę rozpoczyna „Przepis na wymianę twarzy”, potem „Enklawa przy ulicy Wschodniej”, mini-powieść „Kwadrans śpiącej królowej”, i znowu reportażowy głosny „Mundial”. Podobnie rzecz się ma z tomem reportaży Lucjusza Włodkowskiego - „Życie w ciekawych czasach”, „Z kamieniem i browningiem” oraz (napisaną wspólnie z Bogdą Madej) książką „Stadion pełen wspomnień”. Nieco luźniejszy, choć także istotny związek z „Odgłosami” ma tom reportaży Tadeusza Giegiera „O człowieku, któremu wystarczył ogarek”. Co prawda, proveniencja utworów jest niewątpliwie radiowa, ale w formie zapisu większość tekstów z tego tomu drukowały „Odgłosy”. Wreszcie dochodzimy do najbogatszego bodaj działu „Biblioteki „Odgłosów” - do powieści i opowiadań. Chronologicznie rzecz biorąc, pierwszą książką drukowaną w odcinkach na naszych łamach było Zbigniewa Nienackiego „Zabójstwo Herakliusza Pronobisa”. Było to w 1958 roku, w pierwszym roku istnienia czasopisma.

W roku 1960 „Odgłosy” zaprezentowały Czytelnikom trzy powieści, które później w wydaniach książkowych osiągnęły dużą popularność, uznanie krytyki i były wielokrotnie wznawiane. Są to kolejno: „Romans królewski” Władysława Rymkiewicza, „Okolice starszego kolegi” Wiesława Jażdżyńskiego oraz „Człowiek jest nagi” Grzegorza Timofiejewa. W latach następnych redakcja prezentowała w odcinkach średnio trzy - cztery powieści rocznie. Nie tylko zresztą powieści sensu stricto, ale także zbeletryzowane „story” o dawnych łódzkich sprawach i ludziach. Do tej kategorii należy zaliczyć książki: Andrzeja Izerskiego „Widzewski królik” oraz Andrzeja Berkowicza „Geyerowska legenda”. Natomiast stałym dostawcą powieści był nadal Władysław Rymkiewicz, który właściwie wszystkie swoje najgłośniejsze książki publikował najpierw w „Odgłosach”. Tak więc na przestrzeni lat 1961-1963 zaproponowaliśmy Czytelnikom „Ucieczkę z Ziemi Obiecanej”, „Bitwę pod Dobrą”, oraz „Konferencję u mecenasa”. W tym czasie Zbigniew Nienacki

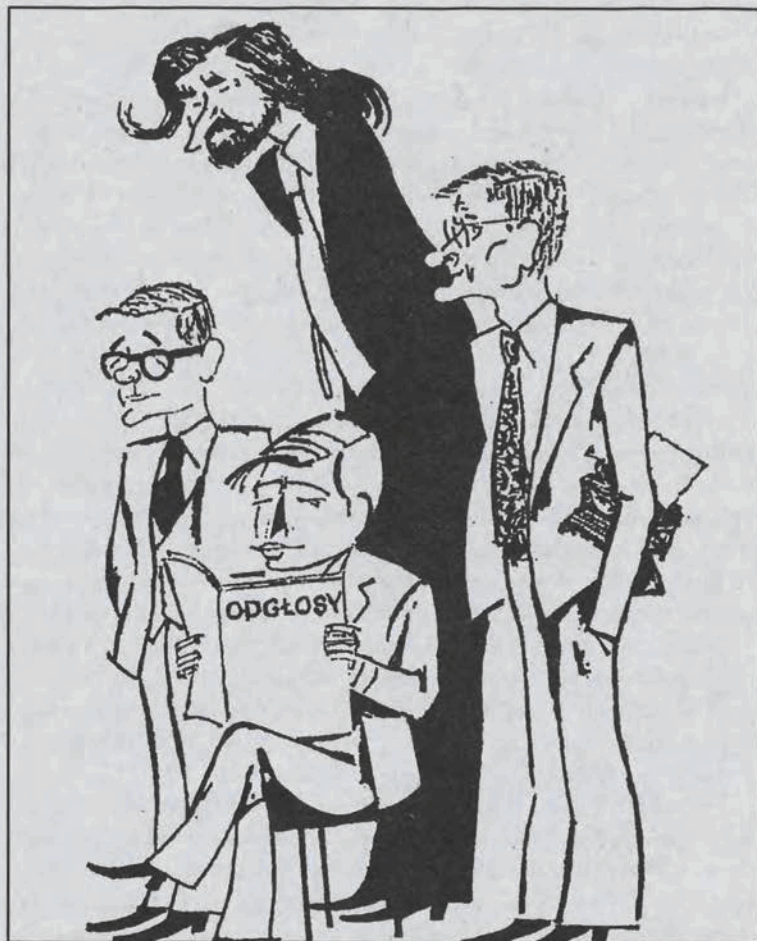
ki publikuje swoją głośną powieść „Worek Judaszów”, Stanisław Czerwik „Nowinę”, a nieco później Konrad Frejdlich swoją powieść „Miały”. Najgłośniejszą jednak na początku lat sześćdziesiątych okazała się środowiskowa, lekko skandalizująca powieść Tadeusza Papiera „Magdalena w nocy”. I ta książka doczekała się paru wydań, podobnie jak i inne drukowane w „Odgłosach”.

W latach siedemdziesiątych ilość powieści drukowanych w odcinkach nieco zmalała, ale nadal są to pozycje interesujące. Ryszard Binkowski publikuje „Białe światło”, Waław Biliński kolejno - „Wrócić do siebie”, „Ikony” oraz „Koniec wakacji”, Edward Kopczyński - „Miłość i medycyna”, Edward Szuster - „Wędrowki zimą i latem”, Władysław Rymkiewicz „Fatamorganę” a Jerzy Wawrzak „Wejście przez sekretariat”. Również w tym czasie „Odgłosy” publikują kilkanaście opowiadań Eugeniusza Iwanickiego, które następnie złożyły się na dwa zbiory nowel: „Powódź w Dolinie Psów” i „Miałem dobrego pana” oraz w odcinkach powieść „Labirynt” tegoż autora. Nie koniec na tym. Oprócz prozy artystycznej pojawia się na łamach „Odgłosów” eseistyka historyczna Zbigniewa Kuchowicza. W roku 1975 mamy wieloodcinkowy cykl, który złożył się na książkę „Obyczaje staropolskie”, a w parę lat później bestseller tegoż autora „Miłość staropolska”.

Tyle jeśli chodzi o prozę, eseistykę, reportaże i felieton. Z poezją rzecz jest trudniejsza. W „Odgłosach” debiutowało i publikowało wielu poetów - 32 roczniki pisma zawierają, setki wierszy, które z czasem złożyły się na co najmniej kilkadziesiąt tomów poezji. Nie sposób jednak z tego oceanu wierszy wyodrębnić poszczególne tytuły książek. Jest ich na pewno kilkadziesiąt, ale muszą zostać anonimowe. Z jednym wszakże wyjątkiem. Marian Piechal opublikował na naszych łamach prawie w całości swój poemat „Ogień i popiół”. Tak więc „Biblioteka Odgłosów”, która marzyła się redaktorom czterdzieści lat temu, doczekała się jednak realizacji. Ponad pięćdziesiąt książek wywodzi swój rodowód, choć w różnym stopniu, z łamów czasopisma. Jest to dorobek niemały i wart przypomnienia.

W ćwierćwiecze czasopisma w roku 1983 ostatni redaktor naczelny historycznych „Odgłosów” Lucjusz Włodkowski pisze w jubileuszowym folderze: *Przeglądając roczniki „Odgłosów” wyraźnie widać ewolucję pisma. Na początku był to magazyn z ambicjami. Zespół, pod kierownictwem Wiesława Jazdżyńskiego przystępował do wydawania pisma w Łodzi nie bez obaw. Hucznie świętowano 99 numer trochę na przekór tradycji i pesymistom.*

Proszę, już wydaliśmy 99 numerów, zaraz będzie setny, a wy krakaliście. Później było 10-lecie, obchodzone już normalnie, jak tradycja i zwyczaj każe. Obchodziliśmy też wydanie numeru tysięcznego. A teraz minęło 25 lat pracy. Pismo, zmieniając swój charakter, dorastając wraz z Czytelnikami, ewoluując od magazynu do tygodnika społeczno-kulturalnego, zmieniło nie tylko szatę graficzną, która jednym się podobała innym nie, podejmowało też różne inicjatywy.



Jerzy Wawrzak (czyta "Odgłosy"), Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski i Włodzimierz Stokowski.

Na początku było to mieszkanie, jako nagroda w konkursie - wygrał je Jerzy Kubik. Później był to trwający przez 10 lat plebiscyt „Łodzianie roku”. Przez dekadę redakcja honorowała tym tytułem dziesiątki osób, w tym tak zasłużonych dla historii i kultury Łodzi jak: Henryk Debich, Roman Kaczmarek, Wacław Kondek, Teresa May-Czyżewska, Maria Ryl, Anna Rynkowska, Stefania Skwarczynska, Bogusław Sochnacki, Henryk Czyż, Michał Kuna, Tomasz Kiesewetter, Teresa Wojtaszek-Kubiak - i wielu innych.

Później była jeszcze akcja publicystyczna „Kultura polska w świecie”, seria portretów „Ludzie 25-lecia”. Publikowały „Odgłosy” długą serię artykułów pod hasłem „Słownik pisarzy łódzkich”. Towarzyszyły wiernie wszystkim łódzkim festiwalom poezji, a w kilku przypadkach wydaliśmy specjalne numery poświęcone tym festiwalom. Stanisław Ibis-Gratkowski zebrałby spory album karykatur pisarzy i artystów, jakie ukazały się w „Odgłosach” opatrzone fraszkami Mieczysława Michała Szargana. Praca, czy współpraca z „Odgłosami” wielu autorom pozwoliła na wydanie książek, których związek z pismem jest bezsporny. Zapisały się „Odgłosy” na trwałe w historii kultury miasta. Pismo przeżywało różne załamania i kryzysy, ale zawsze potrafiło się w porę podnieść, nawiązać kontakt z Czytelnikami dowieść, że jest przede wszystkim im potrzebne”.

Pod sam koniec istnienia „Odgłosów” wielki wkład intelektualno-redaktorski wniósł do czasopisma Edmund Lewandowski, dziś wybitny naukowiec - socjolog i etnolog, który z powodzeniem pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego. Aż przyszedł czas, kiedy pismo podnieść się już nie potrafiło, przyduszone ciężarem ustrojowej transformacji. Nie pomogły nieudolne próby prywatnego już wówczas właściciela, aby z „Odgłosów” zrobić sensacyjne tygodniowe czytno. Nowi czytelnicy nie pojawili się, a starzy - przyzwyczajeni do intelektualnej rangi pisma - zaczęli powoli odchodzić - zawiedzeni niskim poziomem. Ale słowa Włodkowskiego, że „Odgłosy” mają trwałe miejsce w historii kultury miasta - są niezmiennie aktualne.



W wydanym ostatnio multimedialnym „Leksykonie PWN” pod hasłem „Odgłosy” znajdujemy krótką notatkę: *Tygodnik społeczno-literacki wydawany 1958-90 w Łodzi*. Tylko tyle. Dla Łodzi, jej kultury i historii „Odgłosy” znaczyły wiele więcej i w dziejach naszego miasta nie da się tego czasopisma zbyć jednym zdaniem.

Dla dopełnienia dziejów tego łódzkiego tygodnika trzeba (choć może nie warto) odnotować nieudolne, dyletanckie próby wykorzystania ponad 30-letniego dorobku i tradycji „Odgłosów”. Przed paroma laty wydano pod tym tytułem jeden numer trudnej do sklasyfikowania publikacji, coś między folderem, a gazetą. Natomiast na początku roku 2002 pewien przedsiębiorca-biznesmen przy pomocy bulwarowego redaktora wydał jakąś hybrydę prasową zatytułowaną „Odgłosy”. Zapowiadany gromko tygodnik skończył się po 6 numerach wydanych między 2 marca, a 24 kwietnia 2002 roku.

Tak więc nie myli się lakoniczny zapis w „Leksykonie PWN”: prawdziwe, historyczne „Odgłosy”, których zarys spróbowałem tu przedstawić - to właśnie ów tygodnik z lat 1958-1990. Przeszedł już do historii Łodzi, do historii prasy Polski Ludowej, a dla piszącego te słowa jest także ważnym elementem osobistej historii zawodowej.



Bibliografia:

- Koprowski J.: Historia łódzkiej „Kroniki” [w:] Prace Polonistyczne, seria XVIII - 1962.
 Wilmański J.: Raptularz bardzo osobisty [w:] Prasa polska nr 3 - 1973.
 Multimedialny Leksykon PWN. PWN, 2002.
 Włodkowski Ł.: Kilka uwag z okazji 25-lecia „Odgłosów” - „Odgłosy - 25 lat”. Wyd. Muzeum Historii Miasta Łodzi, 1983.
 Kwieciński J.: Nasze jubileusze, „Odgłosy - 25 lat”. Wyd. Muzeum Historii Miasta Łodzi, 1983.

ANDRZEJ FRONTCZAK
MAREK CIERPIKOWSKI

**prof. dr med.
WACŁAW
MARKERT**

ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ

Wacław Markert w roku 1917 ukończył II-gie Gimnazjum Filologiczne w Łodzi (obecnie Liceum im. Tadeusza Kościuszki). W latach 1916-1917 brał czynny udział jako uczeń w pracy oświatowej wśród łódzkich robotników na kursach dla analfabetów.

W 1918 roku bierze udział w Warszawie w rozbieraniu żołnierzy niemieckich i jako ochotnik zgłasza się do 3-go pułku Ułanów, 3 szwadronu (dzieci Warszawy). W końcu grudnia 1918 roku jest wysłany na front ukraiński. W lutym 1919 roku zostaje kontuzjowany i wzięty do niewoli ukraińskiej, z której ucieka po 2 miesiącach i wraca do pułku. W marcu 1920 roku jest powołany na dwumiesięczny Instruktorski Kurs Gimnastyczno - Sportowy do Poznania, którego dowódcą był kpt. Władysław Sikorski. 16 maja 1920 roku dostaje przydział do Szpitala Wojskowego Kopyczyńce.

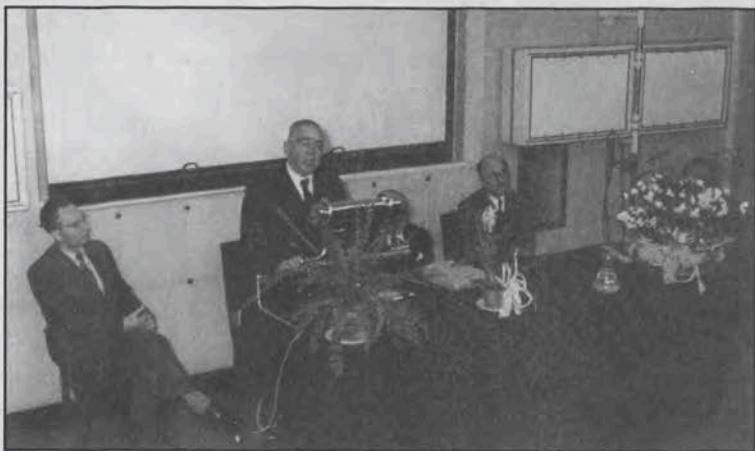
W 1924 roku kończy studia medyczne uzyskując dyplom nauk lekarskich. Od 1925 roku pracuje w II Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego początkowo pod kierownictwem prof. Antoniego Gluzińskiego, a od roku 1927 pod kierownictwem prof. Witolda Orłowskiego.

Od 1928 roku do 1938 roku był starszym asystentem kliniki do chwili wybuchu II wojny światowej.

Z chwilą wybuchu II-giej wojny światowej będąc już porucznikiem WP (mianowanie otrzymał 1 lutego 1932 r.) został mianowany zastępcą komendanta szpitala polowego nr 202 i odbył kampanię zachodnią pod dowództwem gen. Władysława Bortowskiego. Po zbombardowaniu szpitala w 1939 roku dostał się do niemieckiej niewoli, początkowo pracował w szpitalu dla jeńców polskich w Gostyninie. W niewoli niemieckiej zorganizował pracownię Chemiczno-Bakteriologiczną w jenieckim szpitalu, a ponadto był prosektorem tego szpitala.

Do wybuchu II wojny światowej prof. W. Markert wydrukował i wygłosił wiele prac naukowych, których ukoronowaniem była praca habilitacyjna pt. „Imidazole we krwi i w moczu w chorobach narządu krążenia w okresie przewlekłej niewydolności oraz w chorobach wątroby.” Niezależnie od pracy lekarskiej prowadzi działalność naukową czego wyrazem są publikacje w czasopiśmie „Ratownictwo”. W niewoli niemieckiej prof. Markert wraz z majorem Ledomskim założył Koło Naukowe Lekarzy Szpitala dla jeńców w Łodzi.

W 1945 roku zostaje adiutantem w I Klinice Chorób Wewnętrznych kierowanej przez prof. dr med. Witolda Orłowskiego. W 1945 roku uzyskał tytuł Profesora Nadzwyczajnego.



Prof. dr med. Władysław Markert (w środku).

foto: archiwum

Następnie został powołany na stanowisko Kierownika III Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Łódzkiego, które piastował do czasu przejścia na emeryturę jesienią 1968 roku. W roku 1950 z chwilą powołania Akademii Medycznej, prof. dr med. Wacław Markert kierował i prowadził Katedrę i Klinikę Chorób Wewnętrznych. Niezależnie od pracy w A.M. w Łodzi, był współzałożycielem Instytutu Medycyny Pracy w Przemysle Włókienniczym i Chemicznym w Łodzi oraz organizatorem i Kierownikiem Działu Klinicznego i Kliniki Chorób Zawodowych.

W latach 1958 do 1963 był Szefem Katedry Kliniki Chorób Wewnętrznych Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. W latach 1955-1957 pełnił obowiązki Prorektora Akademii Medycznej w Łodzi.

W roku 1959 powierzono Profesorowi patronat nad lecnictwem rejonowym ogólnym w Dzielnicy Łódź-Śródmieście. W 1958 uzyskał tytuł Profesora Zwyczajnego.

W dziesięć lat po przejściu na emeryturę Uczelnia nadała Profesorowi Wacławowi Markertowi tytuł *doctora honoris causa*.

Profesor był współorganizatorem licznych Towarzystw Naukowych na terenie naszego miasta. Był jednym z członków, którzy wznowili działalność Łódzkiego Towarzystwa Badań Naukowych Gruźlicy i członkiem Zarządu do 1950 roku, był członkiem i założycielem Koła Łódzkiego do walki z gościem i jego przewodniczącym do roku 1953. Był członkiem i założycielem Towarzystwa Endokrynologów Polskich, Towarzystw Naukowych, organizatorem zjazdów międzynarodowych. Na podkreślenie zasługuje działalność Profesora w organizowaniu promowania kadr medycznych, czego najlepszą ilustracją jest, że aż 13 pracowników Kliniki na drodze postępowań konkursowych objęło ordynatorskie i kliniczne stanowiska w WAM, AM w Krakowie, IMO w Łodzi, w oddziałach chorób wewnętrznych w Łodzi i innych województwach. W swoich działaniach łączył działalność dydaktyczną, lekarską oraz badawczą. Był wzorem dla wielu pokoleń lekarskich, a w codziennej pracy wymagał i szanował rzetelność, działalność, koleżeńskość i obowiązkowość.

Mając 88 lat w jednym z ostatnich referatów jaki wygłosił na posiedzeniu Wydziału IV Nauk Lekarskich Łódzkiego Towarzystwa Naukowego w czerwcu 1986 roku była praca pt. „Działalność Łódzkiego Towarzystwa Lekarskiego na przełomie XIX i XX wieku”. W pracy tej dał wyraz swojego przywiązania do rodzinnego miasta oraz ludzi, którzy pracowali wówczas w opiece zdrowotnej.

Profesor kreśli sylwetki takich lekarzy jak K. Jonschera, S. Sterlinga, J. Wisłockiego, M. Kena i innych. Podkreśla, iż Ci lekarze z wewnętrznej potrzeby starali się ulżyć tym, którzy potrzebowali pomocy i byli chorzy. Nie liczyli na pochwały i odznaczenia a wręcz przeciwnie narażali się na represje władz zaborczych, a mimo to byli pełni inicjatywy i skorzy do działania na rzecz innych ludzi. Rodzinne miasto nie zapomniało o profesorze Wacławie Markercie. Odznaczony został bardzo wieloma orderami i medalami w tym Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Odrodzenia Polski.



Bibliografia:

XXV Lat Akademii Medycznej w Łodzi [w:] *Annales Aeademiae Medicae Lodzensis*, t. XIII, sup. 6. Łódź, 1970.

Dane osobowe, AK. Med. w Łodzi.

Markert W.: Działalność Łódzkiego Towarzystwa Lekarskiego na przełomie XIX i XX wieku.

Łódzkie Towarzystwo Naukowe, 1987. RXLI, 3.

PIOTR WERNER

POMNIK NIEZGODY

Bez mała 47 lat stał w parku im. ks. Józefa Poniatowskiego pomnik. Był kulminacyjnym punktem u wejścia do dwóch cmentarzy poległych żołnierzy Armii Czerwonej, których zwłoki złożono tu w 1945 roku. Pomnik miał wyrażać... I tu właśnie zaczął się problem, który zniknął dziesięć lat temu na mocy uchwały Zarządu Miasta. Lecz kto dziś wie, że monument ten zburzono nie po raz pierwszy. Zbudowano go 18 listopada 1945 roku i stał przez niecałe trzy miesiące, nim pierwszy raz zdmuchnęła go silna eksplozja. Wtedy zresztą wyglądał inaczej niż ten, który pamiętamy sprzed rozbiórki.

Akcję wysadzenia pomnika wykonał oddział „KiR” dowodzony przez Władysława Stanilewicza, wówczas 23-letniego studenta UŁ. Był on również założycielem swojego oddziału i doświadczonym pirotechnikiem. Już w 1941 roku, pracując w Gummi-Werke Wartheland przy ulicy Abramowskiego brał udział w produkcji granatów ręcznych i prowadził ją dalej w odlewni Jana Dawidczyńskiego na ulicy Wołowej do końca okupacji niemieckiej.

W pierwszych dniach po ucieczce Niemców w mieście nastąpił chaos. Część żołnierzy AK i innych struktur Polski Podziemnej nie miała zamiaru czekać

na obcą inicjatywę. Postanowili stworzyć prowizoryczne załężki milicji w opuszczonych przez Niemców posterunkach. Przykładem może być 8 Komisariat przy ulicy Narutowicza 81/83. Według relacji W. Stanilewicz liczba ochotników do służby porządkowej nie była duża, bo wynosiła około 30 ludzi, którzy zostali podzieleni na sekcje i patrole. Komendantem posterunku był nauczyciel gimnazjalny Stefan Katner, oficer AK; uzbrojenie zaś pochodziło ze skrytek konspiracyjnych i poniemieckich szaf. Posterunek w tym dobrowolnym składzie funkcjonował 3 dni. Wtedy przybyli pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa oraz PPR i przejęli go wraz z bronią, pozbywając się większości ochotników.

W marcu w Łodzi zostały uruchomione organizacje harcerskie i kursy drużynowych, gdyż okupacja hitlerowska przerzuciła szeregi. Z natury rzeczy nie miały one charakteru prokomunistycznego. Propaganda PPR nasilała już akcję pomówień polskiego podziemia o gremialną kolaborację z faszyzmem, agitując jednocześnie za sojuszem polsko-sowieckim, a w środowiskach konspiracyjnych UB zaczęło przesłuchania. Obecność pułku NKWD i uzbrojonych patroli rosyjskich także nie budowało społecznego poczucia bezpieczeństwa. Harcerstwo było więc szansą na odnalezienie pola do konsolidacji i przetrwania aż do rozstrzygnięcia wojny.

Władysław Stanilewicz również postanowił nie zmarnować tej szansy. Gdy w marcu 1945 roku do Łodzi przybyła jego rodzina z Łowickiego, szybko wciągnął swoje kuzynostwo do organizacji. Ponieważ wciąż jeszcze trwała wojna, zachowywano zasady konspiracji. Oficjalnie była to 57 Łódzka Drużyna Harcerska hufca Łódź-Północ. W kwietniu na jej bazie stworzono kurs podchorążych, jednak po ogłoszeniu wyników konferencji w Poczdamie zaprzestano szkoleń. Zaczęto wydawać gazetkę informacyjną pod tytułem „Polonia”, lecz po dystrybucji kilku numerów przekonano się, że nie stać ich na większy zasięg. Pozostano więc przy akcjach ulotkowych i napisach.

9 maja, w dniu ogłoszenia kapitulacji III Rzeszy, rodzinny oddział W. Stanilewicz przyjął nazwę „KiR”, co oznacza „Krzyż i Róg”, jeden z najstarszych herbów rodziny. Tę właśnie więź uznano za najlepszą gwarancję konspiracji.

Jedna z bardziej spektakularnych akcji odbyła się 29 listopada 1945 roku, w rocznicę Powstania Listopadowego. Oddział podzielony na grupy wyruszył zmieniać nazwy świeżo przemianowanych ulic. Ulica Główna otrzymała więc nazwę Armii Krajowej, ulica Rokicińska



Historyczne pamiątki z okresu działalności „KIR”.

- Narodowych Sił Zbrojnych, plac gen. Józefa Hallera odzyskał swego patrona zamiast Placu Zwycięstwa, zaś ulica Armii Ludowej wróciła do starej nazwy Polskiej Organizacji Wojskowej.

Już wcześniej, bo od października, inna grupa systematycznie obserwowała zmiany wart rosyjskich pod świeżo wybudowanym pomnikiem. Miał on kształt prostopadłościanu na szerokim cokole, z napisem w języku rosyjskim: *Wieczna chwała bohaterom padłym w bojach o wolność i niezawisłość Związku Radzieckiego i Demokratycznej Polski*. Rosjanie zmieniali się przy nim codziennie. Decyzja jednak zależała od por. Żyszkowskiego i wreszcie zapadła: akcja będzie nosić kryptonim „Naczelnik” i ruszy w dwusetną rocznicę urodzin Tadeusza Kościuszki. Wykona ją oddział „KiR” w składzie: Andrzej Stanilewicz ps. „Junak”, Stanisław Lambert ps. „Gin”, Anna Stanilewiczówna-Olecka ps. „Mila” i Zbigniew Suwalski ps. „Kitaj”, pod komendą Władysława Stanilewicza. Cała akcja stała się możliwa, gdyż Rosjanie zdjęli warty z powodu mrozów.

Dzień 11 lutego 1946 roku był mroźny. O godzinie 11.30 podeszli do pomnika z trzech stron. Władysław Stanilewicz przy pomocy liny założył przygotowane przez siebie ładunki z zapalnikami, potem „Junak” założył lonty i podpałił. „Mila” stała na czatach, a reszta ubezpieczała akcję, uzbrojona w pistolety. Na znak rozbiegli się w przeciwnych kierunkach. Eksplozję usłyszeli, będąc kilka ulic od parku. Pomnik został całkowicie zniszczony, gdyż wybuch zamienił i iglicę, i masywny cokół w dwumetrową stertę gruzu.

Następnego dnia prasa łódzka prześcigała się w potępiających nagłówkach. Rozpętała się propagandowa burza, w której nie zabrakło oświadczeń, iż UB jest już na tropie sprawców. Organizowano zebrania i wiece, zaś uczestnicy akcji spokojnie podsłuchiwali prywatne rozmowy łódzian, które diametralnie różniły się od gazetowych nagłówków. Fatalna sytuacja bytowa jeszcze latem, aż do zimy zmuszała łódzkich robotników do licznych strajków. Władza w zamian mnożyła puste obietnice i groźby. Przybywało oskarżeń pod adresem podziemnej reakcji oraz aresztowań. Trudno się więc dziwić, że opinia ulicy na temat wysadzenia pomnika była pozytywna. UB i milicja starały się wmówić uczestnictwo w wydarzeniu wszystkim zatrzymanym członkom ruchu oporu. Bezskutecznie. Poważnie sprawę potraktowali także Rosjanie. Z Łodzi do Moskwy na biurko generalissimusa Stalina popłynął meldunek następującej treści: *12 lutego w Łodzi grupa dywersyjna wysadziła pomnik żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, odsłonięty w listopadzie 1945 roku*



A. Stanilewicz-Ołpka



Z. Suwalski



A. Stanilewicz



S. Lambert



W. Stankiewicz



Zmieścimy z powierzchni ziemi agenty reakcji

Odpowiedź żołnierzom na chyłny czyn KSZ

W dzisiejszym czasie wojny, kiedy
żołnierze walczą o naszą wolność,
nie możemy pozwolić sobie na
żadną formę reakcji. Dlatego
żołnierze KSZ muszą być
w pełni świadomi, że ich
działania są nieodłączną częścią
walki o wolność. Nie ma tu miejsca
na wątpliwości. Jesteśmy z wami
całkowicie. Wasze sukcesy są naszymi
sukcesami. Wasze porażki są naszymi
porażkami. Razem zwyciężymy.

Dzis wielka manifestacja w parku im. Józefa Poniatowskiego

"Nie ma słów cburzenia..."

Manifestacja w parku im. Józefa Poniatowskiego
z udziałem żołnierzy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego
z okazji 10. rocznicy odzyskania
niepodległości

DZIENNIK ŁÓDŹSKI

Dzis wielka manifestacja
w parku im. Józefa Poniatowskiego

Nie ma słów cburzenia...

POLSKA

Żołnierze Armii Czerwonej potępiają
zawłaszczanie pomnika
sowieckiego
żołnierzy
Wojska z winnych żołnierzy odbuduje
zniszczony pomnik

Członkowie oddziału „KIR”;
Potępiające zniszczenie pomnika nagłówki w łódzkiej prasie.

przez Radę Wojenną Północnej Grupy Wojsk i polski rząd. Pomnik wysadzono ładunkiem trotylu. Sprawcy są poszukiwani. Z tego powodu w fabrykach, zakładach, przedsiębiorstwach przemysłowych i urzędach w Łodzi przeprowadzono wiece, podczas których potępiono działania polskiej reakcji. Na wiecach tych robotnicy żądali wykrycia winnych i ich surowego ukarania. Podjęto decyzję i przystąpiono już do zbiórki środków na odbudowę pomnika. Doradca NKWD ZSRS przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego Polski (Sieliwanowski). (Kopia, maszynopis. GARF, f.9401, op.2, d.134, l.361-364. Pod tekstem wpisane maszynowo: Za zgodność: oraz podpis: Akopow).

Oddział „KiR” w 1946 roku prowadził jeszcze akcję propagandową w czasie referendum, powtórzył akcję zmian nazw ulic i plakatowanie w ramach wyborów w 1947 roku. Usłyszałem przed laty od byłego pracownika Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi, że niewykrycie sprawców wysadzenia pomnika pokryło cieniem pracę urzędu na długie lata. Pomnik odbudowano 7 listopada 1946 roku pod wezwaniem polsko-radzieckiego braterstwa broni w otoczeniu mauzoleum. W tej właśnie formie służył do celebrowania doktryny PRL przez 43 lata, a do czasu rozbiórki wzbudzał gorące spory i odruchy niechęci.

Członkowie „KiR”-u wpadli kiedy indziej. W 1950 roku postanowili przenieść skład broni z rodzinnego majątku Mrogi pod Łęczycą do Łodzi. Wiedział o tym były akowiec, komendant placówki w Bielawach, Kazimierz Sporny, który, jak się okazało, współpracował już wtedy z UB. On spowodował zatrzymanie ludzi ze składem broni po przewiezieniu do miasta. Otrzymali oni wyroki od 5 do 15 lat więzienia. Większość z nich skróciła słynna amnestia odwilży.

Władysław Stanilewicz, dziś emerytowany profesor farmakologii, studia i doktorat zakończył na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 1971-92 pracował na Uniwersytecie Paryskim i w Centrum Badań Nuklearnych w Saclay. Aktualnie prowadzi działalność społeczną w fundacji na rzecz kombatanów oraz prywatną aptekę.

Pomnik niezgody zniknął na zawsze, a park Józefa Poniatowskiego i groby rosyjskich żołnierzy zostały. A więc historia. Bez ideologii, bo my, Polacy, czasem nie lubimy pomników, szczególnie stawianych bez naszej zgody, zaś cmentarzom, zgodnie ze starym, polskim obyczajem, należy się pamięć. Inną zupełnie sprawą byłoby pytanie, co rzekłby książę Józef Poniatowski na mecenat taki, jak w łódzkim parku? Lecz stać mu go nie będziemy.



EWA ŻUCHOWSKA

**PIERWSZE
GIMNAZJUM
ŻEŃSKIE
W ŁODZI**

W roku 2001 minęło 100 lat od powstania szkoły Zofii Pętkowskiej i Wiktorii Macińskiej w Łodzi.

Rocznicy tej nigdzie nie odnotowano, choć szkoła ta w pełni zasłużyła na miejsce w kalendarzu historycznym miasta.

W 1891 roku 22-letnia Wiktoria Pętkowska rozpoczęła pracę pedagogiczną w prywatnej pensji żeńskiej Julii Lewalt-Jeziorskiej. Młodsza o dwa lata od Wiktorii siostra Zofia Pętkowska, również nauczycielka, prawdopodobnie udzielała lekcji prywatnych. Po 10 latach, w 1901 roku siostry z inicjatywy Wiktorii założyły własną szkołę. Od władz carskich uzyskały koncesje na szkołę czteroletnią, gdyż otrzymanie innej nie było możliwe. Szkoła mieściła się w długim szarym budynku przy ulicy Wólczańskiej 55. W pierwszym roku szkolnym 1901/02 miała 27 uczennic, w 2 klasach: wstępnej i pierwszej. Siostry zatrudniały wówczas dwie nauczycielki. Władze carskie wymagały nauki w języku rosyjskim, z wyjątkiem religii i polskiego. Przedmiotami zakazanymi była historia i geografia Polski. Od samego początku rozporządzeń tych nie przestrzegano, zabronionych przedmiotów uczono na lekcjach kaligrafii i polskiego.

W kwietniu 1905 roku Wiktoria pierwsza w Łodzi wprowadziła w szkole polski język wykładowy. Decyzję tę podjęła w trakcie łódzkiego strajku szkolnego, całkowicie pomijając władze rosyjskie. Jednocześnie wystąpiła o zmianę koncesji i uzyskała ją 26.08.1906 roku. Koncesja nr 18083 zezwoliła na przekształcenie szkoły czteroklasowej w siedmioklasową i była pierwszą tego typu koncesją udzieloną w Łodzi szkole prywatnej.

W roku szkolnym 1906/07 liczba uczennic wzrosła do 156, grono nauczycielskie liczyło wówczas 16 osób. Matematyki uczył mąż Wiktorii - Paweł Maciński, inżynier z dyplomem wyższej szkoły w Charkowie. W 1910 roku opuściły szkołę pierwsze absolwentki klasy siódmej. Szkoła miała już 270 uczennic, 25 nauczycieli i uważana była za jedną z najlepszych szkół łódzkich (połowa nauczycieli posiadała wyższe wykształcenie). Opinie te ukształtował nie tylko wysoki poziom nauczania, ale także atmosfera tolerancji nie uznająca żadnych różnic, tak wyznaniowych jak i materialnych. Przełożona Wiktoria Macińska stawiała wszystkim uczennicom jednakowe wymagania. Choć szkołę utrzymywała wyłącznie z tzw. czesnego niejednokrotnie udzielała ulg zdolnym, a niezamożnym uczennicom.

O poziomie szkoły świadczy również wydany 30.07.1912 roku rekskrypt Zjazdu Rektorów Wszechnic Szwajcarskich. Na mocy tego dokumentu absolwentki szkoły Z. Pętkowskiej i W. Macińskiej uzyskały prawo wstępu na wszystkie wydziały uczelni szwajcarskich. Korzystanie z tych uprawnień uniemożliwiła pierwsza wojna światowa.

W latach 1914-1918 szkoła pracowała normalnie mimo wojennych trudności materialnych i niemieckiej okupacji. Jesienią 1915 roku rektoraty Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej otrzymały z okazji wznowienia działalności uroczyste adresy podpisane „Ciało nauczające Pierwszego Polskiego Gimnazjum Żeńskiego Zofii Pętkowskiej i Wiktorii Macińskiej w Łodzi”. W maju 1916 roku obchody 125 rocznicy Konstytucji 3 Maja połączone były z uroczystością poświęcenia sztandaru szkolnego.

Po odzyskaniu niepodległości siedmioklasowe Gimnazjum przekształcono w roku 1918/19 w ośmioklasowe typu humanistycznego. Przez pierwsze dwa lata funkcję dyrektora sprawował dr Jan Kaczanowski, zaś od 1920 roku Paweł Maciński.

W 1920 roku zaczęto znów organizować przerwane wojną wycieczki krajoznawczo-historyczne. Utworzone w 1921 roku Towarzystwo Kra-

joznowcze wydało pocztówki z pomnikiem księdza Kordeckiego z Kościoła św. Krzyża. Zaczęło działać koło literackie i artystyczne. W 1921 roku Polski Komitet Plebiscytowy dla Górnego Śląska otrzymał zebrane przez uczennice książki i pieniądze. Za aukcję tę podziękował Wojciech Korfanty w liście z dnia 29.04.1921 roku skierowanym do P. Macińskiego. Uczennice zbierały książki również do bibliotek Śląska Cieszyńskiego, kół Polskiej Macierzy Szkolnej, jednostek wojskowych oraz przygotowywały paczki świąteczne dla żołnierzy KOP.

W 1923 roku papież Pius XI odznaczył dyrektora P. Macińskiego orderem św. Grzegorza Wielkiego „Pro et Principe” za całokształt pracy społecznej i wychowawczej. Na świecie liczba kawalerów tego wysokiego odznaczenia nie może przekroczyć 300 osób. Uroczystość odbyła się w szkole 23.12.1923 roku. Wręczenia orderu dokonał w imieniu papieża ordynariusz łódzki bp Wincenty Tymieniecki. Paweł Maciński był członkiem Sodalicii Mariańskiej, prezesem Towarzystwa Kultury Katolickiej, członkiem Zarządu Głównego i prezesem oddziału łódzkiego Polskiej Macierzy Szkolnej. 15 września 1925 roku biskup Tymieniecki poświęcił kaplicę szkolną. Ołtarz z obrazem MB Częstochowskiej, utrzymany w stylu renesansowym, wykonał z drzewa dębowego zakład W.P.B. Paszczyńskiej, wg projektu St. Kowalskiego. Wiktoria Macińska wiele pracowała społecznie. W ramach Macierzy Szkolnej organizowała kursy dla analfabetów, była współzałożycielką i członkiem zarządu Stowarzyszenia Nauczycieli Chrześcijan. Zmarła w wieku 57 lat 28 lipca 1926 roku. Pochowana została w grobie rodzinnym na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej. Z inicjatywy koła b. wychowanek uczczono jej pamięć tablicą znajdującą się do dziś dnia w Kościele św. Krzyża przy ulicy Sienkiewicza. Druga tablica została wmurowana w sali aktowej szkoły.

Po śmierci Wiktorii przełożoną szkoły została Zofia Pętkowska, obowiązki dyrektora pełnił nadal Paweł Maciński. Uroczyste obchody dwudziestopięciolecia szkoły odbyły się 30 marca 1927 roku. W skład Komitetu Honorowego wchodził m.in. bp. Wincenty Tymieniecki, prezydent Marian Cynarski, wizytator generalny Stefan Cybulski. W sali Teatru Miejskiego uczennice odegrały „Ifigenię w Aulidzie” - Eurypideś i wykonały Kantatę Szkolną skomponowaną przez nauczyciela śpiewu Wincentego Gorzelnińskiego. Profesor konserwatorium we Fryburgu Ludwik Bronarski w liście do P. Macińskiego z 10.05.1927 roku pisał o Kantacie: *Melodyjny, pięknie brzmiący ten utwór świadczy jak najpo-*

chlebniej zarówno o talencie jak i o władzy muzycznej Szanowanego Kompozytora.

Wydano też „Księgę jubileuszową Gimnazjum Zofii Piętkowskiej i Wiktorii Macińskiej z okazji 25-lecia 1901-1926. Wśród nauczycieli tego okresu byli pisarze: Jan Nepomucen Miller i Zenon Kosidowski - autor „Opowieści biblijnych”, ekonomista Oskar Lange, polonistka Helena Szletyńska - od 1909 roku żona Aleksandra Zimowskiego, założyciela znanego łódzkiego gimnazjum męskiego. Ich ślub zapoczątkował wieloletnią współpracę obu szkół. Od roku szkolnego 1933/34 Gimnazjum zaczęło wprowadzać system reformy jędrzejewiczowskiej. Dwunastoletni cykl nauczania obejmował 6 klas szkoły powszechnej, 4 klasy gimnazjum i 2 klasy liceum. Pierwsze matury licealne, tzw. duże matury, odbyły się wiosną 1939 roku. Obowiązkowe stały się tarcze z numerem szkoły: niebieskie w gimnazjum, amarantowe w liceum. Gimnazjum Z. Piętkowskiej otrzymało numer 209.

W 1934 roku maturzystki wydały jednodniówkę pt. „Naszej szkole i naszemu miastu w hołdzie”. Znaleźć w niej można informacje o pracy organizacji młodzieżowych, kronikę wydarzeń, listę uczennic oraz skład Rady Pedagogicznej. Rada Pedagogiczna liczyła wówczas 23 osoby. Najdłuższy staż mieli w niej Paweł Maciński (matematyka), Maria Czekanowicz - „Paniutka” (gimnastyka), Anna Lewandowska (arytmetyka), Jadwiga Macińska - druga żona P. Macińskiego (francuski), Irena Pawłowska (zajęcia praktyczne) i Zygmunt Żabicki (rysunek). W 1928 roku rozpoczęła pracę polonistka Antonina Skibicka-Jamrozowa. W roku 1933/34 pracowali już polonistka Łucja Jaruzanka, łaciniczka Waleria Kaiser, katecheta ks. dr Stanisław Pietrzak, sekretarka Irena Zabicka i lekarka szkolna dr Helena Orylska. W Gimnazjum działały „drużyna harcerska im. Petrażyckiej-Tomickiej (drużynowa Łucja Jaruzanka), Sodaliczka Mariańska, L.O.P.P. oraz koła naukowe” polonistyczne, klasyczne i romanistyczne. Kronika roku 1933/34 odnotowała m.in. wieczornicę Andrzejkową, uroczystość Oplątka Szkolnego, wycieczkę do Lwowa, zwiedzanie radiostacji, fabryk Danzinger Silbersteina, obchody Odsieczy Wiedeńskiej i Święta Niepodległości oraz wystawę Książki Polskiej.

Gimnazjum miało trudności finansowe, gdyż utrzymywało się tylko z opłat czesnego, nie korzystając z żadnych dotacji. Mimo to na ulgi wpisowe przeznaczono 20% budżetu. W latach 1931-1938 szkoła liczyła około 275 uczennic rocznie, a w roku 1938/39 liczba ta wzrosła do 368.

Dyrektorką w ostatnim przedwojennym roku szkolnym była Antonina Jamrozowa. Zmiana na stanowisku dyrektora nastąpiła w latach 1934-1938, w zachowanych materiałach brak bliższych danych.

W pierwszym roku wojny lekcje w Gimnazjum zaczęły się 21 października 1939 roku. W grudniu gestapo zabrało z korytarza szkoły Irenę Łaskowską - nauczycielkę historii, a z lekcji geografii wyprowadzono Zygmunta Podgórnego, członka Komitetu Obywatelskiego utworzonego po wyjeździe władz miejskich Łodzi. Zygmunt Podgórski nie przeżył obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Z końcem 1939 roku władze okupacyjne zlikwidowały szkoły polskie. Gimnazjum Z. Pętkowskiej zakończyło naukę w ostatnich dniach przed Świętami Bożego Narodzenia. Nauczyciele zaczęli uczyć w tajnych kompletach. W styczniu 1940 roku Niemcy wywieźli z Gimnazjum wszystkie pomoce szkolne, zniszczyli liczącą ok. 3 000 tomów bibliotekę, spalili archiwum szkolne. Kaplicę szkolną uratowano przed zniszczeniem. Jak tego dokonano, gdzie ją ukryto - nie wiadomo. Dyrektor Maciński w swoich wspomnieniach nie pisze ani słowa na ten temat.

Okupację Łodzi przeżyli m.in. Zofia Pętkowska, Anna Lewandowska, Paweł Maciński z żoną. Do Generalnej Guberni zostali wysiedleni m.in. Antonina Jamrozowa, Maria Czekalska, Irena i Zygmunt Żabicy. Od 1940 roku działała w ZWZ, a następnie w AK nauczycielka łaciny Waleria Kaiser. W grudniu 1940 roku razem z Władysławą Keniżanką-Olbromską (maturzystką szkoły z 1916 r.) dokonała przetrzutu z Rzeszy do Generalnej Gubernii naczelnika Szarych Szeregów Floriana Marciniaka ps. Nowak. Uratowała wielu zagrożonych przez gestapo, m.in. Aleksiego Zińkowskiego z rodziną. W związku z niemieckim pochodzeniem rodziny zażądano od niej podpisania volkslisty - odmówiła. Po aresztowaniu przez gestapo została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Do kraju wróciła w 1945 roku. Niemcy opuścili Łódź 19 stycznia 1945 roku. Dwa tygodnie później, 1 lutego 1945 roku rozpoczęły się lekcje w Gimnazjum i Liceum Z. Pętkowskiej. Obowiązki dyrektora podjęła ponownie Antonina Jamrozowa. Pierwszą powojenną maturę licealną w czerwcu 1946 roku zdało 11 dziewcząt.

Zły stan zdrowia nie pozwolił Z. Pętkowskiej wrócić do pracy. Wkrótce nie była w stanie opuścić mieszkania. Zmarła 8 czerwca 1948 roku w wieku 77 lat. Po nabożeństwie żałobnym w kaplicy szkolnej została pochowana obok Wiktorii Macińskiej w grobie rodzinnym na Starym Cmentarzu. Po śmierci przełożonej szkoła została w 1948

roku upaństwowiona i przekształcona w XIV Państwowe Gimnazjum i Liceum Żeńskie w Łodzi. Na stanowisku dyrektora pozostała Antonina Jamrozowa. Do grona pedagogicznego dołączyli: Wanda Dybowska (historia), Aniela Ehrenfeucht (fizyka) i Wanda Hirszberg (biologia). Szkoła była oceniana stale jako jedna z najlepszych w Łodzi. W trakcie egzaminów na Akademię Medyczną uczennice W. Hirszbergowej przewyższały przygotowaniem z biologii pozostałych kandydatów i nieraz zaskakiwały egzaminatorów zasobem posiadanej wiedzy. Matury 1950 roku były ostatnimi w budynku przy ulicy Wólczańskiej 55. W tym samym roku „Czternastka” została przeniesiona na ulicę Piramowicza 6. Przenosiny te kończą 50-letnią historię Pierwszego Polskiego Gimnazjum Żeńskiego w Łodzi. Byłe wychowanki spotkały się na zjeździe 50-lecia 12 października 1958 roku, wydając z tej okazji jedno dniówkę „Kartki wspomnień”.

XIV Liceum Ogólnokształcące uległo likwidacji w latach sześćdziesiątych, prawdopodobnie w 1966 roku. Budynek Gimnazjum siostr Pętkowskich przy ulicy Wólczańskiej 55 nie istnieje.



Bibliografia:

- Księga jubileuszowa Gimnazjum Żeńskiego Zofii Pętkowskiej i Wiktorii Macińskiej w Łodzi z okazji 25-lecia 1901-1906. Łódź, 1927.
- Naszej szkole i naszemu miastu w hołdzie. Jednodniówka uczennic klasy ósmej gimnazjum Zofii Pętkowskiej i Wiktorii Macińskiej w Łodzi. Łódź, 1934.
- Kartki wspomnień. Jednodniówka z okazji Zjazdu wychowanek b. Gimnazjum Z. Pętkowskiej i W. Macińskiej, obecnie XIV Liceum Ogólnokształcące. Łódź, 1934.
- Echa Zjazdu Jubileuszowego Wychowanek Gimnazjum i Liceum Z. Pętkowskiej i W. Macińskiej spisane przez Jadwigę Macińską (maszynopis).
- Piątka Z.: W cieniu alei cmentarnych. Łódź, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, 1990.
- Niemierowska-Szczeptańczyk B.J.: Niezapomniana szkoła łódzka Z. Pętkowskiej (1901-1950). Łódź, 1955.

WIESŁAW MACHEJKO

**Z KRONIKI
RADIA ŁÓDŹ
WESOŁY AUTOBUS****WESOŁYM AUTOBUSEM NA
PROGRAM Z DYWANIKIEM**

Ciągle z nami „Lato z Radiem”. Przez dwa miesiące wielki objazdowy cyrk radiowców bawił miliony słuchaczy.

Przypomnijmy, że korzenie tej znakomitej formy kontaktów radia ze słuchaczami narodziły się w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Już w 1958 roku ruszył na wędrowkę po kraju WESOŁY AUTOBUS, a potem PROGRAM Z DYWANIKIEM.

Historia łódzkiego kabaretu radiowego, czyli biorąc szerzej programów rozrywkowo - estradowych z udziałem publiczności zaczyna się skromnie. W styczniu 1936 roku pracownicy Radiowej Stacji Przekąźnikowej nadali na ulicy Wołowej (róg Inżynierskiej) 25 minutowy kabaret radiowy pt. „Wesoły dymek z kominą”. Redagował go Gustaw Wassercug, wykonawcami byli sami pracownicy stacji. Wkrótce do współpracy włączyli się aktorzy scen łódzkich i chór rewelersów Karola Lubowskiego. „Dymek” miał się rozprzestrzeniać w eterze wraz z ruszającą budową najnowocześniejszej w Polsce rozgłośni przy ulicy Narutowicza 130 z masztem nadawczym o wysokości

52 m i mocą 10kW. Polskie Radio Łódź odezwało się na fali 224 m w marcu 1939 roku. Zamilkło 6 września na czas hitlerowskiej okupacji. W styczniu 1945 roku kilka godzin przed wyzwoleniem miasta przez Armię Radziecką hitlerowcy zdążyli wysadzić maszt, amplitakornię, maszynownię, stację pomp i fragmenty budynku. Już 21 października, dzięki ogromnemu wysiłkowi i entuzjazmowi przedwojennych radiowców, spikerka Jadwiga Cedrowska zapowiedziała uroczystość otwarcia odbudowanego gmachu i... koncert popularny. Zaczęło się więc poniekąd na wesoło. Ta cecha miała towarzyszyć dalszym dziejom rozwoju rozgłośni przy ulicy Narutowicza. Radio miało oczywiście normalne zadania informacyjno-publicystyczne, walczyło o upowszechnienie kultury, wiedzy, sportu, oświaty rolniczej itd... My jednak dziś zajmemy się lekką muzą, która uwiła sobie gniazdko w paru redakcyjnych pokojach. O pierwszym przedwojennym programie rozrywkowym już było. Po wojnie pojawiło się jeszcze parę lubianych przez łódzian pozycji jak „Antena na bakier” Igora Sikiryckiego, „Fonsio Selerek ma głos” Antoniego Kasprowicza w wykonaniu Mariana Jeżewskiego, kabaret „Bąbelek” kierowany przez Marka Wawrzkiewicza i jeszcze parę dowcipnych meteorów. Odnotowuje to księga wspomnień łódzkich radiowców opracowana przez Tadeusza Szewerę pt. „Barwny świat mikrofonu” wydana przez WŁ w 1983 roku.

Pierwszymi dużymi programami rozrywkowymi z udziałem publiczności były transmisje „Podwieczorku przy mikrofonie” z sali YMCA powitane z radością przez miłośników tej przedwojennej audycji radia warszawskiego. Wykonawcami byli również dawni znajomi artyści z konferansjerem Kazimierzem Rudzkim, któremu dzielnie pomagali Igor Sikirycki i Marian Jeżewski. Wspomnijmy tu orkiestrę Braci Łopatowskich i piosenkarkę Martę Mirską. Ale oto na Śląsku zrodził się pomysł koncertów masowych dla świata pracy pod nazwą „Przy sobocie, po robocie”. Było to swoiste radiowe antidotum na „drobnomieszczański” sposób spędzania czasu w postaci spożywania podwieczorków w ogóle, a przed mikrofonem w szczególności. Nie mogliśmy być gorsi. Tadeusz Szewara w swej książce „Barwny świat mikrofonu” odnotowuje więc, że 31 stycznia 1953 roku odbył się koncert estradowy w wykonaniu aktorów scen łódzkich, solistów, chóru i Orkiestry Rozrywkowej Polskiego Radia w Łodzi. Była to zarazem setna audycja tzw. masowa, nagrana w naszym mieście na taśmę magnetyczną i nadana w programie ogólnopolskim. Potem były następne. Poszukiwano najlepszej formy.

KIEROWNICY I AUTORZY "WESOŁEGO AUTOBUSU"



WŁ. KRZEMIŃSKI
Dyr. literacki



J. KAŹMIERCZAK
Kier. muzyczny



J. MOZGA
Dyr. artystyczny

KAPELA "WESOŁEGO AUTOBUSU"

POD KIEROWNICTWEM

JANUSZA KAŹMIERCZAKA



A. ROKICKI — ST. ZAJĄC — W. BIEDRZYCKI — J. KAŹMIERCZAK

Afisz informujący o występie łódzkiego, objazdowego teatryku „Wesoły Autobus”.

Taką znaleziono na początku roku 1958: „coś” dla wsi i małych miast czyli „WESOŁY AUTOBUS”, a dwa lata później narodził się „PROGRAM Z DYWANIKIEM” tworzony z myślą o słuchaczu i widzu ze środowisk miejskich, wielkoprzemysłowych. Dla każdego było coś miłego i śmiesznego.

PEŁNA BECZKA ŚMIECHU to.... ... autobus nasz!

Twórcami tej popularnej przez długie lata audycji dla wsi i nie tylko, byli Józef Mozga, Wojciech Drygas i Wincenty Kaźmierczak.

*Srocza na płocie, aha!
Wyrzrzyj - że no łocięc, aha!
Co to pędzi drogą, aż popatrzyć strach
Wesoły autobus gna po kocich łbach!*

Flagowa piosenka zespołu napisana przez Tadeusza Dobrzyńskiego rozbrzmiewać będzie odtąd z milionów głośników w Polsce, a nawet w Kanadzie i USA. Objazdowy teatrzyk Autobusu występował na stadionach, w remizach, świetlicach, domach kultury. Program składał się ze skeczy, monologów, piosenek, ballad, kupletów i obowiązkowo z wywiadów prowadzonych na estradzie przez „kierowców” „Wesołego Autobusu”: gawędziarzy Wincentego Kaźmierczaka i Władysława Wojdę. Tematy zbierali dziennikarze - autorzy podczas wcześniejszych wizyt. Ich przetworzenie układało się w widowisko na kształt wesołej śpiewogry, czy wodewilu. Złośliwi porównywali taki program, zwykle monotematyczny do amerykańskich oper mydlanych. Jego bohaterowie nie są wymieniani z nazwiska, ale łatwo rozpoznawalnymi byli siedzący na widowni cukrownicy, hodowcy drobiu, leśnicy, rybacy, mechanicy z POM-ów i kółek rolniczych, PGR-ów i Spółdzielni Produkcyjnych, mleczarze i sadownicy, także wiejska służba zdrowia i działacze kultury. Program miał swe stałe pozycje i postacie. Był więc zręczliwy Wujaszek i rezolutna Kasia, był Janko Krytykant ze swemi kupletami wyśpiewywanymi na ludowe melodie, refleksyjne ballady wyśpiewywał dziadek z bardzo współczesnych pozycji, bawił Sprawozdawca Radiowo-Prasowo-TV zachłystujący się zachwytem z byle jakiego powodu, ot dziecko propagandy sukcesu. Ze swego punktu widzenia oceniali wydarzenia w kraju gawędziarze - konferansjerzy transmitując centrali na gorze sytuację w Polsce, zza siódmej miedzy.

Peregrynacje po kraju były uciążliwe. Audycje nagrywano w miejscach niekiedy bardzo od Łodzi oddalonych. Zawsze w poniedziałki, bo aktorzy teatrów łódzkich tylko wtedy mieli dzień wolny od spektakli i prób. Podróżowano wynajętymi w PKS autobusami, bez żadnego komfortu za to z licznymi awariami po drodze zawsze grożącymi spóźnieniem lub kłapą.

Nie było przydrożnych zajazdów i barów. Panie chodziły w leśne krzaczki na lewo, a panowie na prawo. Niedospani, zmęczeni, przebiegali się nieraz za sceną, we wspólnych garderobach. Nagrywano zazwyczaj dwa występy. Były i cztery jednego dnia. Na życzenie publiczności! A rekordem stadion w Łodzi z 40-oma tysiącami widzów. Trudno w to uwierzyć, gdy na dłuższych trasach jeździmy autokarami z barkiem, ubikacją, telewizją, radiem, klimatyzacją i lotniczymi fotelami, w których można spać.



"Program z dywanikiem" gości w Łódzkim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich.
Na zdjęciu radiowi clowni Jerzy Bielenia i Lech Ordon.

Toteż redaktor Józef Mozga walczył jak lew o wygodny własny autokar, który byłby nie tylko środkiem dojazdu, ale też „polową garderobą”; miał własną stacjonarną aparaturę nagrywającą. Zabiegi u wicepremiera - ludowca dały efekt. Polskie radio, jako firma, otrzymało (z myślą o Łodzi) piękny autokar jugosłowiański SANOS. Warszawska centrala chciała jednak zrobić szwindel: zatrzymać go dla siebie, Łodzi dając jeden z własnych, starych gratów. Potem sprawa oparła się, aż o interwencję u premiera. To przeważyło. Acz nie do końca! Nie wyrażano w radiowej centrali zgody na umieszczenie na bokach napisu WESOŁY AUTOBUS POLSKIEGO RADIA. Może być tylko POLSKIE RADIO. Walka o ten pojazd nigdy nie była skończona... Ale po kocich łbach

jeździł już przyzwoity samochód. Można było sobie wyobrazić, zespół WA objechał świat ponad dwa razy, dając na pewno ponad tysiąc koncertów w Polsce oraz kilkadziesiąt w czasie trzech tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie na zaproszenie impresario Henryka Michalskiego. Z podróży po kilkudziesięciu ośrodkach polonijnych od Montrealu do Nowego Yorku artyści przywieźli wiele dobrych recenzji, a nawet płyty długogrające z nagraniami wstępnymi wykonane i sprzedawane podczas koncertów przez wytwórnię SYRENA - RECORD. W nowojorskim tygodniku „CZAS” Artur Słomka pisał: (...) *było prawdziwą przyjemnością spędzić kilka godzin w atmosferze rewiowej rozrywki na wysokim poziomie, jaką uraczyli nas Goście z Łodzi. Dobrze jest od czasu do czasu odetchnąć czystym powietrzem swojskiego piękna i posilić się zdrowym humorem, który ma smak i zapach polskiego chleba. Za jedno i drugie jesteśmy rodakom z Łodzi wdzięczni całym sercem. Każdy taki występ artystyczny uważać można za rewanż wdzięczności ze strony Polski za troskę, za pomoc materialną, jaką Polonia okazuje Staremu Krajowi. Ta wzajemna wymiana dóbr między Polonią, a Starszym Krajem, z każdym rokiem pogłębia się i przybiera na sile. Dzięki tej wymianie, rodacy przedzieleni oceanem łatwiej się dogadują i mocniej odczuwają więź narodowej wspólnoty.*

I dalej o wykonawcach: (...) *jest to zespół otrzaskany zarówno w teatralnej sztuce jak i w polskiej telewizji, i w Polskim Radio. Każda z nich, to talent i artysta w swoim rodzaju, któremu łatwo przychodzi wyczarować z siebie moc artystycznego piękna.*

Następnie Artur Słomka komplementuje muzyków, redaktorów i autorów programów dwu pierwszych tournée zapewniając, że:

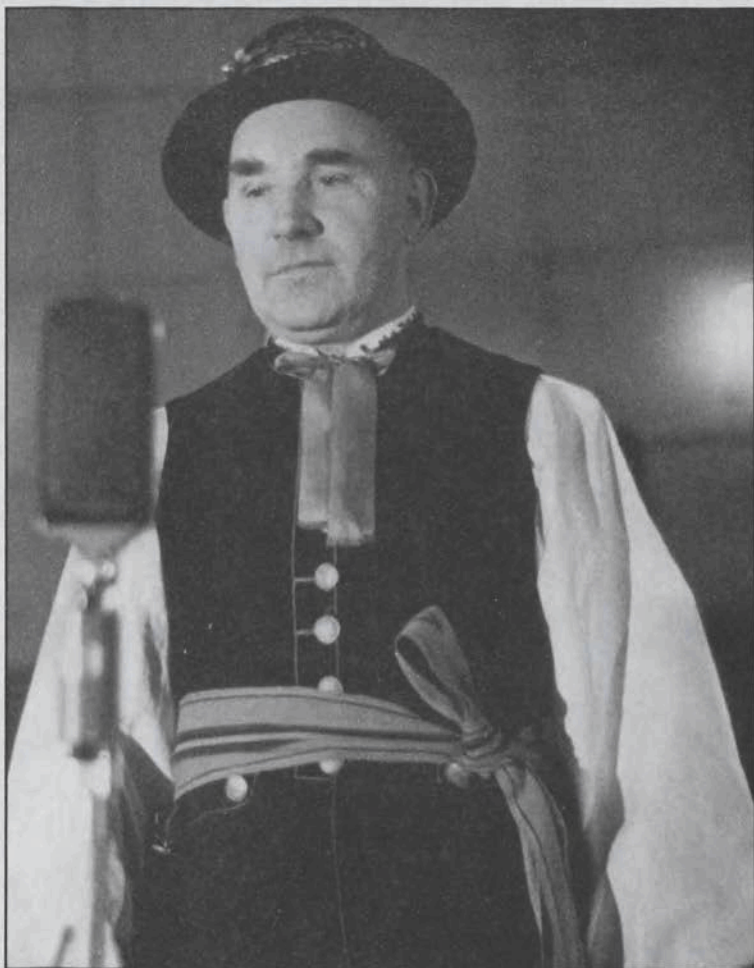
...zarówno na „Wesoły Autobus” jak i każdy zespół krajowy na odpowiednim poziomie Polonia zawsze poleci bez niczego. W czasie objazdu po Ameryce zespół „Wesołego Autobusu” zamykał swe widowisko rewiowe piosenką finałową, w której podkreślone melodyjnym akcentem powtarzały się słowa „Pamiętajcie żeście nasi” ze zrozumiałym wzruszeniem wysłuchiwała Polonia tych słów. Zachowa je w pamięci. Zapisze je głęboko w sercu.

„Czas” nr 45 -7 listopada 1969 rok

Od roku 1993 „Wesoły Autobus” garażuje już tylko w archiwum PR w Łodzi. Sam pojazd spełniwszy swoją rolę w związkowych wyjazdach na grzyby, jako zbyt drogi w eksploatacji, poszedł na przetarg do ludzi.

Za kierownicą „Wesołego Autobusu” zasiadali w latach 1958-93: Józef Mozga (18 lat), Włodzimierz Krzemiński, Wiesław Machejko, Józef Mozga, Janusz Słowikowski, Ziemowit Dziennicki, Małgorzata i Jarosław Warzechowie, Mirosław Kuźniak, Włodzimierz Łuszczkiewicz, Roman Gorzelski, Michał B. Jagiełło, Tadeusz Dobrzyński oraz gwęddziarze Wincenty Kaźmierczak i Władysław Wojda.

foto: W. Machejko



Wincenty Kaźmierczak - kierowca „Wesołego Autobusu” Polskiego Radia.

Załogę tworzyli w ciągu lat aktorzy i wokaliści: Anna Gębicka, Jerzy Sidorowicz, St. Marian Kamiński, Janusz Kłosiński, Czesław Przybyła, Włodzimierz Skoczylas, Romana Kamińska, Andrzej Łągwa, Ryszard Dębiński, Emil Karewicz, Franciszek Trzeciak, Janina Borońska, Barbara Połomska, Magdalena Cwen, Bogdan Baer, Gustaw Lutkiewicz, Wojciech Siemion, Włodzimierz Adamski, Andrzej Fogiel, Izabella Nave, Romuald Spychalski, Tadeusz Kopacki, Tadeusz Fitas, Adam Zwierz, Adam Duliński, Paulos Raptis, Andrzej Niemierowicz, Tadeusz Woźniakowski, Elżbieta Starostecka, Alicja Krawczykówna, Ewa Halicka, Adam Koziołek, Ewa Sonnenburg, Wiesław Wierusz Kowalski, Robert Rozmus, siostry Dubrowin i „Trzeci oddech kaczych”.

Muzykę komponowali i kierowali zespołem muzycznym: Janusz Kaźmierczak, Bogdan Pawłowski i Tadeusz Woreta. Skład kapeli ulegał zmianom. Rekord przywiązania do WA ustanowili ojciec i syn Wacław i Zbigniew Biedrzyccy grający na skrzypcach, klarnecie i gitarze - 35 lat!

Biuro Studiów i oceny Programu polskiego i TVP badając w trzech kilkunastu odczytach społeczny oddźwięk wybranych pozycji programowych polskiego radia stwierdziło, że „Wesoły Autobus” jest po „Podwieczorku przy mikrofonie” najbardziej słuchaną audycją programową i cieszy się największą popularnością.

„Kalejdoskop” Łódź, grudzień 1981 rok

Panie Kowalski
(piosenka z Wesołego Autobusu)

*My tu do pana, panie Kowalski,
Niepokoimy się trochę tym,
Że gdy pan tylko pokiwa palcem,
Mówi pan, że to społeczny czyn.*

*I już pan pisze pismo do prasy
Chcąc zewsząd pochwał poznać smak...
Bo pan te sprawy, panie Kowalski,
Widzi mniej więcej tak:*

*W społecznym czynie matka przewinie
Swe ukochane, rumiane dziecię.*

*W społecznym czynie list nie zaginie
I pan listonosz ten list przyniesie*

*W społecznym czynie siądziesz przy winie,
Lub z kolegami w domino zagrasz,
W społecznym czynie na imieniny
Pójdiesz do brata, albo do szwagra...*

*Panie Kowalski! Daruj pan sobie
Ten punkt widzenia, uśmiechu wart,
A z pana strony będzie to pierwszy -
W społecznym czynie, społeczny dar.*

Janusz Słowikowski 1965 rok

PROGRAM Z DYWANIKIEM CZYLI... „WAR ŁÓDŹ”

Na radiowym dywaniku rozłożyła się czwórka estradowych profesjonalistów: Marian Jeżewski, (30 lat na antenie), Irena Fenigsen, Tadeusz Dobrzyński i Kalina Jerzykowska. Pierwszy koncert 10 października 1960 roku zadedykowano załodze zakładów bawełnianych im. Marchlewskiego. 17 lat później Marian Jeżewski wspominał:

(...) nasz pomysł był taki - nawiązać do teatru plebejskiego. Przychodzi grupa aktorów, rozkładają dywanik, nie wybierają miejsca uroczystego, niepotrzebna im estrada i grają. My też tak graliśmy: w domach kultury, fabrycznych halach, szkołach. Staraliśmy się umożliwić ludziom żywy, bezpośredni kontakt ze znanymi aktorami, piosenkarzami. Chcemy aby nasze produkcje były zawsze wysokiej próby. Ci, którzy nas oglądają, a przede wszystkim słuchają przez radio, tych jest z resztą nieporównanie więcej - orientują się, że niezmiennie mogą liczyć na występy ogromnie lubianych artystów. A bywali na Dywaniku: Ludwik Benoît, Janina Jaroszyńska, Stanisław Maria Kamiński, Paulos Raptis, Tadeusz Woźniakowski, Irena Santor, Halina Kunicka, Irena Jaročka, Zdzisława Sośnicka, Fryderyka Elkana, Framerowie, Jerzy Połomski, Barbara Rylska, Urszula Modrzyńska, Jarema Stępowski, Alina Janowska, Alicja Majewska, Hanna Rek, Zbigniew Kurtycz, Ireneusz Kaskiewicz, Stanisław Kwaśniak, duet ekscentryczny radiowych kłownów: Lech Ordon i Jerzy Bielenia. Razem z nimi występowali utalentowani młodzi artyści

Studenckiego Teatru Satyry „Pstrąg” Jerzy Pieczyński, Janusz Gawlik, Wojciech Boczkowski i Janusz Słowikowski (ten dostarczał również teksty). Grały, posługując się nowoczesnym wówczas instrumentem - organami Hammonda - zespoły Jerzego Abratowskiego i Benona Hardego.

W realizacji użyto obok elektrycznych organów Hammonda także mikroportów i nagłośnienia sali dotąd przez radiowców unikanego. Zrobili to radiowi akustycy z Łodzi: Edmund Puszko, Michał Targowski, Henryk Kapczyński, Stanisław Kapiec i Janusz Kups.



foto: W. Machojko

Kierownik kapeli "Wesołego Autobusu" Janusz Kaźmierczak ze złowionym przez siebie szczupakiem w Węgorzewie nad Jeziorem Dargin.

Cała ekipa liczyła ponad 50 osób. „Dywanik” zjechał całą Polskę. Czterokrotnie brał udział w realizacji wspólnych z radiofoniami niemiecką i czechosłowacką koncertów estradowych. Zgromadził wiele pamiątek - dowodów sympatii załóg odwiedzanych zakładów i instytucji. Utkano na jego cześć specjalny prawdziwy dywan, były posągi z soli i węgla. Zespół nie przyjął wagonu cementu ofiarowanego na pamiątkę przez załogę cementowni Działoszyn. Potem by się przydał. Ostatnia z redaktorów „Dywanika” Kalina Jerzykowska mówi, że po kilku przetrzepaniach program zszedł z eteru razem z odejściem na emeryturę Mariana Jeżewskiego i Tadeusza Dobrzyńskiego, więc w 1979 roku „Dywanik” dał blisko 300 koncertów.



Autorką wielu świetnych pomysłów satyrycznych "Programu z dywanikiem" była red. Irena Fenigenowa (do 1968 roku) wtu na zdjęciu z autorem tekstu.

Zacznął się charakterystycznym fragmentem instrumentalnym melodii „Kwiecień w Portugalii”, a kończył (choć nie zawsze) chóralnym wykonaniem piosenki do muzyki Charlesa Trenet’a, a z takim oto tekstem Tadeusza Dobrzyńskiego, który cytujemy tu z pamięci:

*Tyle domów, tyle gwiazd, tyle ulic,
Tyle domów, balkonów i bram,
Nie zabraknie nam ramp, ani kulis
I piosnek nigdy nie zabraknie nam!*

*Pstry dywanik na piasku pod chmurką,
Katarynka i frak pełen łat
Ale wszędzie, na każdym podwórku
Baw się tu, na Dywanku, na sto dwa!*

„Sztandar Młodych” pisał:

„Program z Dywanikiem” jest estradowym rejsem Polskiego Radia w teren, jest artystyczną, często farsowo-komediową sondą tego, co nie warszawskie, tego czy żyją ludzie poza wielką stolicą. Gdzieś wybuchł zatarg między fabryką a miastem, powstał krzyk, którego echa dotarły do redakcji estrady. I wte-

dy uruchamia się dziennikarski aparat dyskretnego podsłuchu. Z zebranych w ten sposób realiów komponuje się kolejny program. Powstaje zaskakujący niekiedy regionalną otoczką prawdziwy ludowy wodewil, którego bohaterami są ci, którzy dostarczyli radiowcom materiału do jego kompozycji. Ale w owych mikrowodewilach nie ma nic z zaścianka. Przeciwnie mnóstwo w nich faktów, uogólnień pasujących do innych, podobnych fabryk, czy osiedli, zawierający znamiona społecznej typowości. Służy jej mikrodraturgia, w której nie ma nic ze sztamperów dawniejszych programów „Przy sobocie, po robocie”. Piosenki, skecze, monologi, aranżowanie rozmów z audytorium mając często posmak jakiejś prawdziwie kpiarskiej zabawy, zaznaczonego z góry dystansu do przedmiotu satyry, nic z łezki i protekcyjności. Na pewno zasługa w tym także młodych nie zmanierowanych piór Słowikowskiego i Machejki, autorów łódzkiego „Pstręga”, którym sekundują m.in. warszawianie Bardijewski i Kuniński. Program zaś opatrzony bywa w eterze hasłem „WAR-ŁÓDŹ”. Dobra to kolaboracja!

Bogdan Danowicz S.M.

Lista autorów była dłuższa. Teksty pisali także Jerzy Medyński, Zenon Wiktorczyk, Tadeusz Dobrzyński, Jerzy Hutek, Halina Jerzykowska oraz niezrównana w obficie rozdawanych twórcom pomysłów Irena Fenigsenowa (do roku 1968).

A kiedy już zabrakło miejsca na antenie ogólnopolskiej Kalina Jerzykowska i Małgorzata Kamińska przygotowały dla Łodzi „Wesołą trzecią stronę medalu”, zasyłały tekstami i nagraniami satyryczne programy „jedyńki” i „Dwójki” i „Trójki”. Nie tylko w rozrywce nadchodziły dla radia lata chude. Likwidowali wielkie orkiestry Gerta, Rachonia, Debicha. Palmę pierwszeństwa przejmowała telewizja. Radiowcy wszak nie ustępowali i czynią tak do dziś. Obecnie powodzeniem cieszy się niedzielne „Słodkie radio retro” mające swój publiczny wizerunek w studyjnych spotkaniach z publicznością na Woronicza. Trzyma się hufców walogurskich rycerzy wrocławskiej ELITY. No i na szczęście są solidne (w odróżnieniu od telewizyjnych) archiwa. Mądrzy Francuzi już dawno ocenili ten skarb tworząc dla emisji archiwalnych antenę „RADIO SENTIMENTALE”. No i cóż? Pozostaje nam tylko czekać. Bo czerpać u nas jest z czego. A jak przyjemnie posłuchać...



JERZY GAŁĘBA

MILION
CZYTELNIKÓWBIBLIOTEKA UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Powstała dosłownie z niczego - w lutym 1945 roku. Wyprzedziła o trzy miesiące oficjalne otwarcie Uniwersytetu Łódzkiego. Wciąż jest znaczącą placówką w rankingach bibliotekarstwa krajowego i europejskiego.

Warto więc wspomnieć, że w 2005 roku - kiedy przypadnie jubileusz 60-lecia jej istnienia - przez czytelnie i katalogi tej skarbnicy wiedzy przewinie się dwunaste już pokolenie studentów (jeśli przyjąć średnio 5-letni okres zdobywania dyplomu).

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego była od samego początku swego istnienia drugim, znaczącym ośrodkiem gromadzenia zbiorów książkowych Łodzi. Pierwszym - wciąż pozostaje pamiętająca czasy XX-lecia międzywojennego - Miejska Biblioteka Publiczna przy zbiegu ulic Gdańskiej i Kopernika, nosząca dziś imię marsz. Józefa Piłsudskiego.

Początkiem naszych zbiorów - informuje zastępcę dyrektora tej placówki dr Jerzy Andrzejewski - były dary zagraniczne: amerykańskie oraz Związku Patriotów Polskich, a także osób prywatnych

- np. repatriantów z Wilna. Jednak główne źródło gromadzenia zasobów stanowiły tzw. księgozbiory zabezpieczone - podworskie, poniemieckie, pochodzące z Pomorza i Śląska. W sumie - w pierwszych powojennych latach, zgromadzono 320 000 woluminów.

Od 1947 roku BUŁ-a otrzymuje tzw. egzemplarze obowiązkowe, tzn. wszystkie drukowane w Polsce publikacje naukowe, prasowe i okazjonalne - z wyjątkiem druków ścisłego zarachowania.

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego liczy obecnie 2,7 mln woluminów - z czego ponad 1/3 zdeponowana została w podręcznych zasobach bibliotek zakładowych, rozrzuconych po całym mieście i działających przy poszczególnych wydziałach macierzystej uczelni.

Nowoczesną - na owe powojenne czasy - bryłę gmachu usytuowaną na obrzeżach parku im. Jana Matejki - zaprojektował arch. E.R. Orlik. Roboty budowlane rozpoczęły się w połowie marca 1955 roku, zaś oficjalne otwarcie - nastąpiło 19 stycznia 1960 roku BUŁ-a jest dziś uniwersalną biblioteką naukową. Gromadzi piśmiennictwo wszystkich dziedzin uprawianych na UE począwszy od XV wieku aż do współczesności. Są to nie tylko książki i czasopisma polskie czy zagraniczne, ale także rękopisy, starodruki, ikonografie, grafiki, kartografia, zbiory muzyczne, druki ulotne, plakaty, druki artystyczne, autorskie i inne.

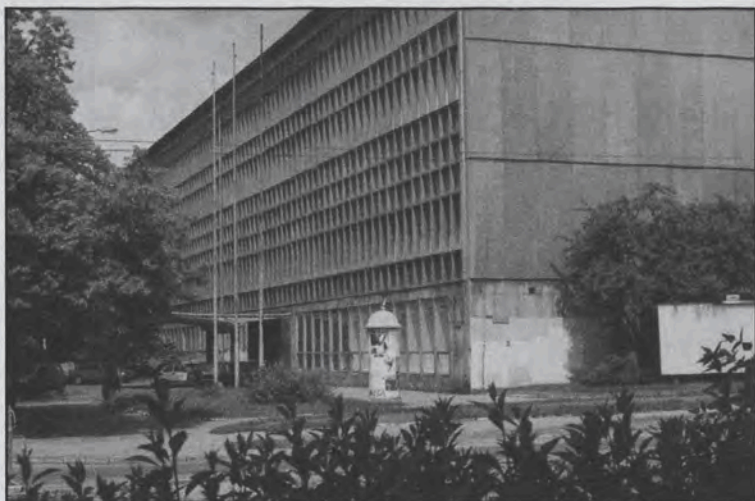


foto: archiwum

Gmach Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.

Po roku 1989 zbiory przekazywane w tzw. rezerwie - czyli (prohibita) - obejmujące publicystykę emigracyjną po II wojnie światowej, są w pełni dostępne dla wszystkich zainteresowanych. Statystyki wykazują, że BUŁ-ę odwiedza rocznie ok. miliona studentów i osób pracujących umysłowo oraz twórczo.



Sala biblioteczna.

Od 1998 roku wprowadzono nowy, elektroniczny system rejestrowania zasobów HORIZON, dzięki amerykańskiej Fundacji Melona. Niedawno też rozpoczęto prace nad rozbudową i reorganizacją Biblioteki, która będzie mieć wolny dostęp do półek.

Obok działalności usługowej na rzecz studentów - BUŁ-a prowadzi także szeroko zakrojoną działalność informacyjną, wystawienniczo-propagandową i naukową.

Część zbiorów została przeniesiona na inne nośniki zapisu - tzw. mikrofilmy albo mikrofiszki i rozważana jest także możliwość

wykorzystywania do tego celu techniki komputerowej - tzw. digitalizacja zasobów.

Poza tym BUŁ-a prowadzi badania nad historią książki, edytorstwem, czytelnictwem i prace nad bibliografią regionalną. Współpracuje (prowadzi działalność wymienną) z wydawnictwami UŁ i ŁTN, a także z ponad 350 instytucjami z całego świata - wyjaśnia dr Jerzy Andrzejewski.



BARBARA MAJ

ZAPIS STANU
ŚWIADOMOŚCI

Ponad dwadzieścia lat od wydarzeń 13 grudnia 1981 roku wciąż nie wiemy, czym w istocie był stan wojenny: aktem zdrady narodowej w interesie rządzących partyjnych elit czy też, jak to określił generał Wojciech Jaruzelski, „mniejszym złem”, które miało uchronić Polskę przed katastrofą. Groził nam bowiem nie tylko przelew bratniej krwi, ale prawdopodobna była także „braterska pomoc”, która w Budapeszcie w roku 1956 i w Pradze w 1968 roku miała podobny przebieg i finał.

Niewiele mogą pomóc nam będący „na topie” historycy, gdyż ich oceny mają wciąż charakter polityczny i podporządkowane są z góry założonej tezie. Wokół stanu wojennego, jak też wokół epoki nazywanej pogardliwie Polską Ludową, toczy się ciągle jeszcze spór raczej natury ideologicznej. Odwoływanie się do przeszłości rzadko bowiem przynosi u nas obiektywną analizę faktów i zdarzeń, służy raczej utrzymywaniu podziałów na „czystych”, którzy sprzeciwiali się totalitarnemu złu oraz na tych, którzy owo zło utrwalali, nie sprzeciwiali się mu a nierzadko nawet czerpali z niego korzyści.

Wyrazem takiego dychotomicznego widzenia jest publikacja zatytułowana „Internowani z regionu łódzkiego”, za-

wierająca materiały z sesji popularno-naukowej, która odbyła się w Łowiczu 15 i 16 grudnia 2001 roku w 20 rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Nie powinno nas dziwić, że autorzy zamieszczonych w tomie wspomnień, referatów i wypowiedzi mają do tamtych wydarzeń stosunek niechętny. W końcu padli ofiarą wypadków, które zaważyły głęboką traumą na całym ich życiu. Ale nawet uwzględniając ten czynnik zastanawia mimo wszystko, że dla większości piszących czas zatrzymał



Okładka książki wydanej staraniem Komitetu Organizacyjnego Rocznicowego Spotkania Internowanych Okręgu Łódzkiego Łódź-Łowicz 2001, zredagowanej przez Mariana Papisa.

się na dacie 13 grudnia 1981 roku i nie próbują pogłębić swojej refleksji o doświadczenia późniejszych dwudziestu lat. Jedynie Mieczysław Malczyk, który wstąpił na drogę działalności opozycyjnej ponad pół wieku temu, za co zresztą zapłacił w czasach stalinowskich długoletnim więzieniem, pyta: *Gdzie są korzenie „Solidarności”?*. Brak mu jednak odwagi, albo nie czuje potrzeby, aby przeanalizować mechanizmy tego wielkiego ruchu społecznego, który obrócił w biurokratyczny aparat, sam się zmarginalizował, porzucony przez ludzi nadających mu przed laty wielką siłę oddziaływania.

Malczyk reprezentuje nurt rozliczeniowy, dla niego wciąż aktualna pozostaje teza 26 z rozdziału VI programu pierwszego zjazdu „Solidarności” (był jej współautorem), która głosiła że: *osoby winne doprowadzenia kraju do upadku muszą ponieść pełną odpowiedzialność*. Chodziło, rzecz jasna, o Wypadki Poznańskie 1956 roku, o wydarzenia na Wybrzeżu w roku 1970, o prześladowania studentów w roku 1968, wreszcie o represje wobec robotników Radomia i Ursusa w 1976 roku. Wszystkie te daty mają wielkie znaczenie w historii powojennej Polski.

Ale słuszny postulat rozliczenia przeszłości, z czego zdaje sobie chyba sprawę sam Malczyk, traci na wyrazistości w świetle działań, za które ponoszą odpowiedzialność ludzie związani z etosem Sierpnia: nazbyt wielkimi kosztami społecznymi transformacji systemowej, w wyniku czego miliony ludzi straciły nie tylko pracę, ale i nadzieję na lepsze jutro. Piękne słowo solidarność zastąpione zostało przez egoizm elit, które zapomniały o najsłabszych czy wręcz odrzuconych.

Malczyk woli jednak nie poruszać tej sprawy, wraca więc do tzw. 21 postulatów gdańskich z 1981 roku i stwierdza: *Program ten, owoc wielkiego nakładu pracy, był dumą i chlubą „Solidarności” w tamtym okresie. Po „zwycięstwie” „Solidarności” w 1989 roku nigdy jednak nie podjęto próby jego realizacji, choćby w jakimś ograniczonym zakresie, choć tzw. obóz posierpniowy, skupiający tych z prawa i tych z lewa był dwukrotnie u władzy, ostatnio aż przez 4 lata.*

Autora stać jednak na bardzo gorzką refleksję, uważa bowiem, że jeśli tamten program był utopią, a pojęcie Samorządna Rzeczpospolita jedynie pustym hasłem, *to byłaby to prawda porażająca. W ten sposób oszukano bowiem 10 milionów członków NSZZ „Solidarność”, Solidarność także tych wszystkich, którzy zawierzili „Solidarności” i nam, jej działaczom*

Nurt rozrachunkowy z własnym obozem politycznym znajdziemy w szkicu byłego wicemarszałka Sejmu, Andrzeja Kerna, który zatytułował go nawet „Jak rodziła się III Rzeczpospolita (Spojrzenie przez pryzmat regionu łódzkiego)”. Autor, świadek wielu wydarzeń, które opisuje, nie jest jednak zawodowym historykiem, toteż w swojej syntezie kieruje się raczej sympatiami obciążając odpowiedzialnością za porażki ruchu związkowego tzw. postsolidarnościową lewicę, do której zaliczeni zostali tacy ludzie jak Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Andrzej Wielowieyski i Adam Michnik. Kern zarzuca kierownictwu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, reprezentującego zwycięski obóz solidarnościowy, że po czerwcowych wyborach 1989 roku *nie reagowało na*

odradzanie się komunistycznej hydry. I chociaż spojrzenie byłego wicemarszałka Sejmu jest znacznie szersze niż Malczyka, obaj autorzy dochodzą do podobnej konkluzji: na prawdziwą Rzeczpospolitą którą nosimy w swoich sercach i za której wolność zapłaciliśmy własną wolnością, przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać.

Jest to kliniczny przykład kombatanckiego kompleksu, który cechował ludzi zaangażowanych w przemianę rzeczywistości. Ta, która się zrodziła, zawsze odbiegała od ideału. Rozczarowani II Rzeczpospolitą byli zarówno legionści, jak i przedstawiciele nurtu narodowego, czego dowody znaleźć możemy w licznych pamiętnikach. Podobną frustrację okazywali tzw. prawdziwi komuniści, krytykując dokonania Polski Ludowej, dalekie od ich wyobrażeń o ustroju sprawiedliwości społecznej.

Nie może więc dziwić, że mająca okazjonalny, rocznicowy charakter publikacja „Internowani z regionu łódzkiego” jest raczej zapisem stanu świadomości licznych autorów, niż próbą spojrzenia na wydarzenia 13 grudnia 1981 roku z historycznego dystansu. Toteż niewątpliwie najwartościowszą częścią tej książki jest lista osób internowanych z regionu łódzkiego, choć nie zawsze precyzyjna, jeśli chodzi o daty. Pozwala ona wszakże weryfikować wiele mitów, bo jak to jest przyjęte w polskim zwyczaju, im dalej od jakichś wydarzeń, tym więcej kombatanatów przypisujących sobie niezaskłużenie rozmaite zasługi.



JERZY WILMAŃSKI

**WALERY
SŁAWEK
- LEGENDA
I TAJEMNICA**

W dzieciństwie słyszałem (a były to lata niemieckiej okupacji) dość często powtarzane dwa nazwiska z historii Polski: Józefa Piłsudskiego i Walerego Sławka. Tak więc z tym drugim nazwiskiem - dziś raczej nieznanym nawet młodym pokoleniom historyków - zetknąłem się bardzo wcześnie. Nie miałem jeszcze dziesięciu lat. Stało się to za sprawą mojego dziadka Stanisława Kałużnego, który działał w okresie Rewolucji 1905 roku w Organizacji Bojowej PPS, a potem we Frakcji Rewolucyjnej PPS.

Walery Sławek natomiast ową Organizację Bojową współtworzył. Stąd legenda tej postaci w moim rodzinnym domu, kultywowana przez matkę. Kiedy jednak po wyzwoleniu trafił do moich uczniowskich rąk pierwszy podręcznik „Historia Polski” pań Missalowej i Schoenbrenner, był to już rok 1952 i nazwiska Walerego Sławka nie znalazłem. Piłsudski oczywiście był, byli nawet Marcin Kasprzak z SDKPiL, Stefan Okrzeja z PPS i - oczywiście - Feliks Dzierżyński - ale Sławka zabrakło.

Potem, krótko po wojnie wpadła mi w ręce książka Karola Koźmińskiego „Kamienie na szaniec”. Nie, to nie pomyłka! W roku 1937 Wydawnictwo Książnica Atlas wydało taki zbiór hagiograficz-

nych życiorysów bohaterów odrodzonej Polski: Tadeusza Wyrwy-Furgalskiego, Leopolda Lisa-Kuli (o którym pisano wiersze i piosenki), czy Bolesława Mościckiego... Ich wspólną cechą było to, że oddali życie za Polskę - a Waleremu Sławkowi w 1937 roku zostały jeszcze dwa lata życia. Nawiasem mówiąc jestem pewien, że Aleksander Kamiński musiał znać książkę Koźmińskiego, przeznaczoną dla szkół i harcerzy, i że ów tytuł jego opowieści o bohaterach Powstania Warszawskiego, wzięty ze Słowackiego („Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”) - wziął w ślad za zapomnianą dziś książką legionowego hagiografa.

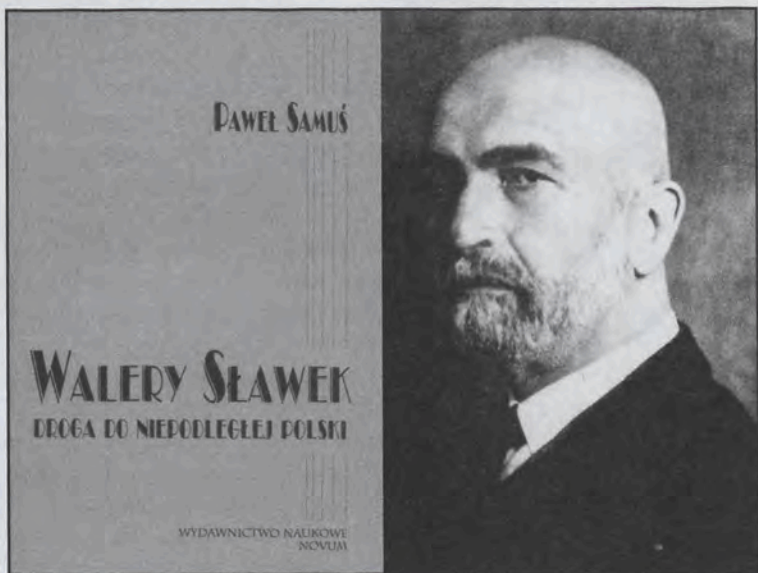


foto: archiwum

Walery Sławek (ok. 1935).

I dopiero po latach osławiona, krytykowana, lekceważona dziś, bo pe-relowska, a przecież wciąż nieoceniona Wielka Encyklopedia Powszechna PWN z końca lat 60. publikuje obszerny biogram i fotografię Walerego Sławka. A zasłużył na miejsce w historii, bo był w II Rzeczypospolitej i posłem i marszałkiem sejmu i premierem i był głównym twórcą Konstytucji Kwietniowej 1935 roku. Należał do wpływowej grupy pułkowników, był oficerem do specjalnych poleceń Naczelnika Państwa.

Niespodziewanie 3 kwietnia 1939 roku popełnił samobójstwo. Padł ofiarą typowego polskiego piekielka. Szykanowany przez ówczesną ekipę rządzącą (tą właśnie, która doprowadziła do wrześniowej klęski) stał

się ofiarą brutalnej kampanii propagandowej. A jak wiadomo usłużnych dziennikarzy, zdolnych wykonać najbardziej parszywe zlecenie, nigdy w Polsce nie brakowało i nie brakuje.

Strzał z rewolweru był tragicznym epilogiem tej kampanii. Ale kto opróżnił jego sejf?

Tajemnicze, do dziś owiane mgłą nieдомówień i zagadek samobójstwo... Jego sejf zawierający (któż to wie?) może największe tajemnice II Rzeczypospolitej - zastano pusty. W roku 1976 Zbigniew Safjan napisał intrygującą powieść „Pole niczyje”, której fabuła niedwuznacznie eksploatuje postać i tajemnice Walerego Sławka. Dopiero książka Safjana, mająca dużą poczytność i kilka wydań przypomniła szerszemu gronu Polaków tę niezwykłą postać. Ale jednak to była literatura i fikcja, nie dokument oparty o źródła archiwalne.

Przydługi ten wywód (myślę, że jednak konieczny) jest wstępem do prezentacji książki profesora Pawła Samusia pt. „Walery Sławek - droga do Niepodległości”. Nie jest to pełna biografia, bowiem stanowi próbę odtworzenia drogi bohatera książki do niepodległej Polski. Miejmy jednak nadzieję, że niebawem otrzymamy drugą część tej monumentalnej pracy, tym razem z lat 1918-1939.

Pisze prof. Samuś: *Biografia Walerego Sławka jest integralnym elementem portretu zbiorowego i losów uczestników polskiego ruchu socjalistycznego i irredenty, meandrów ich poszukiwań i dokonań, sukcesów i porażek w dążeniu do celu.(...) Był Walery Sławek jednostką wybitną, o zasługach ogromnych dla Polski Odrodzonej. Jego postać stała się uosobieniem całkowitego oddania służbie idei i poświęcenia sprawie niepodległej Polski, człowieka i polityka znanego ze swej bezinteresowności i prawości nie tylko w kręgu przyjaciół i współpracowników, ale i szerzej w życiu publicznym. Nawet jego przeciwnicy mówili o nim, że był idealistą, choć nie mogli mu wybaczyć niektórych jego ostrych wypowiedzi i posunięć politycznych po 1926 roku.*

Oczywiście książka prof. Pawła Samusia nie jest pierwszym opracowaniem na temat Walerego Sławka, ale jest z pewnością pierwszym tak obszernym i perfekcyjnie udokumentowanym. Dla Czytelnika łódzkiego ważne są też te partie książki, w których autor zajmując i drobiazgowo relacjonuje pobyt (a raczej kolejne pobyty) Walerego Sławka w Łodzi. Pracował tu początkowo od stycznia 1900 roku w firmie ubezpieczeniowej i Banku Handlowym przy ulicy Średniej (dziś Pomorska). Ale nie bankowość i ubezpieczenia były jego głównym celem. Skontaktował się z rodziną Rogowskich związaną z Polską Partią Socjalistyczną.

Warto dodać, że istniejącą do dziś najstarszą bibliotekę Łodzi przy ulicy Andrzeja Struga (dawniej św. Andrzeja), założyli właśnie Rogowscy, prowadzący pracę oświatową wśród łódzkich robotników.

Walery Sławek szukał kontaktu konspiracyjnego, ale akurat wtedy 22 lutego 1900 roku policja carska nakryła drukarnię „Robotnika” przy ulicy Wschodniej 19, aresztując Józefa i Marię Piłsudskich. Przesunęło to nieco termin nawiązania ściślejszych kontaktów. Z Łodzią i łódzką PPS jednak Walery Sławek związany był przez dłuższy czas. Swego rodzaju ciekawostką może być dla starszego Czytelnika fakt, że Sławek właśnie uratował przed aresztowaniem Lucjana Rudnickiego - późniejszego autora głośnej książki „Stare i nowe”. Młodemu Rudnickiemu groziło w Łodzi aresztowanie i został przez Walerego Sławka przewieziony na teren Zagłębia, co przyszły pisarz potem z humorem uwiecznił w swojej książce.

O Walerym Sławku, jego działalności i dokonaniach sporo rozproszonych informacji znajduje się w literaturze historycznej poświęconej dziejom ruchu socjalistycznego i wyzwolenczego, Legionom Polskim i POW. Walery Sławek należał bowiem do „pokolenia 1905”, nazywanego też „pokoleniem przełomu”, które najpierw walczyło o niepodległość i odbudowę Polski, a potem - z różnym skutkiem - tworzyło jej elitę polityczną. Bohater książki prof. Pawła Samusia jest jedną z piękniejszych postaci tej elity, która - jak to w Polsce - miała swoje jaśniejsze i ciemniejsze strony. Walery Sławek niewątpliwie należał do postaci nieposzlakowanych. Może dlatego, że był idealistą?



Samuś P.: Walery Sławek - droga do Niepodległości. Wydawnictwo Naukowe NOVUM, 2002.

EDWARD MÜLLER

KSIĄŻKA POTRZEBNA I NA CZASIE...

fot.: archiwum



Okladka antologii „Humor Żydowski” zredagowanej przez Jerzego Wilmańskiego.

Jerzy Wilmański znowu mnie zaskoczył. Wydał w odpowiednim momencie książkę potrzebną i znakomitą. Opracował mianowicie antologię humoru żydowskiego. Właśnie pojawiła się na księgarskich półkach w momencie rozpoczęcia w Łodzi Festiwalu Dialogu Czterech Kultur. O tym jak wielki wpływ na rozwój naszego miasta wywarli Żydzi nie muszę nikogo przekonywać. Społeczność żydowska tworzyła z nami fenomen łódzkiego rozwoju i rozkwitu. Była znaczącym elementem wielokulturowej i wielonarodowej Łodzi. Nie tylko w okresie rozwoju przemysłu ale także w międzywojniu i w latach po II wojnie światowej. Tragedię holokaustu przeżyło niewiele ale ja osobiście żyłem i przyjaźniłem się z wieloma. Tak się bowiem złożyło, że chodziłem do szkoły podstawowej RTPD przy ulicy Jaracza gdzie uczyło się wielu z nich.

W mojej klasie było więcej Żydów niż Polaków i wtedy właśnie poznałem bliżej ich zwyczaje, sposób życia i kulturę. W tamtych latach na ulicy Jaracza czy Więckowskiego częściej można było usłyszeć jidysz niż język polski. Te ulice tworzyły swoistą kolonię żydowską w mieście, zanim syjonizm i późniejszy „październik” nie wygnał ich do Izraela. Swoich przyjaciół szkolnych żegnałem więc

znacznie wcześniej niż po exodusie 1968 roku. Choć po Moczarowskich czystkach także z wieloma z nich musiałem się rozstać, w tym z dziewczyną w której się podkochiwałem. Mogę więc powiedzieć, że we mnie Wilmański znalazł wyjątkowo wdzięcznego czytelnika.

Jego książka wydana starannie przez Wydawnictwo Łódzkie i Wydawnictwo „Cyklop” przypomniła mi lata dziecięce i młodość, a część z zamieszczonych przez niego anegdot i kawałów znałem już wcześniej. Nie pamiętam już czy opowiadał je Felek Tobiasz, Kru-glański czy Kuba Wilczyński, może znam je z lektur, w każdym razie czytając antologię Jurka „Humor Żydowski” poczułem się jakbym po latach wracał do atmosfery młodości. Trzeba też powiedzieć, że wiele z zamieszczonych w książce dykteryjek nieco już zwietrzała. Przynajmniej dla mnie. Wiem jednak, że wyrosło nowe pokolenie, dla którego te żydowskie szmoncesy i kawały będą swoistym odkryciem i zabawą. Silną stroną tej antologii są z pewnością rysunki i karykatury Artura Szyka niewątpliwie największego i najwybitniejszego rysownika żydowskiego Łodzi. Jurek Wilmański ma naturę zbieracza i bibliofila ale jak mu się udało zdobyć te rysunki jest dla mnie zagadką. Wyjaśnia co prawda, że skorzystał ze zbiorów Marka Szukalaka ale skąd zdobył je Marek już nie wyjaśnia. W każdym razie biję obu duże brawa. Dzięki nim Artur Szyk ciągle w Łodzi żyje. Podobnie jak ciągle jest obecny specyficzny żydowski humor i esprit. Przytoczę z książki tylko jeden przykład: *Kupiec łódzki w przededniu rozprawy sądowej zmuszony był wyjechać do innego miasta. Prosi więc adwokata o telegraficzną informację o przebiegu procesu. Po rozprawie adwokat nadaje depeszę - Sprawiedliwość zwyciężyła! W dwie godziny później otrzymał odpowiedź - Natychmiast wnieść apelację!*

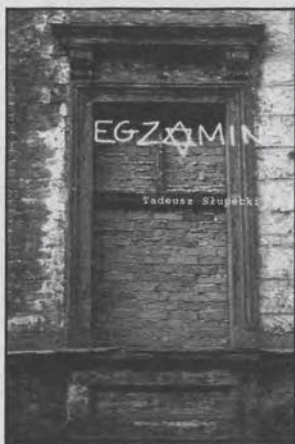
Wracając do książki. Gdybym miał się czepiać Jurka, to tylko o to, czy rzeczywiście wybrał najlepsze dykteryjki z bogatego zasobu żydowskich dowcipów. U Safrina jest wiele lepszych anegdot i szkoda, że Jurek ich nie przypomniał. Także przypisanie otwierającego książkę dialogu Rapaporta i Goldberga „Sęka” jedynie Konradowi Tomowi jest pewną wpadką edytorską. Szmonces ten napisało dwu autorów. Jak się nazywał drugi autor, nie powiem, niech Jurek trochę pogłównkuje. Generalnie jednak jestem tą książką oczarowany i cieszę się iż mój przyjaciel całkiem nie skapcał, ciągle coś pisze i wydaje. Tak trzymaj Jurku, nie daj się i pamiętaj o mądrości żydowskiej, iż zawsze lepsze jedno słowo przed niż dwa po.



MAGDA SZUSTER

„EGZAMIN” TADEUSZA SŁUPECKIEGO

foto: archiwum



Okładka książki Tadeusza Słupeckiego
„Egzamin”.

Ojciec Trudy co chwila powoływał się na swojego wodza. Czynił to także wtedy, kiedy odprowadzając Trudę zostałem przez nią niemal siłą wciągnięty do jej mieszkania, gdzie chciała pokazać mi jakąś książkę. Z opowiadań Trudy wiedziałem, kim dla niego i jego najmłodszego syna Franca był Adolf Hitler już przed wojną, ale teraz mogłem sam ujrzeć owo dziwne niemieckie zafascynowanie nim - potężnym czarodziejem, zesłanym, jak wielu wierzyło, Niemcom przez Boga, aby zadziwił świat. Aby szedł z mieczem przez kontynenty, powalał na kolana małe i wielkie narody, a ich ziemie i smarowany grubo masłem chleb zgarniał dla własnego narodu. Nawet dla tych Niemców, którzy niegdyś musieli szukać chleba w obcych krajach. To o tym mówił mi właśnie ojciec Trudy.

- Mój dziadek, Herr George, przywędrował do Polski z Saksonii, pieszo, z węzelkiem na kiju.

- Mój ojciec spał w Łodzi na poddaszu. I przymierał z głodu w fabryce Geyera, co też tu przyszedł z Saksonii.

- Ja w tym mieście za rządów Polaków biegałem po łódzkich ulicach boso, w podartych portkach i koszuli. Potem wozilem tu dorożkę Żydów.

- No a teraz... Schauen Sie mal. Niech no pan popatrzy na to mieszkanie. Wunderbar, nicht war? Wspaniale, nieprawdaż?

Ojciec Trudy cmokał, rozpierając się na miękkim krześle i wywnętrzał się przede mną, obciążając na okazałym brzuchu jasnobrązowy mundur bojówki S.A. Z satysfakcją bębnił palcami w stół, prześwitujący dębowym połyskiem przez oczka haftowanej serwety. I nawet przez myśl mu nie przeszło, że do jego mieszkania wszedłem i udawałem łódzkiego volksdeutscha tylko dzięki zachwalstwu Trudy i jej skłonności do ryzyka. Chwilami jednak ogarniał mnie strach. Zaczynało mi się wydawać, że w tym mundurze hitlerowskiej bojówki rozpiera się nie niski i tęgawy ojciec Trudy, lecz wszyscy myślący jak on. Że rozsiedli się w na miękkim krześle, w mieszkaniu zrabowanym Polakom, pośród zrabowanych mebli i jeszcze się tym chełpią. Drwią z poczucia sprawiedliwości.

- Herr George, prosit! Teraz dzięki Hitlerowi Niemcy odkują się na tyśnięć lat.

- Podbijemy niedługo cały świat.

- Żydom wydrzemy ze śmierdzących cebulą gardzieli to, co pokradli nam przez wieki. A potem zgnoimy ich w gettach i obozach.

- Polacy pozostaną na wieki naszymi parobkami. Albo podzielą los Żydów.

Ojciec Trudy prawie to wykrzykiwał. Trącał się ze mną kufsem kwaśnego, wojennego piwa, wypijał je duszkiem za pomyślność swojej prostacko potwornej wizji. Moje piwo spadało mi w przetyk powolnym soplem lodu. A on wielką łapą ocierał mięsiste usta, obracał się na krześle, ciągle w swoim jasnobrązowym mundurze hitlerowskiej bojówki. Ręką sięgał do stolika, stojącego pod ścianą z wielkim portretem Adolfa Hitlera i przekręcał gałkę radia na Berlin. Wiedziałem już wcześniej od Trudy, że pilnie słuchał chętpliwych przemówień wodza i jego podwódców, chodził na zebrania ich partii. W Parku Poniatowskiego, nazwanym Hitlerjugend Park, krzyczał na Parteitagach: Sieg Heil! Z płonącej pochodni w dłoni maszerował ulicami w pochodach, sobotnie popołudnia spędzał z bojówką S.A. na strzelnicy, dziurawiąc tam z karabinów papierowe sylwetki Anglików i Rosjan, przypięte pineskami do strzelniczych tarcz. Na rozkaz podwódców wysiedlał do getta Żydów. W Zellgarnie gnębił w pracy Polaków, w domu szpiegował niemieckich sąsiadów, którzy skrycie opowiadali się przeciw Hitlerowi i jego polityce wobec Żydów, Polaków i innych narodów świata. Pilnie czytał komunikaty z wojennych frontów. Śpiewał piosenki grożące klęską Anglii i Rosji. A nade wszystko ślepo uwielbiał Hitlera - swego wodza. Za to, że tamten zechciał go przyjąć do tego, jak mu się wydawało, Wspaniałego Świata Niemców.

- Heil Hitler, Herr Georg.

Matka Trudy wyszła z kuchni w czystym fartuchu, pozdrawiając mnie także imieniem wodza. Wygladziła na kredensie haftowane serwetki, poprawiała stojące na nich kryształę strofowała szeptem nastroszoną Trudę, żalującą już swego zuchwalstwa które kazało jej przyjść tu ze mną. Potem Frau Mager powracała do kuchni, w swój kuchenny świat, również zabrany Polakom i Żydom. Powracała do troski o Alfreda, swego trzeciego syna, który w początkach okupacji ostrzegł Romana przed aresztowaniem, chodził wciąż zamyślony i, jak Truda, nieco zagubiony między dwoma narodami. Teraz walczył przeciw Anglikom w podbitej Francji, pisał stamtąd do żony czułe listy.

- Prosit, Herr Georg.

Ojciec Trudy trącał się ze mną kolejnym kuflem piwa. Potem pochmurniał, nasłuchiwał kroków w hallu, zmierzających w stronę kuchni. Z opowiadań Trudy wiedziałem, kto stawia te szybkie kroki za drzwiami pokoju: to był Jan Mager, jej brat najstarszy, jedyny w rodzinie, który nie podpisał volkslisty. A nawet zaczął podczas okupacji mówić po polsku, choć przed wojną jakoś udało mu się ukończyć gimnazjum niemieckie w Łodzi i wolał w domu mówić po niemiecku.

-Wstrętna morda. Wyrodek!

Ile razy Jan Mager rozmawiał w kuchni z matką po polsku, jego ojciec w pokoju klął po niemiecku.

fot. archiwum



Rynek Nowego Miasta w okresie II wojny światowej; obecnie Plac Wolności.

Dosadnie jak dorożkarz, którym był przed wojna. Klął syna jak opornego konia, słuchałem jednak tych klątw jak bzyku owada. Dostrzegałem w nim nawet ludzki dramat, obcy mi, ale zawsze dramat. Wiedziałem, że gdybym wtedy nie siedział w pokoju, ojciec Trudy już biegłby do Jana. Kazałby synowi patrzeć na mapy wojennych frontów, na zdobytą już prawie całą Europę, na zdobywaną Afrykę, krzyczałby, że jutro Adolf Hitler zdobędzie Anglię, Rosję, cały świat. Potem pytałby syna o to, co mu dała Polska i sam by odpowiedział: „Hans, ona ci dała tylko izbę na poddaszu i smród w gaciach!” Wiedziałem od Trudy, co na to odpowiedziałby Jan. Uśmiechałby się ironicznie, po czym spytałby ojca, na jakich to mapach świata napisano, że Polaków w ich własnym kraju wolno wyrzucać z ich mieszkań, a także że on, Jan Mager, musi podpisać Hitlerowi volkslistę. Ojciec Trudy kląłby na to po niemiecku i rzucałby się na syna z pięściami, a może nawet chciałby go przebić kuchennym nożem, jak wtedy, kiedy temu przeszkadzili Truda i Franc. Ów dobry Franc, który wołał ojcu oszczędzić publicznego skandalu, wywołania rodzinnej hańby przed niemiecki sąd.

-Vati, widziałem Geyera i młodego Johna. Ci podli dranie leżą w kostnicy, jak zastrzelone wściekle psy.

O tych dwóch łódzkich Niemcach, zabitych w ich mieszkaniu przez gestapo, Franc mówił z zimną nienawiścią, jaką czuł do wszystkich, którzy myśleli inaczej. Truda opowiadała mi o tym niechętnie, jakby ją samą przerażała



Łódzkie getto żydowskie.

foto: archiwum

ten najmłodszy brat i ten dziwny chłód w jego wzroku, który ujrzała, gdy Franc po raz pierwszy wrócił z miejskiej kostnicy. Na początku okupacji, jakiś przybyły z Rzeszy student namówił go, by zastrzelili w parku Poniatowskiego garbatego Żyda i zrobili potem sekcję jego garbu. Odtąd Franc Mager bywał często w piwnicach kostnicy, patrzył tam godzinami na nagie ludzkie trupy, na to, jak pielęgniarz sprawnie je rozbiera i goli z włosów, przygotowuje do sekcji lub zakonserwowania w formalinie. Wracał stamtąd zawsze z tym nieludzkim chłodem w oczach, który tak bardzo przerażał Trudę.

-Vati! Geyera zastrzelili, bo wyparł się swoich niemieckich przodków. A John chciał zdrząc ostrzec przed gestapo.

Franc mówił to patrząc z odrazą na Jana. Potem dodawał znacząco, że tamci też nie chcieli się przyznać do wodza i jego Wspaniałego Świata Niemców. Właśnie za to porzucono ich martwych na podłodze kostnicy, by przez miesiąc, nie zwrócenia własnym rodzinom, napełniali piwnice mdłym zapachem nie pogrzebanych ciał. Aby leżeli tam pohańbieni, w swych śnieżnobiałych koszulach, spryskanych krwią, w swych wytwornych ubraniach. Z karteczkami „Name unbekannt”, nazwisko nieznane, choć ich nazwiska i zbudowane przez nich fabryki znało tu od połowy wieku całe miasto...”

Przytoczyłam fragment ostatniej książki Tadeusza Słuspeckiego by zainteresować nią szerokie grono czytelników. Książki odbiegające w swej treści i klimacie od wesołych historyjek i opowieści estradowych, a jednocześnie jakby znanej. W 1976 roku na rynku księgarskim ukazała się powieść „Samotne drogi”, opowiadająca o młodym chłopaku, wywodzącym się z biednej łódzkiej rodziny, który w czasie okupacji zdobywa średnie wykształcenie. „Egzamin” jest jakby nową, szerszą wersją tamtej książki.

Jego bohaterem też jest pochodzący z biednej rodziny chłopak, który w czasie okupacji pracuje i uczy się. Ma licznych kolegów i koleżanki. Wywodzą się oni z różnych grup narodowościowych. Dla mnie najbardziej interesującymi są ich zachowania, zachowania rodzin, które od lat mieszkają, dorabiają się w Łodzi i zmuszone są do zajęcia konkretnego stanowiska wobec okupacji niemieckiej. Jak się okazuje nie są to wcale sprawy łatwe ani proste. Podziały przebiegają - jak w przytoczonym fragmencie - nawet wewnątrz tych rodzin.

Łódź, jako miasto zamieszkałe przez przedstawicieli wielu narodów, pracujących w tutejszym przemyśle, była wielokrotnie opisywana. Ale Tadeusz Słuspecki stawia swoich bohaterów w sytuacji zmuszającej do dokonania wyboru. Czy mający niemieckie korzenie rodzice i wujowie

Alicji mają współpracować a hitlerowcami tak jak rodzice Trudy? Przecież też mają niemieckich przodków, tyle że nie z Saksonii.

Nie ma w „Egzaminie” bohaterskich czynów z bronią w ręku ani wymagających wyrzeczeń działań konspiracyjnych. Okupacja jawi się w nim - w porównaniu z innymi książkami - tak jakby spokojnie, wręcz łagodnie. Jest parę scen mordowania Żydów, grabieży ich mienia, wywożenia do getta, ale one są jakby w tle. Jerzy Zaborowicz, będący alter ego autora, pracuje, uczy się, kocha, chodzi na randki, podrywa dziewczyny i powodzi mu się lepiej niż przed wojną. Nie jest żadnym młodym bojowcem, jest chłopakiem który stara się wykorzystać swoją szansę na zdobycie wykształcenia w określonej sytuacji. Do pracy się niezbyt przykłada, ot aby go nie wyrzucili i nie wysłali do Niemiec.

Tadeusz Słupecki, prawdziwy łódzianin, zmarł w listopadzie ubiegłego roku. „Egzamin” wydany przez Bibliotekę Tygla Kultury był jego ostatnią książką. Wydaje mi się że wszyscy interesujący się dziejami naszego miasta winni do niej sięgnąć.



KRYSTYNA LEWICKA
ZIELONE LATAŁÓDZKI DOM KULTURY
1953-1973

Komu bije dzwon? Być może usłyszą go mieszkańcy naszego miasta w 2003 roku, gdy Łódzki Dom Kultury obchodzić będzie 50 - lecie działalności. Hemingway'owski dzwon ostrzegwał jednak: *nie pytaj komu bije dzwon, bo bije on właśnie tobie*, tak więc najwyższy czas, by pracownicy tej instytucji, opowiedzieli o latach, które coraz bardziej zacierają się w pamięci.

Komu i czemu służył Łódzki Dom Kultury? Utrzymywała się opinia, że Łódzki Dom Kultury, wielofunkcyjny obiekt, usytuowany w centrum milionowego miasta, to miejsce rendez-vous jego mieszkańców. Faktycznie spotkać tu można było ludzi różnego wieku, różnych profesji, różnych poglądów i zainteresowań, obok rdzennych łodzian często ludzi, którzy tu przybyli z odległych stron, którzy nie wyrzekając się własnych metryk, pochodzenia i bagażu własnych doświadczeń, wnosili autentyczne pasje, talenty, zaangażowanie, nie stronili od odrobiny szaleństwa i fantazji, a przy tym działali bezinteresownie, nie licząc ani czasu, ani wysiłku.

W początkach lat pięćdziesiątych reprezentacyjny, solidny gmach przy ulicy Traugutta 18 vis a vis Dworca fabryczne-

go, miał sąsiedztwo dosyć osobliwe: rząd starych, zrujnowanych czynszowych kamienic przy ulicy Kilińskiego, obok wdzięcznej bryły prawosławnej cerkwi, sąsiedztwo renomowanego hotelu „Polonia”, którego właścicielem był niegdyś Izaak Poznański i osławionej ulicy Składowej, gdzie obok pijackich melin i podejrzanych spelunek spacerowały wieczorem panie wątpliwej konduity. Wczesnym rankiem, przepełnione tramwaje przewoziły setki zmęczonych włókniaerek wracających z nocnej zmiany i tych, zdążających rano do fabryk. Dzisiaj setki ludzi przechodzących codziennie tunelem z ulicy Traugutta do dworca dostrzega po prawej stronie ruchliwy, wieżowiec byłego Textilimpexu, po lewej pomnik Józefa Piłsudskiego i hotel „Centrum” - nie pozostało ani śladu budowy z tamtych lat.

A było tak: w roku 1932, kilkanaście lat po odzyskaniu niepodległości naszego kraju, Związek Legionistów - Oddział w Łodzi, podjął uchwałę by w mieście stanął pomnik Marszałka, pomnik monument, w którym m.in. miały znaleźć miejsce organizacje byłych wojskowych. Inicjatorami gmachu pomnika byli: dr Kazimierz Oksza-Strzelecki, architekt Stanisław Nowakowski i panowie radni miasta: Feliks Płoński, Marian Wadowski, Aleksander Kopciusz i Konstanty Leonow. Idea przetrwała się szybko w czyn, choć nie brakło sprzeciwów. W 15-tą rocznicę wyzwolenia Polski, na placu miejskim przy zbiegu ulic Sienkiewicza i Strzeleckiej (obecnie Traugutta) wmurowano kamień węgielny. We wrześniu 1934 roku prace budowlane w stanie surowym były wyraźnie zaawansowane. W maju 1935 roku monumentalny, solidny gmach stanął pod dachem. Rozpoczęto nawet budowę wielkiej sali widowiskowej. Wojna przerwała prace nad dokończeniem gmachu.

Po wyzwoleniu miasta w roku 1945 budynek przy ulicy Traugutta przejęła Okręgowa Rada Związków Zawodowych. 15 stycznia 1953 roku związkowcy różnych branż skupieni w Okręgowej Radzie powołali do życia Ośrodek Metodyczny Pracy Kulturalno-Oświatowej i usytuowali go na II piętrze. Patronowali temu zamierzeniu wytrawni działacze związkowi: Marian Sumerowski, Zygmunt Gradecki, Kornelia Stankiewicz. W Ośrodku zatrudniono fachową kadrę, m.in. znalazło się tam kilku nauczycieli: Karol Grabowski, Henryk Zyner, Józefa Szarowska, Krystyna Lewicka. Wkrótce działalność ośrodka stała się tak dynamiczna, że przekształcono go w samodzielny Dom Kultury Związków Zawodowych. Przy końcu roku kalendarzowego powiększono personel o 35 osób. W grudniu 1953 roku placówka podsumo-

wała swoją działalność. Okazało się, że zorganizowano na przestrzeni roku 115 odczytów i prelekcji dla 9 000 Słuchaczy, 27 seminariów i narad metodycznych dla ok. 1 700 osób, 102 imprezy artystyczno-rozrywkowe. Powstało 15 zespołów artystycznych. Biblioteka zwiększyła księgozbiór do 23 000 woluminów i zyskała ponad 100 punktów bibliotecznych w zakładach pracy.

Minęło kilka lat i 1 stycznia 1957 roku prezydium Miejskiej Rady Narodowej oficjalnie przejęło placówkę od Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych i przekształciło ją w Łódzki Dom Kultury. Dom otrzymał do dyspozycji wszystkie pomieszczenia 5 piętrowego budynku z salą widowiskową na 350 miejsc.

Na co dzień w ŁDK krzyżowały się drogi różnego autoramentu działaczy i społeczników, którzy nie tyle pragnęli tu coś zyskać, a bardziej chcieli kimś się stawać, kimś być. Spora grupa spośród z nich stawiała sobie dość wysoką poprzeczkę i rzeczywiście po latach osiągała sukces. Kadrowo zasilila zawodowe placówki artystyczne. Dla wielu z nich działanie, szczególnie na niwie artystycznej, było rodzajem pasji czy silnego hobby, a także potrzeby aktywnego, społecznego działania. Kadra pracowników merytorycznych miała z reguły szersze pole widzenia, niż pole manewru. Mimo to po 15 latach działalności właśnie ta kadra wywyżgnęła ŁDK do czołówki tego typu instytucji w kraju. Były więc orderzy, nagrody, dyplomy, stypendia zagraniczne. Biblioteka za modernizację pracy i wprowadzenie wolnego dostępu do półek - pożyła nawet, jakże wówczas potrzebny samochód „Nysa”.

Ludzi, którzy ten DOM tworzyli w tamtych latach i dla których ten DOM był czasem ważniejszy, niż własny dom, warto wspominać z sentymentem i szacunkiem. Nie sposób tu przytoczyć dziesiątków nazwisk wartych pamięci. Jednocześnie trzeba z pokorą przyznać, że podobnie jak w innych instytucjach tego typu, indywidualność kadry kierowniczej znacznie zaważyła na tzw. obliczu i randze placówki. W latach 1953- 55 dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury był Karol Grabowski, od 1956 do 1976, a więc blisko przez 20 lat - z dwuletnią przerwą kiedy funkcję dyrektora pełniła Regina Elkan - kierował ŁDK Stefan Wojciechowski, do którego zasłużenie przylgnęło określenie „właściwy człowiek, na właściwym miejscu”.

Dziennie odwiedzało Łódzki Dom Kultury od 200 do 350 osób. Na pierwszym i trzecim piętrze zazwyczaj panował duży ruch i gwar. Tam dział artystyczny realizował drogą ćwiczeń, prób i drogą wymiany do-

świadczeń, organizacji występów, konkursów i festiwali swoje zadania programowe. Kto dziś pamięta nazwiska i zasługi wielu oddanych całym sercem instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego m.in. prof. Orlicza, J. Kaczanowskiego, Rosławy, Witolda i Stefana Dowgirdów, R. Elkanowej, F. Zaleskiej, W. Mischke, N. Świdorskiej, E. Pagowskiego, K. Hencz, J. Nachrztera, T. Skoczylas, W. Lewandowskiego, M. Rymarczyka czy niezapomnianą postać pani Józefy Szarowskiej, o której Głos Robotniczy pisał: *była tego Domu duszą...* To właśnie byli ci, u których potwierdzała się dewiza, że: *praca instruktora - czy jak kto woli - animatora kultury - to nie zawód, lecz misja*. Obok nich wieloletni, utalentowani artyści - amatorzy, członkowie „Teatru Stu Krzesel”: W. Tymiński, Z. Szczepaniak, M. Kaczmarska, J. Nowińska, panowie: Marchwicki, Milczarek, Poradowski, było ich zresztą wielu i wielu potem zasililo zawodowe instytucje artystyczne: teatry, filharmonie, ogniska muzyczne.

Przy Dziale Artystycznym ŁDK działał przez ponad 20 lat popularny w kraju i poza jego granicami z rozlicznych występów m.in. w Anglii, Belgii, NRD, Rumunii, ZSRR, wielokrotnie nagradzany Zespół Pieśni i Tańca im. J. Strzelczyka. W latach 1948 -1949 członkami Zespołu byli prawie wyłącznie mężczyźni, w większości robotnicy Zakładów Metalowych im. J. Strzelczyka. Dziewczęta pozyskano do zespołu artystycznego spośród uczennic liceum i mieszanek hoteli robotniczych. I dziewczęta i chłopcy zgłaszali się, bo po latach wojny rozpierała ich radość życia, potrzeba aktywności i kontaktów towarzyskich, częściowo ambicje artystyczne. Tworzyli samorząd, dojrzewali do pracy społecznej i z biegiem lat - obok swoich artystycznych pasji - przejmowali odpowiedzialne funkcje członków zarządów rad zakładowych, organizacji młodzieżowych i stowarzyszeń różnego typu. Stabilizowali się zawodowo, zakładali rodziny, niektórzy powiązali swoje życie rodzinne na wiele lat z amatorskim ruchem artystycznym. Tak było z rodziną Szwarców (ojciec, matka, córka), małżeństwem Nawrockich, Sowińskich, Stefańskich, trzema braćmi Frankowskimi czy siostrami Nowickimi. Ponad 25 - letnim stażem w Zespole Pieśni i Tańca legitymowali się: technik Marian Dąbrowski, ślusarz Janusz Jać, technik Ryszard Pogoda, ekonomistka Zdzisława Kaczmarek, kierownik działu produkcji Zenon Stencel, instruktor branżowy Zbigniew Czarnota, technolog Ryszard Gałęski, laborantka Irena Dynaburska, instruktor oświatowy Krystyna Kaźmierczak, pielęgniarka Antonina Musiałczyk.

Ci ludzie poświęcili setki godzin na próby, zarywali sen i wypoczy-

nek po pracy zawodowej nocnymi powrotami z dalekich nieraz wyjazdów w teren. Brak autokaru w tamtych latach utrudniał przewożenie osób, kostiumów i praktykabli zważywszy - przy okazji - fakt, że nie jedna skrzynia pełna garderoby ważyła blisko 60 kg, a na występy zespół woził 4 zestawy kostiumów. Tancerze i pieśniarze stanowili jednocześnie brygady techniczne. Nierzadko członkowie zespołu występowali na przestrzeni jednego roku 35 - 40 razy. Gdzie występowali? Oczywiście w zakładach pracy np. podczas akademii, w szpitalach, szkołach, teatrach, a także w siedzibach organizacji społecznych.

Były to lata, kiedy najpiękniejsze piosenki Zespołu im. Strzelczyka transmitowano w lokalnych stacjach radiowych, a nagrywano je często z udziałem popularnej Łódzkiej Orkiestry Mandolinistów pod dyktando Edwarda Ciukszy. Na życzenie nagrania te wysyłano do organizacji polonijnych obu Ameryk, do Anglii, Grecji, Finlandii, NRD i RFN, a także do Włoch. W roku 1954 występy zespołu utrwalił na taśmie filmowej Wojciech Has, a potem także Edward Pałczyński w obrazie pt. „Stroje podobne kwiatom”.

W poszukiwaniu nowych form artystycznego wyrazu, doskonaląc swój repertuar, zespół przechodził od form tanecznych, chóralnych, piosenek inscenizowanych do formy ludowego teatru muzycznego, w którym role fabuły stanowiły skomponowane w całość tańce, pieśni, gawędy, zwyczaje i obrzędy. Być może zespół nie dorównywał precyzją wykonania innym ówczesnym ensemblom, ale wyrównywał swój poziom prostotą i szczerością uczuć, siłą temperamentów i fantazją. A przy tym równie cenny, co artystyczny był przecież dorobek wychowawczy tej dużej grupy ludzi!

W tym samym okresie czasu Dział Artystyczny ŁDK patronował także zespołowi gitar hawajskich, który prowadził Bronisław Haj.

Ach, jakże podobał się wówczas repertuar tego zespołu złożony z pieśni, piosenek z lat 50-tych, ale także „nieśmiertelnych” szlagierów w stylu „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?”, „Jesienne róże”, „Mały biały domek” czy „Tyrolskie tango”. Ale już w następnym dziesięcioleciu można było na II i III piętrze gmachu ŁDK spotkać przedstawicieli innego gatunku muzycznego członków zespołu „Trubadurzy” i chłopaków z zespołu „No To Co”, którym przewodził szarmancki Piotr Janczarski.

Odrębną formą pracy Działu Artystycznego był założony w roku 1960 Klub Plastyka Amatora. Dla ścisłości dodać należy, że początek sa-

moorganizowania się plastyków - amatorów miał miejsce w roku 1959 i cieszył się patronatem Muzeum Sztuki, Towarzystwa Sztuk Pięknych i redakcji Dziennika Łódzkiego. Na tych solidnych fundamentach Klub Plastyka Amatora działa do dzisiaj. Po 40-stu latach działalności rektor Akademii Sztuk Plastycznych prof. Ryszard Hunger wspomina:

(...) jest okazja do odczuwania satysfakcji, że to już tyle lat razem, zawsze w czwartki. Ale to również okazja do wspomnień o tych wszystkich, którzy przyszli tu kiedyś, aby potem założyć Klub, a potem związali z nim swoją pasję, znaleźli miejsce w którym panował duch wspólnego, twórczego działania, gdzie łączyło wszystkich autentyczne zainteresowanie sztuką, a różniło bogactwo osobowości, postaw i temperamentów. Przypomnijmy też pierwsze prezesa Józefa Ludwikiewicza, którego wszechstronność i techniczna swoboda, owocując setkami prac, stawała się wzorem i dopingiem dla innych.

Przez pierwszych 20 lat istnienia Łódzkiego Domu Kultury nikt nie kwestionował wiodącej w nim roli Działu Upowszechniania Wiedzy. Ten dział zresztą sam skutecznie się bronił wynikami pracy i spektakularnymi sukcesami. Stosowano tam stare, wypróbowane formy kształcenia, czasem realizowano nowe, zaskakujące pomysły, nie unikano ryzyka. Gdy zdarzały się porażki próbowano działać inaczej, nieszablono-wo. Pracowano przebojowo, sprężysto.

Gdy nadszedł czas „Polski Październik” - rok 1956 - szerzej otwarto okno na świat. Nastąpił czas wielkich rocznic i długofalowych akcji kulturalnych (obchody 1000 - lecia Państwa Polskiego, Rok Kopernikański, XXV-lecie Wojska Polskiego, 100 - lecie urodzin Marii Skłodowskiej-Curie, 50-lecie Wielkiej Rewolucji Październikowej). Dom przy ulicy Traugutta odwiedzali liczni przybysze z sąsiednich krajów, także działacze kultury z Anglii, Belgii, Francji, USA, Kanady, Wietnamu, Syrii, nawet z dalekich Chin i Mongolii. Działały wówczas przy Dziale Upowszechniania: Wszechnica Pedagogiczna, Szkoła Humoru, Trybuna Popularyzatora Wiedzy, Trybuna Młodzieży Zaangażowanej, Klub Literacki, Klub Młodych Twórców, Studium Kultury Laickiej, Studium Nauki i Techniki, Studium Wiedzy Praktycznej, Studium Estetyki, Wiedzy Społecznej, Metodyki Pracy Lektora, a także Studium Krasomówcze, Prawnicze, a nawet Studium Sądownictwa Społecznego, na którym zespoły pojedyncze z terenu 5-ciu dzielnic Łodzi czerpały spory ładunek wiedzy prawniczej o nietatwej przecież pracy społeczno-wychowawczej.

Odbýwały się także w tym czasie ograniczone z reguły przy udziałle wykładowców szkół wyższych sesje naukowe i olimpiady, działały

poradnie: turystyczna, fotograficzna, poprawnej polszczyzny, twórczości telewizyjno-filmowej. Z dziesiątków czy setek wystaw i ekspozycji działu upowszechniania wiedzy, niektóre miały zasięg ogólnopolski a nawet międzynarodowy.



Sale na III i IV piętrze ŁDK przekształcały się wieczorami w ruchliwe giełdy. Spotykali się tam bowiem na korytarzach zarówno realiści jak i marzyciele, społecznicy z prawdziwego zdarzenia i geszefciarze, w większości ludzie z jakąś pasją, „smykałką”, czy zamiłowaniem kolekcjonerskim. Rekrutowali się m.in. z Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, Naczelnej Organizacji Technicznej, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Frontu Jedności Narodu, Związku Studentów Polskich, Związku Walki Młodych, Ligi Kobiet, a także Związku Studentów Polskich, Związku Walki Młodych, Ligi Kobiet, a także ze Związku Harcerstwa Polskiego czy Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Szukali tam kontaktów, tematów goście z prasy, radia i telewizji. Dział Upowszechniania Wiedzy współpracował także z dzielnicowymi i powiatowymi wydziałami kultury, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, ze związkami branżowymi, Kuratorium Szkolnym w Łodzi, Uniwersytetem i Politechniką Łódzką, uczelniami artystycznymi, bibliotekami i muzeami miasta i podobnymi instytucjami stolicy, Krakowa, Wrocławia, Poznania i Gdańska.

Gdy w późnych latach 50-tych ludność całego świata fascynowały eksperymenty w kosmosie, dzięki pomysłowości szefa lokalnych astronomów inż. Edwarda Kowala, przed gmachem ŁDK ustawiono lunetę. Żartowano sobie, że formy upowszechniania wiedzy sięgnęły gwiazd! Nic więc dziwnego, że wspomnianą lunetę oblegały tłumy ciekawskich. Doszło do tego, że po znakomitym odczycie prof. Zonna łódzkie zakłady pracy zgłaszały się do kolejki, aby wypożyczyć teleskop i fachowca komentatora, który by załogom uchylał rąbka tajemnic wszechświata i zbliżał łódzian do ciał niebieskich.

Dla równowagi, w tym budynku, piętro niżej na II piętrze, przez bardzo małe lupki badali swoje cenne znaczki pocztowe - hobbyści-filatelisci. Polski Związek Filatelistów - Oddział w Łodzi, zrzeszający wówczas ponad 650 członków, funkcjonował ponad 20 lat pod opieką Działu Upowszechniania Wiedzy i to jak świetnie funkcjonował! Na spotka-

niach, giełdach i wystawach w salach ŁDK spotkać można było wybitne osobistości świata nauki i przemysłu, pochłonięte bez reszty swoją kolekcjonerską pasją. Bardzo piękne i estetyczne ekspozycje filatelistyczne miały wyrobioną markę u fachowców-zbieraczy.

A, że równie intensywnie jak znaczki pocztowe kochać można rośliny, na podobnych zasadach, jak inne kluby działał w ŁDK Klub Miłośników Kaktusa. Jego członkowie spotykali się w każdym miesiącu, by potem raz w roku na III piętrze gmachu prezentować łodzianom cuderka i dziwadła w doniczkach, wzbudzając nimi powszechny zachwyt i zainteresowanie racjonalną hodowlą.

Gdy z biegiem powojennych lat problem zagospodarowania wolnego czasu ludzi pracy przenikał do działalności oświatowej i kulturalnej liczebnie zaczęły rosnąć dwa dalsze kluby: Szaradzystów i Warcabiistów. Patronował tym klubom Dziennik Łódzki. Redaktor Henryk Ciski dwoił się i troił organizując turnieje, quizy, rozgrywki. Te kluby miały ruchliwe samorządy i niezłe wydawnictwa. W roczne plany pracy ich członkowie wpisywali skrzętnie takie górnołotne założenia: popularyzacja współczesnych zagadnień nauki, sztuki, wykorzystanie encyklopedii, leksykonów, słowników. Na parterze budynku w bibliotece roilo się od natrętnych krzyżówkowiczów i rebusiarzy. Zjawiali się nieoczekiwanie z obłędem w oczach i pytaniem na ustach: *Co to jest anapest? Jak nazywa się wyspa z kolosem? Kto był tatą pierwszego z Jagiellonów?*

Zdecydowanie inaczej rzecz się miała z liczną spokojną grupą członków Klubu Złotej Jesieni. Ci na równi cenili sobie wykłady lekarzy - gęriatrów, co wieczory humoru i satyry, czy miłe biesiady muzyczne. Było w tej grupie starszych kilku uzdolnionych recytatorów i gawędziarzy, a także dobrych tancerzy „salonowych”. Spontaniczniej zgłaszali się i świadczyli pomoc przy różnych zajęciach i imprezach towarzyskich.

Urok prowadzenia pracy w Dziale Upowszechniania Wiedzy polegał na tym, że gdy na II piętrze budynku młodzi tancerze ćwiczyli sambę, rumbę, cza-czę, jiv'a, a slow-rythm czy bluesa, to na III piętrze inni wędrujący po korytarzach młodzieńcy przepowiadali sobie pamięciowo zwroty w stylu: *Voules-vous passer ce soir avec moi? Ich kusse ihre Hand, madame! How did you spend the last weekend?*

Niewątpliwie kursy języków obcych prowadzone w ŁDK przez wykładowców łódzkich wyższych uczelni były poważnym atutem w działalności placówki i przynosiły niezłe zyski finansowe. Przez kilkanaście lat Dział Upowszechniania Wiedzy prowadził rocznie około 15 równo-

ległych grup nauki języków obcych dla początkujących, zaawansowanych, a także grupy konwersacyjne. Równocześnie, dzięki kontaktom z placówkami konsularnymi zainteresowanych krajów - zgromadził znaczne zaplecze pomocy naukowych lingwafony, magnetofony, rzutniki, filmy w wersjach oryginalnych, oczywiście książki i czasopisma.

Prawdziwą sensację wzbudziły w latach 60 - tych eksperymenty hipnopedyczne, które dział wprowadził wzorując się na doświadczeniach Leningradzkiej Szkoły Fonetyki. Żartom i kawałom nie było końca, bo też kto chciałby się nauczyć języka obcego podczas snu? Tak więc okazało się, że kto śpi nie grzeszy, lecz uczy się języka obcego.

Współpraca z zagranicznymi biurami podróży i ośrodkami kultury sąsiednich państw pozwalała na organizowanie w ŁDK cyklicznych „Dni” np. kultury czechosłowackiej, węgierskiej, francuskiej, bułgarskiej, radzieckiej, a towarzyszyły tym wydarzenia, spotkania i wykłady, wystawy fotografii, prezentacje zbioru lalek, wyrobów artystycznych, itp. Nie obywało się bez degustacji potraw narodowych, a jakże!

Korzystnie uplasowali się w ramach pracy Działu Upowszechniania Wiedzy członkowie łódzkiego Oddziału Polskiego Związku Esperantystów. Esperanto nie zna granic! Żyli więc tu szczęśliwie pod zieloną gwiazdą swego mistrza dr Ludwika Zamenhofs, a swoje „środki dyskusyjne” wzbogacili zagranicznymi filmami, wystawami książek, przeżroczami z podróży po świecie, zbiorami kart i folderów turystycznych. Między sobą *parolas esperanto*, jednocześnie pilnie korespondowali, a to z kolei pozwalało oglądać ciekawe znaczki pocztowe z różnych krajów i kontynentów. Sukcesem w pracy esperantystów była organizacja „Tutpollanda Kongreso de Esperanto”, na który to kongres telegramy *kun salutoj* przesyłali przewodniczący Polskiej Akademii Nauk prof. Janusz Groszkowski i prof. Tadeusz Kotarbiński.

Dział Upowszechniania Wiedzy miał zgodnie z programem działania cel ściśle sprecyzowany, konkretny: upowszechnianie wiedzy i sztuki wśród mieszkańców wówczas prawie milionowego miasta. Problem polegał na tym, jak do nich trafić, jak ich pozyskać? Wiadomo, zainteresowania ludzi są bardzo różne: jednych pasjonuje polityka, drudzy pasjonują się techniką, są tacy, którzy uwielbiają hazard. Cokolwiek by sądzić o wynikach pracy, po 10 latach działalności ŁDK legitymował się łącznie ilością 1 170 zorganizowanych odczytów i 17 cyklicznie prowadzonymi Uniwersytetami Powszechnymi. Wiadomo było, że spotkania, odczyty, prelekcje, wykłady itp. Miały dobrą markę u słuchaczy.

Wespół z biblioteką ŁDK, która zyskała ogólnopolskie laury za wprowadzenie wolnego dostępu do pótek, Dział gościł m.in. laureata Nagrody Nobla, Amerykanina Johna Steinbacka i jedną z „nieśmiertelnych”, członkinię Francuskiej Akademii Literatury panią Margaritę Yourcenar, autorkę „Pamiętników Hadriana”. Gośćmi byli także mistrzowie światowego sportu: Emil Zatopek i długodystansowiec major Krzyszewski, a także cała plejada głośnych pisarzy tamtych lat: J. Andrzejewski, T. Breza, S. Dygat, J. Gerhard, J. Hen, J. Iwaszkiewicz, M. Samozwaniec, J. Sztudynger, M. Wańkowicz i prawie wszyscy ludzie pióra ze środowiska łódzkich dziennikarzy. Szeroko dyskutowano o spotkaniach np. z I. Dziedzic, O. Budrewiczem, W. Górnickim, K.T. Toeplitzem i F.M. Rakowskim.

A aktorzy? Sala wykładowa na III piętrze nie mogła niekiedy pomieścić wszystkich gości przybyłych na recitale, czy spotkania np. z Andrzejem Łapickim, Gustawem Holoubkiem, Lucyną Winnicką, Jerzym Kawalerowiczem, Wiesławem Gołasem, Krystyną Sienkiewicz, Stanisławem Mikulskim, Lucjanem Kydryńskim, czy jednym z „pancernych” - Januszem Gajosem.

W roku 1968 Głos Robotniczy opublikował wypowiedź dyrektora ŁDK Stefana Wojciechowskiego: (...) *uparcie powracamy do modelu domu kultury działającego w środowisku wielkomiejskim. Jednocześnie placówka nasza wypracowuje nowe formy działalności, które winny być przekazywane w teren, do klubów, świetlic, stowarzyszeń itp.*

„Opracowanie rocznych planów pracy”, zarówno dla miasta jak i województwa, konsultowano z doświadczeniami łódzkich profesorów wyższych uczelni, zarazem społeczników zatroskanych problemami kultury miasta, w którym przyszło im żyć i działać. W Radzie Społecznej ŁDK zasiadał m.in. profesor Stefan Hrabec, Bolesław W. Lewicki, inż. dr Jerzy Wróbel. Praca instrukcyjno - metodyczna, na którą kładziono szczególny nacisk, leżała w gestii Ośrodka Instrukcyjno-Metodycznego. Przełożenie teorii na praktykę okazywało się jednak nie być łatwą sprawą...

Od roku 1953 tj. od chwili powołania przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych Ośrodka Metodycznego, dział ten metodą prób i błędów zmagał się z problemami pracy kulturalno-oświatowej w terenie województwa łódzkiego. Zbierał informacje o potrzebach placówek, rejestrował je, kształcił wytrwale kadrę pracowników terenowych, gromadził i rozprowadzał materiały potrzebne do codziennych działań. Pracownicy Ośrodka ze swej strony mieli inspirować działalność, zbie-

rać opinie, selekcjonować, przekładać na język konkretów wnioski, prawidłowo adresować i zabiegać o to, aby władze administracyjne miast, miasteczek i wsi, zrobiły z propozycji właściwy użytek. Innymi słowy usiłowały przez wiele lat wypracować naukowe odniesienia do codziennej pracy na polu oświaty i kultury. Wcale nierzadko była to przysłowiowa „orka na ugorze”.

Kadra Ośrodka reprezentowała określone dyscypliny nauki i sztuki. Wiedzę swoją przekazywała w bardziej lub mniej poprawny dydaktyczny sposób. Z kolei działacze terenowi, z reguły pracujący społecznie, zjawiali się na zajęciach ze swoimi pomysłami, planami, programami, aby je przedstawić, przedyskutować, ewentualnie udoskonalić zanim ukształtują się realne formy działania. Z praktyki wiadomo jednak, że wiele zależy od koni, ale i nieco od owsa. W WOIM/MOIM gdy były to konie, brakowało owsa i - odwrotnie, gdy był owies itd. Nielatwo było na przestrzeni wielu lat ciągnąć ten wóz zarówno Rosławie Dowgird, Kubie Surowcowi, Halinie Kwiatek, Halszce Kmiecik, Zdzisławie Hunger, Kazimierzowi Mikołajczykowi czy Barbarze Kwinkowskiej. Racje wyższej natury - jak subtelniej określić makiawelistyczne wiraje tzw. polityki kulturalnej? - powodowały, że na przemian mniej lub bardziej korzystnie oceniano działalność budowanego i reorganizowanego wzgl. rozwiązywanego Ośrodka Metodycznego. Niewątpliwie zadania tej placówki rozmywały się wskutek częstych zmian. Skądinąd kompetentni pracownicy przychodzili i odchodzili, nierzadko rozgoryczeni szukali bardziej stabilnych, intratniejszych posad.

Kto dziś o tym pamięta, że już w latach pięćdziesiątych Łódź kojarzyła się z filmowym eldorado? Tu działały wówczas wytwórnie, istniała szkoła filmowa, a ruchliwe środowisko organizowało imprezy, o których głośno było w całym kraju.

W roku 1966 powstał tu jeden z pierwszych Dyskusyjny Klub Filmowy przy ŁDK, prowadzony przez Jadwigę Ekiert i Czesława Danowskiego. Był to czas, kiedy fascynowano się „czarnym kinem”. Jakaż to była sensacja, gdy ŁDK informował o premierze filmu pt. „Baza ludzi umarłych” wg noweli Marka Hłaski! Wyświetlano potem szereg innych, znakomitych filmów europejskich, organizowano spotkania z wybitnymi twórcami.

Gdy w roku 1967 dyrektor Wojciechowski wraz z Janiną Makowską powołał do życia Dział Technik Audio-Wizualnych wyrażnie wzrosła ilość inicjatyw. Dział patronował już wówczas licznym radiowęzłom

w zakładach pracy. Szerzej realizowano prace instruktażowe, metodyczne, upowszechnieniowe. Skoncentrowano się m.in. na udzieleniu fachowej pomocy „dkf-om” tj. młodzieżowym klubom filmowym. Podjęto nawet ambitną akcję dokształcania nauczycieli. Dla 70-ciu z nich z terenu całego kraju zmontowano centralny kurs metodyki pracy z filmem.

Na początku lat 70-tych praca Działu Filmowego zyskała na rozmachu: powstał Klub Konfrontacji Filmowych, otwarto imprezy dla publiczności, organizowano Filmowe Wieczory Dyskusyjne, na których komentowano wybitne premiery: „Lalka”, „Pan Wołodyjowski”, „Wszystko na sprzedaż”, „Powiększenie”. I sukces dodatkowy: Kino ŁDK zyskało tytuł Kina Studyjnego!

O czasy minione! Różne wichry targały w latach 50-tych i 60-tych działalnością kulturalną w naszym kraju. Okresy entuzjazmu i marazmu sprawiały, że na przemian likwidowano, to znów powoływano do życia placówki i różne formy upowszechniające wiedzę i kulturę. Tym dziejowym burzom ŁDK nie zawsze dość stanowczo się opierał. Mimo to przez pierwszych 20 lat istnienia i działania udało się utrzymać jego strukturę bez drastycznych zmian i wzmacniać dość stabilny kościec organizacyjny. W sprawach wyboru form ŁDK z konieczności ulegał duchowi czasu.

Wiadomo, że względnie łatwo relacjonować można sprawy bardzo odległe. Widzi się je jakby z lotu ptaka ostrzej, lepiej, dostrzega się plusy i minusy. I sporo fusów na dnie... Pod koniec lat 70-tych budynek ŁDK oddany został do generalnego remontu i częściowej rozbudowy. Działalność przesunięto do pomieszczeń zastępczych w kilku punktach miasta. Ale ten czas układa się w odrębną opowieść.

Pracownikom z okresu „Zielonych lat ŁDK” wydarzenia odległych już lat przewijają się przed oczami niczym kłębek kolorowej wełny goniony przez psotnego kota. A były to przecież dla Łodzi ważne, cenne, niebanalne sprawy. Tymczasem Wielcy Dzwonnicy na bliskie już 50-lecie działalności placówki pewnie pociągną za sznurki, by obwieścić miastu jubileusz. Na razie jednak - silentium! Obowiązuje twarda zasada: „Show must go on”.



TADEUSZ
CHRUŚCIELEWSKI

TEN WASZ GOMUŁKA

| KRONIKA MIASTA ŁODZI

Może najpierw o składach zarządów głównego i łódzkiego Towarzystwa Marii Konopnickiej. Prezesem pierwszego był, wybitny działacz spółdzielczy, marszałek Stanisław Szwalbe, wiceprezesem profesor Jan Baculewski - polonista, do niedawna kurator Łódzkiego Okręgu Szkolnego, który na tamtym stanowisku walczył o to, że wyszedłem cało, kiedy miał na mnie chrapkę Urząd Bezpieczeństwa za „błądny politycznie” program obchodu okrągłej rocznicy powstania wielkopolskiego w liceum, w którym uczyłem. Ścisłej za wyrażenie zgody, by uczeń prelegent wymienił „wrocie ludowo” nazwisko Piłsudskiego. Przywitaliśmy się najserdeczniej z profesorem, który wydał niebawem monumentalną pracę: pełen zbiór korespondencji Marii Konopnickiej, co wymagało niesłychanie żmudnych poszukiwań w kraju i poza granicami. Drugim wice był pracowity jak mrówka, obdarzony dużym darem organizacyjnym Kazimierz Śliwowski - reprezentujący, jak pamiętam, ruch spółdzielczy. Działał w nim i w terenie, bohaterka poprzedniego wspomnienia Halina Sławińska z Poddębic, Jadwiga Słomczyńska - łodzianka z wyboru, autorka pierwszej po wojnie drobiazgowej monografii poetki. Niestety, zły stan zdrowia uniemożliwił jej wy-

dajniejszą pracę w zarządzie. Nazwisk bardzo czynnych działaczek z Kalisza, niestety, nie zapamiętałem. Kopa czasu. Zarząd, i słusznie, dużą wagę przykładał do wydawania i patronowania trwałym publikacjom, jak „Nieznana karta działalności Konopnickiej” - Wierciochowej, „Konopnicka, jakiej nie znamy” - Szypowskiej, „Śladami życia i twórczości Konopnickiej” - Baculewskiego, książki o poetce M. Warneńskiej, H. Brodzkiej, H. Sławińskiej, W. Leopold i inne. Nowe, niestereotypowe wybory wierszy poetki A. Karnieńskiej, Mazana, Chruścielewskiego. W Warszawie, Suwałkach, Kaliszu, Boguszowie i Wrześni odsłonięto pomniki poetki. Szczególnie udany był pomnik na dziedzińcu reprezentacyjnego naonczas „Domu Chłopa” w Warszawie. We wszystkich miastach związanych z biografią poetki powstały tablice upamiętniające miejsca przebywania i pracy (nawet w dostępnym tylko wykwalifikowanym turystom schronisku na Prehybie w Beskidzie Wysokim). Największym osiągnięciem Towarzystwa była odbudowa, również uporządkowanie prawne Domu - Daru od Narodu podczas uroczystości jubileuszowych poetki w Żarnowcu i stworzenie tam centralnego muzeum.



foto. archiwum

Dom Narodowy Społeczeństwa Polskiego przekazany pisarce z okazji jubileuszu 25-lecia pracy pisarskiej.

We wszystkich „miastach Konopnickiej” (także we Lwowie) i nie tylko odbyły się bardzo udane akademie, w szkołach wiejskich i zakładach pracy (np. w Łodzi w Zakładach im. Marii Konopnickiej) wieczornice. Największe nasilenie obchodów przypadło na pierwszą połowę lat sześć-

dziesiątych. Nastrój na naszych zebraniach warszawskich (zasługa zwłaszcza prezesa Szwalbe) był wyjątkowo miły. Raz tylko doszło, jak pamiętam, do niejakej scysji między mną, a prezeską z Kalisza, wyjątkowo aktywną. Jako zaprzysięgła patriotka swego regionu zaprezentowała dla zaspokojenia ambicji swego b. ważnego regionu kaliskiego i zażądała - zgodnie z mapą administracyjną Kongresówki - oddania sobie pod zarząd dworku w Bronowie i Gusinie, ja zaś, zgodnie z aktualnym podziałem administracyjnym PRL broniłem suwerenności... koła poddębickiego. W każdym razie spór nie zakończył się nową wojną „o mur graniczny”. Pani Halina organizując w Poddębicach ogólnopolską akademię z udziałem wszystkich możliwych władz i zarządów terenowych miała pecha. Gwałtowny wichur akurata w noc w przeddzień przewrócił w parku miejskim jeszcze nie przymocowany do gruntu przygotowany w ostatniej chwili bardzo miły pomniczek ku czci Autorki „Na jagody”. Uczestnicy musieli zatem kłaść wieńce na przewróconym do góry nogami postumencie. Pani Sławińska, chcąc rozładować nastrój, przyznała, że miasteczko jest w ogóle typowe, gdyż właśnie tutaj zostali złapani przez Cygana i zmuszeni do nieuchodzących uczonym mężom występów na rynku, a przecież „niewola” ich skończyła się pomyślnie, także dla mieszkańców okolic. Pomyślnie skończył się i „wybryk huncwocki” wiatru i pomniczek od lat stoi prosto jak rycerz i cieśzy oczy poddębiczian i turystów. Na akademii centralnej w Łódzkim Domu Kultury spotkały się w krzesłach pierwszego rzędu trzy klaszczące władze: Przewodniczący Rady Narodowej czytaj: prezydent, zacna Michalina Tatarkówna i biskup ordynariusz Michał Klepacz. Wygłoszenie referatu o życiu i twórczości Marii Konopnickiej mnie przypadło. Aha, z obu przeciwnych boków zgrupowania oficjeli wyjątkowo zgodnie klaskali kolejni prezesi, kandydaci do rządu duszami literatów - Piechal i Czernik. Koło łódzkie poza wieloma wieczornicami, m.in. w układach im. Marii Konopnickiej, w szkołach i bibliotekach rejonowych - urządziło jeszcze jedną centralną akademię: w liceum na rogu Kościuszki i Zamenhofa. Przed wojną mieściło się w nim żeńskie gimnazjum niemieckie, które skończyła moja Fraulehrerin Lilli Lerleyj a zaraz po wojnie mieściły się w nim dwa księgozbiory: składnica opuszczonych książek poniemieckich i biblioteka wraz z czytelnią dla aktywu partyjnego, zaś w latach sześćdziesiątych liceum ogólnokształcące, które prowadził dyrektor Karol Wierucki, ale ostatecznie już potem załwładnął nim Uniwersytet Łódzki i wprowadził Katedrę Literatury Pol-

skiej, w którym z czasem wykładała moja córka, (tę centralną akademię zaszczylił marszałek Szwalbe). Do programu wprowadziłem nie śpiewaną od czasów późnego Bieruta „Rotę” (była z lekka na indeksie za „Tak nam dopomóż Bóg” z obowiązkiem wstawiania na baczność przy tych słowach...). Wzbudziło to lekki szmerek w rzędach krzeseł dla dorosłych. Uczennica ostatniej klasy tegoż liceum nasza Dorota, która nanczas dopiero zbierała laury jako początkująca recytatorka, wspaniale wygłosiła zjawiskowy, tajemniczy, a zatem przez miłośników łatwizny niezauważany wiersz Konopnickiej „Na Jungfrau” („Kiedyż będzie pan-na młoda gotowa”) - jedyny patriotyczny utwór poetki uważany w kołach awangardy za przestarzałą z podwójnym dnem i elementami surrealizmu. Dorota opracowała ten wiersz pod kierunkiem głośnej w tamtych latach Zofii Petri. Dorota jeszcze nie wiedziała wtedy, czy w bliskiej już przyszłości zdecyduje się na karierę aktorską czy fizyka jądrowego, czy badaczki literatury polskiej i poetki. Błyśnie wnet jako znacznej wielkości gwiazda na firmamencie poezji polskiej - błyśnie i spadnie w odmet śmierci... Na razie cieszymy się z sukcesu akademii. Dostrzegamy w dyrektorze Wieruckim kandydata na następnego prezesa, gdyż chodzą słuchy, że profesor Bierzanek zostanie powołany na kierownika Katedry Prawa Międzynarodowego na Uniwersytecie Warszawskim. Jednym z sukcesów naszego oddziału jest bardzo udany konkurs recytatorski na utwory Autorki „Pana Balcera” - w kilku pionach. Pieniądze na nagrody zdobyły i imprezę zorganizowały panie Grudzińska i Kamila. Spada grom z jasnego nieba: zapowiedź przybycia do naszego oddziału (żeby zwiedzić Bromów i z nami zacieśnić stosunki) delegacji Polek ze Stanów Zjednoczonych - członkiń amerykańskich towarzystw im. Konopnickiej z Chicago pod przewodnictwem pani Adeli Jagodzińskiej - prezeski. „Konopniczanki amerykańskie” obiecują podobno pomoc finansową w budowie szkoły im. Konopnickiej w Żarnowcu. Warszawski sekretariat „Społem” czyli Społeczny sekretariat Zarządu Głównego Towarzystwa, podał nam datę i godzinę przyjazdu do Łodzi zapowiadanej delegacji. Spotkanie będzie w Grand Hotelu o godzinie piątej po południu. Czekamy w komplecie z prezesem Bierzankiem, który w myśl przyjętego zwyczaju przygotował bezbłędnie politycznie przemówienie. Jest z nami wiceprzewodniczący Prezydium RN prof. Roman Kaczmarek, przedstawiciel Komitetu - co prawda niższy rangą, bo tylko instruktor, jest kierownik ówczesny Wydziału Kultury Boczkowski. Czekamy i czekamy w holu... Obsługa salki restauracyjnej wyraża swoją

niekontentację. Nadal czekamy. Godzinę. Dłużej... Wreszcie zgrzyt autokaru. Są, Bierzanek, w myśl żelaznego protokołu obowiązującego w PRL wychodzi przed protokularną gromadkę, przemawia, to znaczy wita, modulując odpowiednie akcenty polityczne. Z gromadki gości (staruszek z dziewiczymi wiankami we włosach w narodowych barwach) wysuwa się władczo miła niewiasta w wieku średnim - prezes Łagodzińska i odpowiada na powitanie radośnie, lecz cokolwiek krótko: *Przepraszamy najmocniej, żeśmy się spóźniły, ale byliśmy na waszych głównych dożynkach w Warszawie i ten wasz Gomułka tak głądził, tak głądził, chyba dwie godziny, a nijako było nam odejść*. Po takiej ocenie przemówienia naszego **P i e r w s z e g o S e k r e t a r z a** powiało w naszej gromadce zgrozą. Młode pokolenie, które po nas nastało niewątpliwie „tej grozy” nie pojmie i wzruszy teraz ramionami. Bierzanek wsunął się co prędzej w naszą zbitą gromadkę. Szyjemy oczyma po holu, czy aby nie ma kogoś ze specjalistów od słuchania, ale nie. Zgrywam się naturalnie, ale istotnie nie czuliśmy się swojo. Siadłem na reprezentacyjnej kolacji obok najmłodziej wyglądającej rodaczki z wianuszkami. Nie pytam jako dżentelmen o wiek, ale sama podaje. Osiemdziesiąt. Jest kasjerką na kolei. Wygląda młodo, bo stara się niczym nie przejmować. Wybiera się zaraz po nawiedzeniu miejsc Konopnickiej na Cypr. Tam podobno plaże piękne. Wyskoczyłem na temat. Kolejne uroczystości odbyły się we Wrześni, w Gnieźnie, w Poznaniu, w Łańcucie, bo blisko Żarnowca - miejsca głównych, powiedziałem, prac i uroczystości. Łódź na sesjach wyjazdowych reprezentowała zazwyczaj pani Jadwiga Słończyńska oraz moja żona, która się bardzo żyła z Marszałkiem i stołecznym aktywem. Wracając do Amerykanek, wspomnę, że pani Prezes przekazała również sporawą sumę dolarów na portret pani na Bronowie i uzupełnienie ekspozycji małego muzeum. Na zlecenie pani Grudzińskiej portret Konopnickiej - młodej bo młodą i ładną przecież była w czasach, gdy razem z Rozalką zabawiała w „krasnoludkowej krainie” swą dzieciarnię. Po Bierzanku ster władzy prezesowskiej objął w Łodzi ogromnie energiczny i sercem oddany Towarzystwu dyr. Karol Wierucki. Niebawem jednak gmach szkoły przejął Uniwersytet i wówczas Marszałkowi Szwalbe uwiadziło się, że w Łodzi na czele Towarzystwa powinien stać jakiś znany naukowiec. Wybór padł na prof. Jerzego S., rzeczywiście zasłużonego naukowca, ale od literatury staropolskiej. O działalności Towarzystwa za prezesury profesora niewiele wiem. Po zawale byłem zmuszony do wycofania się z pracy społecznej. Towarzystwo, zresz-

tą w całej Polsce, zapadało w letarg - wraz z zestarzeniem się i utratą dotychczasowego wigoru prezesa Szwalbe. Któregoś dnia 1996 roku otrzymaliśmy z żoną list od niego. Prosił, żebyśmy zajęli się upadającym Towarzystwem i poprowadzili je, wkrótce Marszałek Szwalbe zmarł. Zamknęła się tamta karta. Co dalej nie wiem. Poza nic nie mówiącym hasłem p. Lau w „Zarysie Encyklopedycznym Literatury”.



AGATA KUBASIEWICZ

**PAŃSTWOWE
LICEUM
MUZYCZNE**
przy ulicy
Sosnowej 9
w Łodzi

RYS HISTORYCZNY

Państwowe Liceum Muzyczne w Łodzi powstało 1 września 1950 roku. Powołano je do życia na podstawie rozporządzenia Ministra Kultury i Sztuki z 3 lutego 1950 roku oraz zarządzenia Ministra Kultury i Sztuki z 2 września 1949 roku. Obydwa te akty prawne przyczyniły się do przekształcenia Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej nr 2 w Państwowe Liceum Muzyczne.

Pierwszym dyrektorem został doc. Józef Karol Lasocki - skrzypek, dyrygent i teoretyk muzyki, który wcześniej kierował Państwową Średnią Szkołą Muzyczną, jego zastępcą zaś Marian Witkowski. J. Lasocki pełnił funkcję dyrektora do 1954 roku, później Szkołę przejął doc. Franciszek Wesołowski - muzyk - teoretyk, wybitny znawca muzyki dawnej. On jako pierwszy powołał zastępcę dyrektora do spraw muzycznych. W latach 1954 - 1958 był nim Władysław Masewicz, a od września 1958 do 1961 roku Zenon Ostalczyk.

Po śmierci M. Witkowskiego wicedyrektorem do spraw ogólnokształcących została Janina Sarnacka, która pełniła tę funkcję aż do 1977 roku.

W październiku 1959 roku doc. F. Wesołowski powołany został na stanowisko prorektora PWSM w Łodzi i fotel dyrektora Państwowego Liceum Muzycznego po raz drugi zajął Józef Lasocki.



Doc. Józef Karol Lasocki (na dole, czwarty od lewej) w gronie pedagogów.

foto: archiwum

Problemem, z którym borykali się kolejni dyrektorzy Szkoły były warunki lokalowe. Początkowo uczniowie kształcili się w starej, czynszowej kamienicy przy ulicy Jaracza 19 (obecnie pod tym adresem znajduje się Zespół Szkół Muzycznych im. St. Moniuszki). Andrzej Hundziak, dyrektor PLM w latach 1961 - 1974 tak wspomina pierwsze lokum: *Nawiedzały nas różne plagi i kataklizmy: zalewająca ściany woda, ciemności powodowane przez przeciążoną instalację elektryczną, zimno w niedogrzanych klasach. Pewnego dnia przybiegł do mnie zdenerwowany nauczyciel informując, że u niego w klasie w suficie tkwi noga od fortepianu. Rzeczywiście w klasie o piętro niżej przegniła podłoga, strop nie wytrzymał ciężaru fortepianu i jego noga ukazała się na niższej kondygnacji.*

Jedną z osób, która podjęła niezwykle intensywne starania o budowę nowego gmachu był właśnie dyrektor Hundziak. Zabiegał on o taki budynek, który zaspakajalby potrzeby Szkoły o profilu muzycznym.

Dyskusje dotyczące lokalizacji Szkoły udało się zakończyć i w 1970 roku ruszyły prace budowlane przy ulicy Sosnowej 9. Nowy budynek zaprojektowała mgr inż. arch. K. Sosnowska z Miejskiego Biura Projektów. Obiekt połączono ze starym, znajdującym się w sąsiedztwie lokalem szkolnym, który zaadoptowano na potrzeby szkoły muzycznej.

4 lutego 1974 roku uczniowie i nauczyciele przekroczyli próg nowego budynku. Znalazły się w nim klasy do lekcji ogólnokształcących, indywidualne sale muzyczne, a także sala kameralna i koncertowa oraz patio. W pięknym, przestronnym gmachu pomieścili się: Państwowa Podstawowa Szkoła Muzyczna (powstała w 1953 roku z prowadzonej przez Ludowy Instytut Niższej Szkoły Muzycznej) i Państwowe Liceum Muzyczne. Oficjalne otwarcie nowej Szkoły odbyło się ponad dwa miesiące później, 29 kwietnia 1974 roku.

fot. archiwum



Otwarcie nowego budynku Szkoły, 1974 r. Na zdjęciu dyr. Andrzej Hundziak.

Wraz z rozpoczęciem roku szkolnego 1974/75 stanowisko dyrektora objęła Danuta Wójt - Śmigielska, absolwentka liceum z 1955 roku (był to pierwszy rocznik, który ukończył Szkołę). Na jej ręce, 16 października 1976 roku załoga Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. St. Kunickiego „Maltex” w Łodzi przekazała ufundowany przez zakłady sztandar, po dziś dzień wykorzystywany przy okazji rozmaitych uroczystości. Widnieje na nim hasło: *Nauką i Sztuką Służymy Ojczyźnie*.

Z początkiem roku 1979 miejsce Danuty Wójt - Śmigielskiej zajęła dyrektor Maria Maciejczyk. Pełniła ona tę funkcję do roku 1982. Za czasów jej urzędowania, 3 marca 1980 roku w szkolnym foyer odsłonięto popiersie patrona Szkoły, H. Wieniawskiego (podczas tej uroczystości po raz pierwszy wykonano hymn Szkoły napisany specjalnie na tę okazję). Imię tego znakomitego polskiego skrzypka i kompozytora nadano jednak Szkole dużo wcześniej, bo w czerwcu 1960 roku.

W roku 1982 na stanowisko dyrektora liceum powróciła na kilka lat pani Wójt - Śmigielska. Po jej przejściu na emeryturę w roku 1985 funkcję tę przejęła dyrektor Krystyna Niemiec-Jawis. Jej zastępcą do spraw ogólnokształcących został Zenon Juszcak (pracuje na tym stanowisku do dziś), zaś wicedyrektorem do spraw muzycznych Eleonora Kujawa - Stebel, która we wrześniu 1990 została dyrektorem naczelnym. Rok później kierowanie szkołą przejął Michał Kobyłecki. Wraz z rokiem szkolnym 1994/95 stanowisko dyrektora liceum ponownie objęła Eleonora Kujawa - Stebel. Obecnie funkcję tę pełni wieloletni nauczyciel Liceum Muzycznego - Małgorzata Ircha.

ŁUDZIE I WYDARZENIA

Państwowe Liceum Muzyczne nie byłoby tą samą Szkołą, gdyby nie ludzie, którzy ją tworzyli i po dziś dzień tworzą. Już pierwsi dyrektorzy skompletowali doskonałą kadrę pedagogiczną, zarówno jeśli idzie o nauczycieli muzyków, jak i nauczycieli przedmiotów ogólnokształcących. Trudno byłoby wymienić ich wszystkich, a przytoczenie nazwisk tylko niektórych mogłoby budzić zrozumiałe zastrzeżenia. Wielu z nich połączyło swoje życie zawodowe ze szkołą, którą wcześniej ukończyli; wszyscy zawsze gotowi byli nieść pomoc, służyć radą i motywować do wyteźonej, twórczej pracy. Dzięki nim, od początku powstania Szkoły, uczniowie i absolwenci PLM im. H. Wieniawskiego w Łodzi są laureatami wielu prestiżowych konkursów, w tym Międzynarodowego Kon-

kursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego (Barbara Górzyńska, Michał Grabarczyk, Piotr Pławner, Sebastian Gugala). Młodzież od kilkunastu lat może poszczycić się osiągnięciami na różnego rodzaju przesłuchaniach o charakterze lokalnym, ogólnopolskim i międzynarodowym.

PLM od wczesnych lat pięćdziesiątych prowadzi aktywną działalność koncertową zarówno w kraju, jak i zagranicą. Szkoła od początku współpracowała z Filharmonią Łódzką. Brała także udział we wszystkich ważnych, kulturalnych wydarzeniach Łodzi. W 1977 roku władze miasta przyznały jej Honorową Odznakę Miasta Łodzi za działalność koncertową na rzecz środowiska łódzkiego.

fot. archiwum



Dyrektor Małgorzata Ircha.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wspaniałe sukcesy odnosił chór żeński PLM pod dyрекcją nieżyjącego już prof. Henryka Blachy.

Owa artystyczna działalność prowadzona jest na szeroką skalę aż do dziś. W salach kameralnej i koncertowej odbywają się popisy i koncerty uczniów poszczególnych klas instrumentów, chórów, zespołów i orkiestr. Szkolna orkiestra kameralna już dziewięć razy wyjeżdżała na międzynarodowe festiwale i zaproszenia. Szkoła organizuje koncerty na rzecz miasta i regionu (m. in. Festiwal Do - Re - Mi), a także Ogólnopolski Festiwal Waltorniowy, którego PLM jest pomysłodawcą.

PRAWDA

Liceum przy ul. Sosnowej 9 w Łodzi nie jest zwyczajną szkołą. I to nie tylko ze względu na swój artystyczny profil, na zewsząd dochodzące dźwięki instrumentów muzycznych, ale także dlatego, że w sposób niezrozumiały dla tych, którzy nigdy nie przekroczyli jej progu, umie jednoczyć ludzi - nauczycieli, uczniów, rodziców.



foto: archiwum

Gmach PLM obecnie.

To Szkoła dla tych, którzy postanowili poświęcić się Muzyce. I nawet jeśli później owo postanowienie zarzucili nie pozbędą się przeświadczenia, że PLM im. H. Wieniawskiego w Łodzi to bliskie ich sercu miejsce.....



Bibliografia:

Jubileusz 50 - lecia Państwowego Liceum Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego w Łodzi. Łódź, Wydawnictwo ADI, 2001.
Kroniki szkolne PLM im. H. Wieniawskiego w Łodzi.

ANNA
IŻYKOWSKA-MIRONOWICZ

ŁODZIANIE Z WYBORU FIRLEJOWIE

| KRONIKA MIASTA ŁODZI

Małżeństwo artystów – muzyków, wybitnych pedagogów, od lat należy do elity kulturalnej kraju. Pianistka ANNA WESOŁOWSKA-FIRLEJ przed trzydziestu laty otrzymała dyplom Wydziału Instrumentalnego Łódzkiej uczelni, zaś następny – po pięciu latach studiów mistrzowskich w Wiedniu. Godząc pracę koncertującego solisty i kameralisty z działalnością pedagogiczną w naszej Akademii Muzycznej, od 1977 roku począwszy, przeszła wszystkie szczeble kariery naukowej, uwieńczonej w 1997 roku tytułem profesora zwyczajnego. W dwa lata później stanęła na czele Łódzkiej uczelni, a wiosną b. r. została ponownie wybrana rektorem na następną trzyletnią kadencję. Jest laureatką wielu znaczących konkursów (m.in. W Hertogenbosch i Rotterdamie), koncertowała wielokrotnie w kilkunastu krajach Europy, a także na Kubie i w Chinach. Prócz wielu nagrań polskich – dla firmy Wifon, a także Polskiego Radia i TV – ma swoje płyty rejestrowane we francuskiej wytwórni "Le Chant du Mond" oraz liczne nagrania dokonane w rozgłośniach radiowych Niemiec, Anglii, Finlandii, Francji i Hiszpanii.

Wiolonczelista STANISŁAW FIRLEJ kształcił się z Poznaniu, Leningradzie i Moskwie, gdzie w 1969 roku zdobył dyplom w klasie wybitnej artystki prof. Natalii Gutman. Po powrocie do Poznania został wykładowcą na tamtejszej uczelni; pracował w niej do 1974 roku, pokonując kolejne stopnie kariery naukowej. Ostatnie dwa lata dzielił już pomiędzy Akademię Poznania i Łodzi. Łodzi, którą wybrał na resztę swojego życia. W 1994 roku tu właśnie otrzymał najwyższy tytuł naukowy profesora zwyczajnego. Koncertuje jako solista i kameralista mając na swym koncie artystycznym około 600 występów w Europie, Azji, Australii, Nowej Zelandii i USA. Laureat wielu konkursów międzynarodowych swój pierwszy triumf odniósł jako 18-latek, zwyciężając w międzyuczelnianym konkursie w Leningradzie. Jest współtwórcą, dyrektorem artystycznym i dyrygentem działającej przy Łódzkim Domu Kultury orkiestry „Polish Camerata”.



Anna i Stanisław Firlejowie - Łańcut.

Prowadzi od lat klasy wiolonczeli w Akademiach Łodzi i Wrocławia.
 - Anna – po paroletnich studiach mistrzowskich w Wiedniu, Stanisław – po Poznaniu, Leningradzie i Moskwie...

Anna Iżykowska-Mironowicz - *Jak to się stało, że postanowiliście osiąść na stałe właśnie w Łodzi, tu wybudować piękną, własną siedzibę na osiedlu "Pienista"?*

Anna Firlej - Mieliśmy oboje sporo różnych propozycji, planów życiowych, ale ja postanowiłam wrócić do rodzinnego domu i ukochanej uczelni, gdzie właśnie zapropomowano mi asystenturę. Myślę, że coś było nam chyba "z góry" pisane, bo jednocześnie otrzymałam ofertę z Akademii poznańskiej, gdzie Staszek uczył od paru lat, po swoim powrocie z Moskwy. Ja – odmówiłam, a tymczasem on dostał zaproszenie do łódzkiej uczelni na miejsce Romana Jabłońskiego, który wyjechał na stypendium do USA.

Stanisław Firlej - Taką propozycję otrzymałem od prof. Zenona Płoszaja, z którym spotkaliśmy się w Katowicach na nagraniu audycji telewizyjnej pamiętnego cyklu Janusza Cegiełły. Prof. Płoszaj grał Paganiniego, ja – Schumanna, a w przerwie sobie pogadaliśmy i bardzo szybko podjąłem decyzję. Na razie przez dwa lata dojeżdżałem do Łodzi z Poznania, gdzie miałem swoich studentów już na trzecim roku i poproszono mnie, abym doprowadził ich do dyplomu. Dopiero od jesieni '74 zamieszkałem w Łodzi na stałe. Bo tu poznałem Anię... Nie na estradzie, przy fortepianie, ale tak zwyczajnie...

AF - Zaczęło się dość prozaicznie. Akurat trwał u nas Konkurs Kameralny, czyli zjazd studentów z całej Polski. Podczas otwarcia imprezy nagle trąca mnie znana ci również skrzypaczka Iwona Wojciechowska i wybucha: "Słuchaj, to skandal! Popatrz! Przyjechał z Poznania Firlej, a przecież on już dawno studia skończył! To co, on ma grać w jakimś zespole poznańskim? To wykluczone!" Spojrzałam, zapytałam "a kto to jest?", pokazała mi, siedział daleko, ja słabo widzę, więc go w ogóle nie zobaczyłam. Usłyszałam nazwisko i na tym koniec. Dopiero potem dowiedziałam się, że przyjechał na Konkurs jako opiekun grupy studentów poznańskich.

AIM - Muszę tu wtrącić, że był to kwiecień 1971 roku, a na Konkursie Kameralnej Muzyki Romantycznej I nagrodę wśród triów fortepianowych otrzymały: Iwona Wojciechowska – skrzypce, Anna Wojtaszek (siostra wybitnej śpiewaczki Elżbiety Kubiak) – wiolonczela i Anna Wesółowska – fortepian; łódzki zespół z klasy kameralnej prof. Zenona Płoszaja.

AF - Dziękuję, że pamiętasz. To była ważna nagroda, której nigdy się nie zapomni. Po roku, przed samym dyplomem, pewnego wieczoru bardzo długo ćwiczyłam w szkole, bo miałam mieć koncert w Filharmonii. Nagle wpada Iwona, woła „skończ już z tym graniem, idziemy na kolację do Pesztu z Tadeim Chmielewskim. I jeszcze Firlej z nami idzie”. Pamiętam do dziś jedną śmieszną rzecz, że jak Iwona dodała „musimy chwilę poczekać na niego, bo poszedł umyć ręce”, to pomyślałam



foto: archiwum

Anna i Stanisław Firlejowie - koncert w Holandii.

„Chryste, jest jeszcze jakiś student, co to ręce przed kolacją myje...” No i poszliśmy do tego Pesztu, wspaniale się rozmawiało, świetnie się rozumieliśmy i... tak się zaczęło...

AIM - Wspomniałaś o swoim dyplomie z orkiestrą filharmoniczną, zaszczyście, jaki spotyka jedynie najlepszych, wyróżnionych studentów. Siegnęłam po własną recenzję z wykonania przez Ciebie V Koncertu Es-dur Beethovena. Po serii peanów na temat Twojej interpretacji zakończyłam chyba... proroczo: „Z nazwiskiem tej pianistki zapewne nie raz spotkamy się w przyszłości”. Ale wracajmy do Waszej historii...

SF - Tak z perspektywy sądząc, to ja od dłuższego czasu jakby przecierałam sobie drogę do Ani, bo np. dużo wcześniej poznałem przecież Iwonę Wojciechowską, która była koncertmistrzem prowadzonej przez prof. Friemanna łódzkiej „Pro Musiki”. A oni, tak jak i ja, przyjeżdżali do Olsztyna na kursy „Jeunesses Musicales”. Poznałem też dwu innych łódzian: skrzypka Michała Grabarczyka, który też studiował w Mo-

skwie i pianistę Tadeusza Chmielewskiego przebywającego w Moskwie na półrocznym stypendium. Okrążałem Anię, osaczałem, aż wreszcie... Na naszym ślubie w kościele św. Wojciecha na Chojnach zespół "Pro Musica" stawiał się w komplecie, z instrumentami, a my oboje przeddefiniowaliśmy pod szpalerem wzniesionych smyczków jak pod szablami... To było miłe...

AF - Ale przypomnij sobie, jak ogromny problem mieliśmy trochę wcześniej, przed uroczystością. Oboje otrzymaliśmy propozycję pracy w Poznaniu. Staszek miał tam mieszkanie załatwiane mu z niemałym trudem przez rektora prof. Stefana Stuligrosza. Pojechalismy do niego z tą bardzo delikatną sprawą, bo jednak musieliśmy mu zakomunikować, że zdecydowaliśmy się na Łódź. Profesor zaprosił nas do swojego pięknego domu i z pełnym zrozumieniem wysłuchał moich argumentów: ja nie chciałam oddalać się od rodziców, a Staszek już całe sześć lat był poza domem i tęsknił do stabilizacji, szansy na własny dom, bez ciągłych rozjazdów.

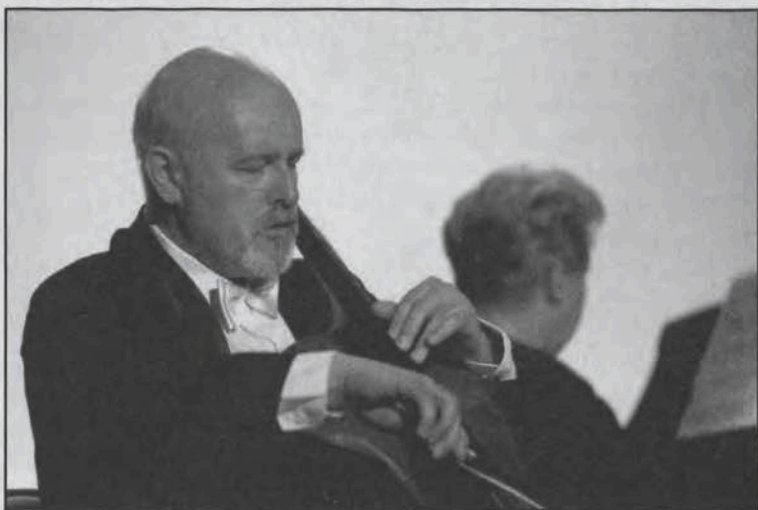
SF - Moje poznańskie, już na szczęście wykupione na własność mieszkanie zamieniliśmy na maleńkie w Łodzi, przy ulicy Rodakowskiego na Dąbrowie. Ale w tak mikroskopijnym metrażu – para muzyków? To nas skazywało na ciągłą pracę w szkole. Do domu wracaliśmy późno, coraz później...

AF - ... aż wreszcie zapadła decyzja i to natychmiast po usłyszeniu wiadomości o planowanej budowie segmentów na osiedlu "Pienista". To był chyba rok 1978, albo 79. Zaczęliśmy wszystko sprzedawać żeby mieć na pierwszą wpłatę, m.in. obrazy, które pozwolił nam uszczknąć mój ojciec ze swojej zbieranej przez całe życie kolekcji. Po wpłaceniu raty zajęliśmy się pracą zawodową, wyjazdami, koncertami... Było mnóstwo pracy. A tu nagle okazuje się, że wszystkie domki są rozdzielone, wszyscy mieszkają już w swoich segmentach z wyjątkiem nas. A byliśmy przecież prawie na samym początku listy! Pytamy w spółdzielni jak to się stało, a tu nam mówią, że brak żywszego zainteresowania osiedlem z naszej strony potraktowano jako rezygnację. Fakt, że dokonaliśmy wszystkich wymaganych opłat jakby mniej się liczył. Zaproponowano nam przenosiny na Teofilów, gdzie nawet nie rozpoczęto budowy osiedla. Byliśmy po prostu zdruzgotani. I nagle - stał się cud. W naszym obecnym domu mieszkał już pewien anglista – ekscentryk, który no. wymalował ściany na granatowo. Otrzymał on propozycję pracy na Uniwersytecie w Gdańsku, przyjął ją, niespłacony dom musiał przekazać Spółdzielni,

a ona – nam, oczywiście do kapitalnego remontu. Musieliśmy też natychmiast zaadaptować piwnicę na naszą pracownię – ćwiczeniówkę, aby służyła za miejsce codziennej wielogodzinnej pracy. W trosce o sąsiadów zrobiliśmy świetne jej wytłumienie; ani wiolonczeli, ani fortepianu nie słychać z zewnątrz.

AIM - Nie boisz się Staszku zostawiać instrumentu w piwnicy?

SF - Oczywiście, że tak, toteż codziennie zabieram wiolonczelę na górę. To jest instrument z XVIII wieku być może zbudowany przez Carla Bergonziego z Cremony, ale nie stwierdzono tego na sto procent. Kupiłem go będąc jeszcze uczniem Liceum Muzycznego z Poznaniu. Pewna mieszkanka Rzymu przyjechała likwidować majątek po zmarłej matce. Instrumenty, których nie wolno jej było wywieźć, sprzedała naprawdę tanio. Moja wiolonczela była w opłakanym stanie i w ogóle nie nadawa-



Anna i Stanisław Firlejowie - koncert w Chinach.

foto: archiwum

ła się do grania. Dopiero parę lat temu wzięli się za nią Państwo Olma, łódzcy specjaliści – absolwenci Wydziału Lutnictwa poznańskiej Akademii Muzycznej i zrobili instrument, o jakim marzyłem.

AIM - Oboje poznaliście z autopsji struktury zagranicznych uczelni muzycznych. Czym różnią się one od naszych?

AF - Przede wszystkim – stosunkiem do studenta. U nas uczy się każdego indywidualnie, z tą samą intensywnością, każdy ma swoje godziny i zobowiązany jest co pół roku składać egzamin, chyba, że dochodzą mu

jeszcze audycje. W sumie, podczas całych studiów, ma dziesięć bardzo ciężkich egzaminów, a na ostatnim roku – jeszcze dwa recitale dyplomowe i koncert bądź z orkiestrą, bądź z towarzyszeniem drugiego fortepianu. Natomiast w znanej mi Akademii Wileńskiej profesor Wydziału Instrumentalnego, mający w klasie kilkunastu studentów, nie pracuje ze wszystkimi, tylko z tymi, którzy tego chcą. Wszystkie lekcje odbywają się tam publicznie, zbiorowo, w dużych salach z dwoma fortepianami. Przysiadają nie tylko uczniowie danej klasy, ale studenci i pedagodzy klas „konkurencyjnych”. Tam nie ma przymusu grania. Profesor pyta na wstępie „kto dzisiaj gra”. Jeżeli chce się do czegoś dojść, to należy się zgłaszać. Za mojej pamięci były osoby, które nigdy nie usiadły do fortepianu, skazując się automatycznie na nieukończeniu studiów. Nie ma w Wiedniu czegoś takiego, jak obowiązek egzaminu co pół roku. Semestr zalicza profesor na podstawie tego, co usłyszał podczas wielu publicznych lekcji. Promuje tych, którzy mają talent, silny charakter, nie są tremiarzami i systematycznie pracują. Żeby ukończyć studia należy raz w roku zagrać tzw. wieczór klasowy, oraz zdać dwa końcowe egzaminy: wewnętrzny i zewnętrzny. Wewnętrzny polega na perfekcyjnym opanowaniu trzygodzinnego repertuaru z obowiązkowymi trzema sonatami Beethovena, dwiema fugami, trzema etiudami, koncertem... Z tych wszystkich utworów sam student wybiera sobie jeden, a komisja – resztę i to w momencie, kiedy zdający już siedzi przy instrumencie. Wybierane są jednak nie całe utwory, ale ich fragmenty, co – moim zdaniem – niewiele ma wspólnego z artystyczną propozycją studenta. To się robi jakaś... loteria.

SF - W tym samym kierunku poszły też ważne konkursy instrumentalne. Np. na konkursie wiolonczelowym „Praska Wiosna” obowiązuje m.in. wykonanie trzech „Kaprysów”, a który z nich uczestnik zagra – o tym decydują jurorzy i komunikują mu w momencie pojawienia się na estradzie.

AIF - *Wydaje mi się to pomysłem karkołomnym, sprzyjającym co najwyżej prezentacji warsztatu technicznego, ale przecież nie wrażliwości, muzykalności, umiejętności budowania konstrukcji dramatycznej dzieła...*

AF - ... właściwemu prowadzeniu narracji muzycznej, zgodnemu z intencjami kompozytora. Zgadza się, ale tego typu reguły rządzą jedynie egzaminem wewnętrznym. Ten drugi, otwarty, odbywa się w dwa tygodnie później z już wcześniej ustalonym przez komisję programem pełnego recitalu.

SF – W dawnym Związku Radzieckim było na uczelni dość podobnie: lekcje w oparciu o zbiorowość. W klasie Roztropowicza z reguły były tłumy. U Natalii Gutman – nieco mniej osób, bo ona dopiero zaczynała karierę pedagoga. Mogę się poszczycić faktem, że byłem pierwszym uczniem tej niewiele ode mnie starszej artystki. Nigdy jednak nie były to lekcje w cztery oczy, zawsze konfrontacja z większą liczbą osób, dla których też trzeba było grać, nie tylko dla własnego profesora. A pedagog z kolei cały czas jest pod kontrolą, obstrzałem, musi precyzyjnie analizować zalety i błędy każdej prezentacji, a w dodatku – dobrze zapamiętać swoje uwagi, być konsekwentnym, aby nie podważyć własne-



Stanisław Firlej - Międzynarodowy Konkurs Muzyczny - Łańcut.

foto: archiwum

go autorytetu. Generalnie jestem zwolennikiem takiej właśnie metody nauczania, z dokładnie wyznaczoną relacją mistrz – uczeń. W Moskwie była ona szczególnie wyraźna, bo wykładały tam wówczas wielkie osobowości i zarazem światowe sławy: Dawid Gilels, Światosław Richter, wiolonczelista Mścisław Roztropowicz... Oni byli bogami. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby kwestionować ich wyroki, werdykty... A przecież niejednokrotnie wymagali od swoich studentów czystego naśladownictwa, kopii własnych wykonania... Pamiętam lekcje Roztropowi-

cza i zawsze grającego na nich Miszę Majskiego. Ten wielki dziś, sławny na całym globie wiolonczelista był ulubieńcem Roztropowicza, ale objawiało się to w dość przedziwny sposób. Profesor zaczynał od pytania: „no, Miszka, co nam dzisiaj zagrasz?” Ten grał, a Roztropowicz wyśmiewał go publicznie, i – niemal regularnie – wyrzucał z sali. Miszka wychodził mokry, spocony, blady jak papier, załamany... I tak do następnej lekcji, znowu „Miszka, co nam zagrasz?” i kolejna porcja upokorzeń. Taką okrutną metodą hartował Mistrz swojego następcę...

AIF - *Kompletnie mnie zaskoczyłeś! Nigdy nie posądzałabym Roztropowicza o takie sadyistyczne zapędy. Podczas rozmowy po jego łódzkim koncercie w 1962 roku wydał mi się człowiekiem bystrym, energicznym, ale i pełnym ujmującej łagodności... A może jednak te drastyczne metody były jedyną receptą na to, aby Majski ocalił swoją wielką indywidualność artystyczną... Ale wracajmy do naszych spraw: jaka jest obecna struktura łódzkiej Akademii Muzycznej, ilu liczy studentów?*

AF - Pięciuset studentów na studiach dziennych, a na studiach płatnych – 150. Te płatne, to przede wszystkim muzykoterapia, studium pedagogiki instrumentalnej, wszelkie formy studiów podyplomowych i kształcenie studentów zagranicznych. Mamy ich dwunastu, nie są stypendystami i sami płacą za swój pobyt u nas. To są przeważnie Chińczycy. W Chinach obserwujemy niesłychany pęd do wiedzy. Ilość chętnych do studiowania wielokrotnie przewyższa możliwości tamtejszej uczelni. Początkowo mieliśmy pewne obawy, czy tych ludzi będzie stać na studia w dalekim kraju, ale – jak dotąd chińskie banki idealnie wywiązują się z wszelkich płatności za studia swoich młodych obywateli.

AIM - *Ile mamy konkursów w łódzkiej AM?*

AF - Każdego roku organizujemy aktualnie jeden międzyuczelniany konkurs międzynarodowy. W roku 2003 po raz pierwszy „wystartuje” Konkurs Kompozytorski im. Grażyny Bacewicz, w następnym – kolejny już Kameralny im. Kiejstuta Bacewicza, no a w tym, mijającym już roku, odbył się pierwszy Konkurs Obojowo – Fagotowy. Współ z uczelnią krakowską, organizującą też po raz pierwszy Konkurs Fletowy, zabiegamy aby wzięła nas pod swoje opiekuńcze skrzydła Światowa Federacja Konkursów Muzycznych w Genewie. Będzie to jednak bardzo trudne, bo pod jej egidą funkcjonuje już 300 światowych konkursów. Podobno w ogóle nie są brane pod uwagę konkursy dopiero startujące, mające tylko jedną edycję. Rozpatrywane są imprezy o wieloletniej historii i międzynarodowej renomie. Ale, mimo niewielkich szans, skła-

damy podania wraz z załączonymi opiniami, bo te są niezbędne. Sądzę, że największe szanse na rejestrację genewską ma nasz Konkurs Kameralny z racji długiego stażu. Ale i oba pozostałe – w formie triennale – już zyskały rozgłos.

AIM - *Jak wygląda dziś współpraca łódzkiej AM z innymi szkołami tego typu?*

AF - Związek Uczelni Muzycznych „CHAIN”, czyli „Łańcuch”, do którego należymy, zrzesza aktualnie siedemnaście szkół europejskich. Obok nas – m.in. z Berna, Zurichu, Bratysławy, Petersburga, Weimaru... z Polski – tylko dwie – Wrocław i my. „CHAIN” organizuje co trzy miesiące



foto: archiwum

Anna Firlej.

tygodniowe imprezy dla studentów, będące pewnego rodzaju kursami doksztalającymi. Wspólnie działamy urządzając co roku jakiś konkurs, czy ważny kurs tematyczny. Natomiast teraz przystępujemy właśnie do światowego związku uczelni muzycznych pod nazwą „AECAM” z siedzibą w Utrechcie, gdzie urzęduje aktualny przewodniczący prof. Martin Prhal. On sam zwrócił się do nas z zaproszeniem, jako do piątej polskiej uczelni, bo już należą do „AECAM” Warszawa, Poznań, Kraków i Wrocław. Jeżeli chodzi o międzyuczelnianą wymianę studentów, to sytuacja bardzo się zmieniła w porównaniu ze stanem jeszcze sprzed pięciu lat. Zlikwidowano działające przy naszym ministerstwie biuro współpracy zagranicznej między uczelniami, zwracające niegdyś aż do 70% kosztów wymiany. Teraz to już naszą sprawą jest pozyskiwanie sponsorów, choćby tylko na ufundowanie podróży. Zaprzyjaźnione uczelnie np. z Enschede, czy Weimaru oferują studentom darmowy akademik, co jest dla nas bardzo opłacalne. W każdym semestrze pięciu naszych najlepszych studentów wyjeżdża na 3-5 miesięcy.

AIM - *W połowie czerwca oboje powróciliście z Chin. Czym ten wyjazd zawdzięcza Was, dla łódzkiej uczelni?*

AF - To była podróż odkładana od dwóch lat. Byliśmy już kompletnie spakowani we wrześniu ub. r., kiedy zdarzył się pamiętny koszmar w Nowym Jorku. Na wyjazd zdecydowaliśmy się jednak w końcu minionego roku akademickiego na zaproszenie uczelni w mieście Tianjin, położnym 120 km od Pekinu. Wcześniej przyjechał do nas rektor szkoły z cyklem interesujących wykładów, wspólnie ustaliliśmy listę chińskich studentów skierowanych do Łodzi – oczywiście po przesłuchaniu taśm z ich produkcjami – no i oczekiwano tam naszej rewizyty. Wiązała się ona z podpisaniem umów na wzajemną wymianę i studentów i pedagogów, którzy prowadziliby dwumiesięczne kursy mistrzowskie i sami dawali publiczne występy. Nam właśnie zorganizowano koncerty w akademiach czterech miast, w tym również i Pekinu. Wszędzie podpisaliśmy wspomniane umowy, oczywiście po zaakceptowaniu propozycji przez nasz senat. Graliśmy w Chinach wyłącznie muzykę polską; ja ze skrzypaczką Izabelą Ceglińską – Wieniawskiego, a we trójkę – Trio Chopina, to samo, które zostało uwiecznione w naszym wykonaniu, ale ze skrzypaczką Barbarą Górzyńską, obok Sonaty wiolonczelowej i Poloneza. Z tej chopinowskiej płyty jesteśmy chyba najbardziej dumni... Powiem nieskromnie, że podobały się Chińczykom nasze występy, że bardzo im ten program przypadł do serca.

AIM - To bardzo krzepiące, że dzięki takim ambasadorom kultury, jak Wy, ranga łódzkiej uczelni – jak widać – rośnie. Wiele w tym Twojej – Aniu – zasługi. Wiem, że w ciągu minionych zaledwie trzech lat zyskałaś sobie opinię rektora – ideału i to nie tylko w kręgach muzycznych. Mądra, przedsiębiorcza, mocna kobieta o gołęmb sercu, zawsze dostępna dla zabiegających o rozmowę w cztery oczy, okazująca chęć pomocy, wyzbyta koturnu, piedestału Jej Magnificencji, otwarta, kochająca ludzi. To spora rzadkość, jeżeli dołączymy do tych przymiotów Twoje ogromne zrównoważenie, zupełny brak tak częstej u kobiet-szefów cechy, jaką jest panikarstwo, gadatliwość, czy popadanie w skrajne nastroje. Co w tej chwili stanowi największą troskę Pani Rektor?

AF - Brak sali koncertowej z prawdziwego zdarzenia. Niestety, starania o posesję przy rogu ulic Gdańskiej i Więckowskiego straciły sens, bo łódzki konserwator zabytków nie zezwolił nam na likwidację magnolii, stanowiących nieodłączną część zespołu pałacowo-parkowego. Drugą bolączką jest nasz akademik przy ulicy Wólczańskiej, w dawnym budynku ZUS-u, o którego odzyskanie Zakład walczy w Sądzie. Odnajmujemy tę rudere od miasta za 200 000 zł. rocznie, nie licząc oczywiście opłat za gaz, prąd itd. A ponieważ nie jest to nasza własność, to z ministerstwa nie dostajemy grosza ani na wynajem, ani na remonty. Szczęśliwie z parteru wyprowadził się Zakład Opieki Społecznej i mogliśmy nieco powiększyć "stan posiadania", zresztą dzięki wydatnej pomocy firmy "Atlas", która udostępniła nam wszelkie materiały budowlane niezbędne do remontu. W tych dniach będę oglądała jednak kolejny proponowany nam obiekt. Być może – dopisze szczęście i internat zmieni lokalizację. Bardzo tego pragniemy. Przy tych wszystkich kłopotach finansowych cieszy fakt, że nieporównywalnie mniej kosztuje nas wynajem sali filharmonicznej na uczelniane popisy, konkursy i koncerty. Wreszcie zaistniało jakieś wspólne działanie Akademii i dyrektora FŁ Zbigniewa Lasockiego, który jednocześnie jest profesorem naszej uczelni. Można śmiało powiedzieć, że od roku Akademia żyje w autentycznej przyjaźni z Filharmonią. Działamy na zasadzie naczyń połączonych, z pełnym zrozumieniem dla wspólnych korzyści wynikających z idealnej współpracy.

AIM - Jakie macie plany artystyczne w najbliższym czasie?

SF - Sporo działamy ostatnio na różnych frontach, jako jurorzy konkursów, promotorzy, recenzenci przewodów naukowych w różnych uczelniach. Tzw. wolnego czasu nie mamy w ogóle, bo każdą chwilę poświęcamy na bezustanne ćwiczenie i poszukiwanie nowego repertuaru.

Niedawno wystąpiłem w naszej Akademii w kwartecie, takim nietypowym, bo dwoje skrzypiec, wiolonczela i kontrabas. Graliśmy sześć sonat Rossiniego. Powtórzymy ten koncert w pałacu Herbsta, w Poznaniu i Wrocławiu, a potem zamierzamy nagrać ten ciekawy program na płytę. Jesienią wyjeżdżam do Bejrutu na zaproszenie dyrektora tamtejszej Filharmonii. W końcu października będę jurorem w Konkursie im. Antonia Janigro w Chorwacji.

AF - Na początku listopada mamy kilka wspólnych koncertów w paru miastach Holandii, gdzie poprowadzimy też kurs mistrzowski w Enschede. Nasz kalendarzyk występów przyszłorocznych również już się wypełnia, także zaproszeniami do komisji konkursowych i na prowa-

fot. archiwum



Stanisław Firlej.

dzenie kursów. Staszek niezmiennie od lat jeździ na dwa tygodnie do Żagania i to zawsze podczas wakacji, a oboje – do Łagowa i Łańcuta, gdzie regularnie bywamy już od dwudziestu lat.

AIM - *Na koniec proponuję bardziej prywatny ton naszej rozmowy. Wasza piękna jedynaczka Kinga ukończyła właśnie - i to we wspaniałym stylu - klasę fortepianu u prof. Chmielewskiego, a niebawem - jej ślub z Dominikiem Połóńskim - wychowankiem prof. Firleja i jego aktualnym asystentem. Jak to się stało, że katowiczanie przywędrował właśnie do Łodzi?*

SF - Pojawiał się na corocznych kursach w Łagowie, uczył się w liceum u kogoś innego, ale pilnie śledził moje lekcje, chodził na moje recitale... No i właśnie mnie wybrał. Nasz kontakt polegał głównie na rozmowach o muzyce i sztuce, zwiedzaniu wystaw, wspólnych jazdach samochodem na koncerty muzycznych znakomitości... On, jako wybitny instrumentalista potrzebował takich właśnie rozmów i doznań. Na tym chyba polega fenomen artysty, który nie tylko wspaniale gra na instrumencie, ale zgłębia istotę epok muzycznych, stylów, rozwija się intelektualnie. Rezultaty objawiły się bardzo szybko w postaci laurów Dominika na poznańskim Konkursie im. Danczowskiego, stołecznym międzynarodowym im. Lutosławskiego, uzyskaniu nobilitującego stypendium rocznego hiszpańskiej królowej Zofii oraz wielu zaproszeń na liczące się w świecie estrady koncertowe. Znajomość Dominika z Kingą trwa wiele lat. Poznali się bardzo dawno, kiedy byli nastolatkami. A było to w Łagowie, dokąd jak co roku - zabieraliśmy córę ze sobą. Minionej zimy, w grudniowy mróz i potworną śnieżycę, wróciliśmy z pracy do domu i... zastajemy na stole kartkę od Kingi. Zakomunikowała nam, że postanowili z Dominikiem odwiedzić Łagów. Okazało się, że właśnie w miejscu, gdzie się poznali nastąpiły zaręczyny. Już postanowili, że będą samodzielni, nie zamieszkają z nami, wezmą się z życiem za bary. Są bardzo odważni i głęboko wierzą w swoją dobrą przyszłość. Jak to zakochani...



BOGDA
MADEJ-WŁODKOWSKA

JAN TOMASZEWSKI

„TOMEK”

„Człowiek, który zatrzymał Anglię, pajac, symbol sukcesów polskiej reprezentacji, błazen, piłkarski geniusz, najbardziej kontrowersyjna postać polskiej piłki nożnej” - to tylko niektóre z określeń, na jakie zapracował sobie JAN TOMASZEWSKI. Bramkarz, który współtworzył historię polskiej piłki nożnej w okresie jej największych sukcesów. Łódzianin z wyboru.

Urodził się w styczniu 1948 roku we Wrocławiu i tam, jako czternastolatek zaczął swój piłkarski życiorys. Najpierw występował w drużynie „Gwardii”, kiedy przyszło wojsko, „Tomek” trafia do pierwszoligowego WKS „Śląsk”. Dopiero po roku zaczął bronić bramki pierwszego zespołu, po dwóch latach, dobrze zapowiadającego się piłkarza zabrała warszawska „Legia”. I wtedy przyszły ciężkie czasy. Zespół nie przyjął go najlepiej, nie udało się debiut w reprezentacji w 1971 roku. Polska przegrała z RFN 1:3 i winą za porażkę obarczono Tomaszewskiego.

Gdzie się nie pokazałem - wspomina bramkarz - witały mnie obelgi i gwizdy, trenerzy bali się mnie wystawiać. Poważnie się zastanawiałem, czy nie skończyć z piłką, tym bardziej, że rozmawiałem z wieloma klubami i nikt mnie nie chciał.



Jan Tomaszewski.

fot. archiwum



Nigdy nie ukrywałem - mówi Tomaszewski - że Łódź uratowała mi życie, nie tylko sportowe. Obiecywałem wtedy, że będę pluł krwią na treningach, ale udowodnię, że to nie tylko ja przegrywam mecze, przecież gra 11 zawodników.

Po raz pierwszy w barwach ŁKS zagrał w meczu z poznańskim Lechem, 2 sierpnia 1972 roku. Nie pytałam nigdy bramkarza, jak to było z tą krwią, ale faktem jest, że w ŁKS Tomaszewski się odnalazł. I on i drużyna zaczęli grać lepiej. Sam mówi, że miał wówczas szczęście, bo z łódzkim zespołem związał się Kazimierz Górski, trener reprezentacji, która 10 września 1972 roku, na XX Olimpiadzie w Monachium wywalczyła złoty medal. Górski miał możliwość bliżej przyjrzeć się postępom w grze „Tomka” i w dalszym ciągu widział w nim wielki talent. Szukał bramkarza, który mógłby zastąpić, kończącego reprezentacyjną karierę, Huberta Kostkę. Polskę czekały eliminacje do X Mistrzostw Świata, wylosowaliśmy V grupę z Anglią i Walią. Potrzebny był wysoki bramkarz, nie bojący się gry na przedpolu. Tomaszewski się nie bał i miał 195 cm wzrostu.

28 marca 1973 roku, pierwszy mecz eliminacyjny w Cardiff, to ważna data dla łódzkiego bramkarza. Po dwóch latach znów może wystąpić w reprezentacyjnej koszulce. Z Walijczykami przegraliśmy 0:2, ale tym razem nikt nie miał pretensji do „Tomka”. Przeciwnie, zyskał pochlebne oceny.



Lepiej umrzeć, niż przegrać z Polską, Polacy mają najgorszego bramkarza, jaki kiedykolwiek grał na Wembley; Polacy to osły nieznające zasad futbolu; Gorgoni to baran nie potrafiący myśleć na boisku, a Ćmikiiewicz - wyrafinowany prowokator. Ta próbka cytatów z angielskiej prasy i telewizji najlepiej świadczy o nastrojach Anglików przed 17 października 1973 roku. Datą słynnego meczu na Wembley. Żeby wejść do finału nam wystarczył remis, przeciwnicy musieliby wygrać różnicą przynajmniej czterech bramek.

Na Wembley stutysięczny tłum kibiców wita Polaków okrzykami - *Animals!*, gwizdże podczas polskiego hymnu, śpiewa i bez przerwy skanduje - *England, England!* Do przerwy jest 0:0. Tomaszewski broni jak w transie.

W 57 minucie meczu Jan Domarski przejmując podanie Grzegorza Lato i prowadzimy 1:0. W Polsce euforia, na Wembley jeszcze większe doping kibiców. Na 27 minut przed końcem zawodów fauluje Andrzej Musiał. Rzut karny będzie wykonywać Alan Clarke, ten sam piłkarz, którego „strzał nie do obrony” obronił przed przerwą polski bramkarz. Dobrze strzelonego karnego bramkarz nie ma szansy złapać. Jest 1:1 i tak będzie już do końca pojedynku. Na mistrzostwa do Monachium zakwalifikowali się amatorzy, jak wcześniej o Polakach wypowiadał się trener Anglików, sir Alf Ramsey. Zawodowcy zostali w domu.

Po meczu, angielski komentator, Brian Clough stwierdził, że: *Takiego błazna, popisującego się cyrkowymi sztuczkami, nie wstawiłby do bramki żaden porządny trener.* Co innego powie sir Alf Ramsey: *Najwyższą formą byłby snął na Wembley Tomaszewski. To był najlepszy bramkarz zagraniczny, jakiego oglądałem w akcji na londyńskim stadionie.*

W Polsce „Tomek” witany był jako „człowiek, który zatrzymał Anglię”.



Kiedy po latach pytam Tomaszewskiego, czy mecz na Wembley uważa za swój najlepszy występ, zaprzecza. Uważa, że to był mecz najbardziej szczęśliwy. Nie tylko dla niego, ale i dla całej drużyny. Potwierdził tezę, że w piłce nożnej nie zawsze wygrywają lepsi. A przecież lepszą drużyną byli wówczas Anglicy.

Swój życiowy mecz rozegrałem podczas spotkania ze Szwecją, w 1974 roku, na X Mistrzostwach Świata w Monachium. To był nasz czwarty występ - wspomina Tomaszewski - przechodziliśmy kryzys. Mieliliśmy za sobą trzy wygrane mecze: 3:2 z Argentyną, 7:0 z Haiti i 2:1 z Włochami. Nagle stanęła przed nami szansa gry o medal. Kto wówczas na to liczył?

26 czerwca gramy na stadionie w Stuttgarcie. Jest zimno, pada deszcz, Szwedzi grają twardo, a my, zgodnie z „teorią czwartego meczu”, dość kiepsko. W 43 minucie Grzegorz Lato strzela bramkę. W 65 minucie, za faul Jerzego Gorgonia, sędzia dyktuje jedenastkę. Strzela Tapper. J Tomaszewski wybija piłkę w pole. Wygrywamy ze Szwecją 1:0.

Jan Tomaszewski jest pierwszym bramkarzem w historii mistrzostw świata, który broni rzut karny. Powtórzy tę sztukę 3 lipca, w trakcie pamiętnego, rozgrywanego w ulewnym deszczu meczu z RFN, we Frankfurcie nad Menem. Wprawdzie obronił karnego strzelanego przez Ho-

enessa, ale mecz w błocie przegrywamy 0:1. Jest to jedyny, przegrany mecz na tych mistrzostwach. Po zwycięstwie 1:0 z Brazylią, drużyna Górskiego zdobyła trzecie miejsce. A pokonała nie byle kogo Brazylię broniła mistrzowskiego tytułu sprzed czterech lat.

W trakcie monachijskich mistrzostw, w wiedeńskim „Kurierze”, znawca futbolu Martin Maier nazwał Tomaszewskiego „geniuszem piłkarskiej epoki”. Pele zaliczył go do grona najlepszych bramkarzy świata. „Tomka” powołano do reprezentacyjnej jedenastki Europy. Swój sukces, już wówczas i dzisiaj, Tomaszewski ocenia skromniej. *Miałem szczęście - mówi - bo dobrze strzelonego rzutu karnego bramkarz nie ma prawa obrońić.*



Największa klęska? *Mecz o olimpijskie złoto z NRD, w 1976 roku, na XXI Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu - bez wahania odpowiada Tomaszewski - To ja przyczyniłem się do naszej porażki.*

Sięgam do dokumentacji. Rzeczywiście. W pierwszych minutach strzela Martin Hoffmann. W poprzeczkę, ale Tomaszewski nawet nie drgnął. W 7 minucie jest 1:0 dla NRD, w 14 - 2:0. Tomaszewski prosi o zmianę. W bramce staje Piotr Mowlik. Mecz o olimpijskie złoto przegrywamy 1:3.

Mundial '78 w Argentynie nie był już tak pomyślny ani dla nowego trenera - Jacka Gmocha, ani dla drużyny, która nie zakwalifikowała się do półfinałów, zajmując w swojej grupie trzecie miejsce i wyprzedzając jedynie Peru. Ani także dla Jana Tomaszewskiego, którego w bramce zastępował Zygmunt Kukla.

Po Argentynie „Tomek” przez 3 lata występował w belgijskiej zawodowej drużynie Beerschot, gdzie popisał się zdobyciem gola z akcji. W latach 1981/82 grał w hiszpańskim klubie Hercules Alicante. Stamtąd ściągnął go do Polski na swój pierwszy, ważny mecz eliminacji do XII Mistrzostw Świata nowy trener kadry Antoni Piechniczek. 2 maja 1981 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie, Polska wygrywa z NRD 1:0. Na Mundial do Hiszpanii Tomaszewski już nie pojedzie. Swój ostatni, 65 mecz w polskiej reprezentacji zagra w Łodzi, 18 listopada 1981 roku, w międzypaństwowym spotkaniu z Hiszpanią. Karierę piłkarską zakończy w ŁKS w 1982 roku.



Reprezentacyjna kariera Jana Tomaszewskiego to z pewnością atrakcyjniejszy temat niż jego kilkuletnie występy w klubowych barwach ŁKS. Dzisiaj z żalem powiada, że nie udało mu się razem z drużyną wywalczyć tytułu mistrza Polski. Ale, żeby być w zgodzie z faktami, trzeba powiedzieć, że nie był bez winy. W 1976 roku trenerem w ŁKS zostaje Leszek Jezierski. W 1977 łkaesiacy mają szansę na mistrzowski tytuł, po jesiennej rundzie '76 przewodzili w ekstraklasie. Wiosną '77 przegrywają w siedmiu kolejnych meczach. Sami zdobywają zaledwie 1 bramkę, do bramki Tomaszewskiego trafia 13 goli. Można oczywiście tłumaczyć, że w drużynie gra 11 zawodników, ale już wtedy głośno było w Łodzi o konflikcie między bramkarzem i trenerem. W styczniu 1978 roku, podczas zgrupowania, Tomaszewski, łagodnie to nazywając, zabalował i nie wrócił na noc do obozu. Jezierski odesłał go do domu i odsunął od gry w pierwszej drużynie. Szkoleniowiec jednak przegrał, musiał odejść z ŁKS, bo tak zadecydowali towarzysze partyjni. Ja nie mogłam swojego artykułu o tych wydarzeniach wydrukować w łódzkich „Odgłosach”. Pomógł mi ówczesny naczelny, Jerzy Wawrzak i tekst ukazał się w „Życiu Literackim”. Dziś to może śmieszyć, ale takie były czasy.



Tamten epizod niewątpliwie zaważył na popularności „Tomka” w Łodzi. Kontrowersyjnie przyjęto także inny fakt z jego, tym razem już nie piłkarskiego, życiorysu. Kiedy powrócił z Hiszpanii, było lato 1982 roku. W Polsce trwał stan wojenny. Człowiekowi ze słynnym nazwiskiem zaproponowano by zasiłił łódzką Patriotyczną Radę Ocalenia Narodowego. Zgodził się. Wiem, że za to pluja na mnie do dzisiaj - mówi Tomaszewski - ale ja się tego nie wstydzę i niczego nie żałuję. Pracowałem w komisji zajmującej się przestrzeganiem sprawiedliwości społecznej. Przychodzili do mnie ludzie ze swoimi życiowymi sprawami i wiem, że wielu pomogłem. I to się dla mnie liczy. Nigdy nie byłem członkiem partii, nie wstąpiłem też do „Solidarności”. Nie miałem zamiaru robić kariery politycznej. W latach siedemdziesiątych, w apogeum popularności naszej reprezentacji, przed każdym meczem, na oczach milionów widzów, żegnałem się. Nigdy nie miałem za to żadnych przykrości. Kiedy po latach spotkałem „nawróconych”, których pamiętałem z krytycznych wypowiedzi o Kościele, to choć jestem katolikiem, nie chcę przekazywać sobie z nimi znaku pokoju.



Kiedy skończyłem granie - wspomina Jan Tomaszewski - zdałem sobie sprawę, że moje życie jest nierozdzielnie związane z piłką nożną. Bez papierów trenerskich byłem asystentem Leszka Jezierskiego w ŁKS, później w reprezentacji Andrzeja Strelaua, byłem epizodycznym trenerem w łódzkim „Orle”, w „Widzewie”. W połowie lat osiemdziesiątych zdobyłem uprawnienia trenera, ale prawdziwym trenerem nie byłem nigdy. Nie odpowiadała mi rola faceta, który „krawaty wiąże, usuwa ciężę”. Nie miałem zamiaru być moralnym stróżem zawodników, wyklócać się o dotrzymywanie zobowiązań finansowych, wchodzić w układy, kto ma wygrać mecz. Postanowiłem z tym skończyć i przekwalifikować się. Nie merytorycznie, ale zawodowo. Spróbować sił, jako komentator, oczywiście piłkarski, bo na tym się znam.

Zaczął skromnie. Dyktował swoje opinie redaktorom z „Dziennika Łódzkiego” i katowickiego „Sportu”, a oni je fachowo opracowywali. Do „Piłki Nożnej” musiał już pisać sam. Jako komentator telewizyjny zadebiutował w łódzkim ośrodku. Potem była Wizja TV, a od listopada 2001 roku telewizja publiczna. Nie na długo. W sierpniu 2002 złożył wypowiedzenie z TVP, bo zakazano mu, jak powiada, krytykować Zbigniewa Bońka i prezesa PZPN, Michała Listkiewicza. Zabronić Tomaszewskiemu krytyki, to tak, jakby kazać mu przestać oddychać.



Zostały mu - na jak długo? - felietony pisane od kilku lat w „Przeglądzie Sportowym”. Nadtytuł - „Równo z trawą” - mówi wszystko. Tomaszewski wyciąga na światło dzienne brudne afery polskiej piłki, przekręty, układy, atakuje ludzi z imienia i nazwiska, bez litości obnaża błędy zawodników, zespołów i trenerów. Nie ma dla niego świętości. Styl ma tyłuż kwiecisty, co brutalny. To Tomaszewski jest autorem określenia „dziurroland”, pochodzącego z czasów, kiedy wspólnie z Jackiem Dębskim, ministrem sportu w rządzie Jerzego Buzka, walczył z ówczesnym prezesem PZPN, Marianem Dziurowiczem. Tego terminu używa zresztą do dziś, walcząc dalej z „pozornie odnowionym”, jak twierdzi, nowym zarządem PZPN. Jedni mówią o nim z zachwytem, inni z lekceważeniem, jeszcze inni z nienawiścią. Rzadko udało mi się słyszeć wyważoną opinię, taką, jaką podzielił się ze mną Ludwik Sobolewski, słynny prezes słynnego kiedyś „Widzewa”: *Nie zawsze zgadzam się z tym, co Tomaszewski pisze. Ale jest w tym też dużo prawdy, bo nasza piłka jest ciągle chora. Boję się jednak, że bohater z Wembley jej nie uleczy.*



PARK ŹRÓDLISKA

NAJSTARSZY PARK W ŁODZI

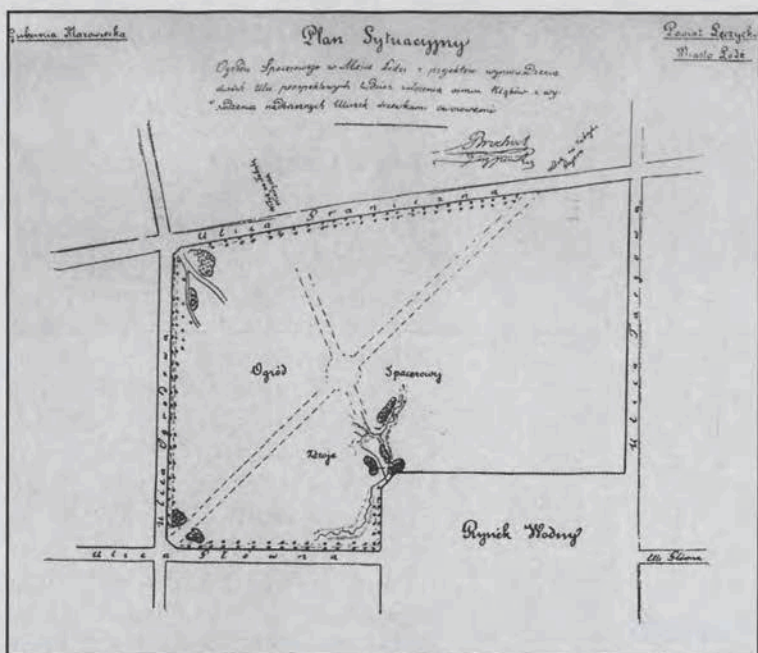
W piosenkach o Łodzi śpiewano, że jest to miasto tysiąca kominów. Ale to fabryczne miasto, które zostało wznoszone w miejscu dziesiątków źródełek i lasów było i jest jednym z najbardziej zazielenionych w Polsce. Od dymów z kominów zielone bogactwo ulegało zniszczeniu. Po dzień dzisiejszy jednak ciągle posiada dużą powierzchnię terenów zielonych. Choćby Park na Zdrowiu, czy Łągielniki należą do jednych z największych w Polsce kompleksów zielonych usytuowanych na terenie miasta.

Ważną dziś sprawą jest zapewnienie tym terenom odpowiedniej opieki i ochrony przed chorobami, szkodnikami i szkodliwymi wydechami spalin samochodowych. Nie odkryję nic nowego jeśli stwierdzę, że zielone tereny polepszają mikroklimat, łagodzą upały i ulepszają skład powietrza.

W centrum miasta jest położony najstarszy park Łodzi - Park Źródłiska. Pierwsze wzmianki o tym parku zostały już zapisane w 1840 roku. W Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Łodzi, można zaznajomić się z planami „Ogrodu Spacerowego”. Na planach widnieje data 1843 roku i opis sytuacyjny „Ogrodu Spacerowego w mieście Łodzi” z projektem wyprowadzenia dwóch ulic. Na

planach wyraźnie też zaznaczony jest Rynek Wodny, ulica Targowa i ulica Graniczna. Łaskawi byli dla pierwszego parku Łodzi ówcześni rajcowie, którzy przeznaczili 1 500 zł. polskich m.in. na oczyszczenie źródeł i ogólny dozór w ogrodzie. Kompleksowy projekt ogrodu sporządził w 1843 roku inż. powiatu łęczyckiego, Brochicki.

Park był dostępny dla łódzian w ciągu całego roku, zamykany tylko był na okres zimowych miesięcy tj. od 1 listopada do 1 marca. Z każdym rokiem w parku przybywało klombów z kwiatami, ławek a także wzniesiono dwie altany. W 1847 roku władze administracyjne miasta zatrudniły ogrodnika. Władze też ustanowiły surowe kary dla wandalizujących zieleni. W 1864 roku ukazało się obwieszczenie opublikowane w Ustawie Gminnej, w którym znajdował się wykaz kar m.in. za zerwanie kwiatów kara wynosiła około 1 rubla a za zniszczenie klombu około 50 rubli; w przypadku niewypłacalności trzy dni aresztu lub kara chłosty. W ustawie czytamy m.in.:



Plan Ogrodu Spacerowego z 1843 r.

dziesięć razy skazanym będzie i wszelkie wyrządzone szkody wynagrodzić musi (oj przydałyby się te kary i dzisiaj dla wszystkich co uszanować w parku zieleni nie potrafią). Około 1860 roku połowa parku została sprzedana prywatnemu właścicielowi.

Kolejne lata źle zapisują się dla Ogrodu Spacerowego zwanego potocznie „Źródlika”. Ograniczona działalność Magistratu i postępująca rusyfikacja spowodowała, że lokalne władze nie miały środków na ten cel. Park stawał się zaniedbany i zarastał dzikimi krzewami i chwastami. W tej sytuacji część „Ogrodu Spacerowego” wydzierżawiono Towarzystwu - Bractwo Kurkowe, które wybudowało tam swoją strzelnicę.

fot. archiwum



Historyczna pompa z okresu powstawania Parku.

Park jednak stawał się coraz bardziej zaniedbany. Władze miasta postanowiły na dwadzieścia lat wydzierżawić go prywatnemu przedsiębiorcy. Nowy właściciel ogrodził park płotem, wybudował restaurację. Park jednak przestał już spełniać rolę otwartego ogrodu. Nowy właściciel dbał wyłącznie o zyski płynące z restauracji. Większość parku zarosła „dzikim” drzewostanem, trawą i krzewami. Piękne świerki i wiele innych drzew liściastych usychało. Magistrat podjął kolejną decyzję i w 1885 roku wydzierżawił park firmie Scheibler. Nowy dzierżawca wybudował estradę, na której w dni świąteczne koncertowała orkiestra fabryczna.

Uporządkowano teren, poszerzono drogi, posadzono kwiaty i upiększono miejsca przy źródłach. Park zaczęto nazywać parkiem Kwela (od niemieckiego Quell - źródło, zdrój). Park Kwela stał się miejscem wypoczynku przede wszystkim robotników zatrudnionych u Scheiblera. Wokół parku wzniesione zostały domy dla robotników tzw. „domy rodzinne”. Z biegiem lat robotnicy od Scheiblera nie tylko mieszkali w jego domach, zaopatrywali się w jego sklepach, posyłali dzieci do szkoły założonej przez fabrykanta ale i odpoczywali w jego parku. W 1905 roku Scheibler zrezygnował z dzierżawy parku.

Czasy stały się rewolucyjne. Graniczący z parkiem Wodny Rynek stał się miejscem robotniczych manifestacji. Magistrat przejął park,



foto: archiwum

Parkowy pejzaż.

ponownie go ogrodził płotem, pozostawił tylko dwa wejścia na jego teren. Po wzniesieniu 1905 roku ulicznych barykad w Łodzi, manifestacjach na Wodnym Rynku i starciach z carską policją władze miejskie postanowiły zamknąć park. Przez ponad dziesięć lat był on zamknięty.

Lepsze czasy dla parku rozpoczęły się po 1917 roku. Wtedy przystąpiono do jego gruntownej przebudowy. W budynku wzniesionym na jego terenie usytuowany został Wydział Plantacji Miejskiej, który podjął pracę nad modernizacją ogrodu. W 1919 roku wybudowano ogród botaniczny, urządzono place zabaw dla dzieci. W kilka lat później zburzono płot. Park stał się schludnym parkiem miejskim.

W dni wolne od pracy robotnicy z całymi rodzinami szli do parku, kładli koce na trawnikach (było dozwolone) tańczyli i bawili się na trawie. Atmosferę parkowych zabaw możemy znaleźć w piosenkach. Oto tekst jednej z nich:

*Nad „fajkę” w parku Kweli
Nie masz morowszej „fajki”
Tu wali hymnem cała Łódź!
I nas zastaniesz także tu -
Ferajną Czarnej Mańki.*

ref.

*Hopaj siupaj, hopaj siupaj,
Popatrz ile w koło dam!
Już się wiara rozhulała,
A Ty ciągle jeszcze sam.*

Tekst piosenki ma około dziesięciu zwrotek. W jednej z kolejnych zapisano:

*Gienio zdrowo się zaprawił,
Heńce zbiera się na placz.
W garniturze wlaź do stawu,
A garnitur dychę wart!*

ref.

*Hopaj siupaj,
Tra la la,
Śpiewaj z nami,
Łódź się bawi!
Wiara się bawi!
A muzyczka gra!*

W latach 1931-1935, powszechnie nazywany już „Park Źródliska”, poddany został po raz kolejny przebudowie. Wytyczono nowe aleje, wykopano staw, zainstalowano fontannę i posadzono sporo gatunków drzew ozdobnych. Autorem projektu był Stefan Rogowicz. Park wyglądał okazale, najstarsi łodzianie wspominają, że pnie drzew połączono wonną winoroślą, wokół kwitły bzy i lilie.

Dewastacja parku nastąpiła po zajęciu Łodzi przez hitlerowców. Wycięto dużą część świerków, zniszczono klomby i wysuszono staw. Prace nad uporządkowaniem parku rozpoczęto po wyzwoleniu Łodzi. Przywrócono i uporządkowano stare aleje, pogłębiono dno stawu i zalano go wodą, wybudowano obiekt i podwyższono obiekt Palmiarni i oddano ją do użytku publicznego, a większość dróg parkowych przykryto bitumiczną nawierzchnią.

Park Źródłiska jest rówieśnikiem wznoszenia Łodzi przemysłowej. Stał się na „Ziemi Obiecanej” pierwszym parkiem, w którym bawiło się wiele pokoleń robotników z Wodnego Rynku i Księżego Młyna. Dla dzieci robotników był miejscem zabaw, gdzie zapominały o ciasnych podwórkach i ulicznych ściekach.

Ze starego drzewostanu zachowały się jeszcze stare dęby. Wiek niektórych szacuje się na ponad dwieście lat. Są one dziś pomnikami przyrody. Spotkać też można w parku stare jawory, graby, świerki i klony srebrzyste. Drzewa te pamiętają jeszcze puszcę łódzką. W Parku Źródłiska znajdują się dwa obiekty, które są wykorzystywane do nauki biologii w szkołach. Są to ogródek botaniczny i Miejska Palmiarnia.



Bibliografia:

Śpiewnik Łódzki. Praca zbiorowa pod redakcją Tadeusza Szewery.
Parki Łodzi. Praca zbiorowa pod redakcją prof. dr Jakuba Mowszowicza.
Archiwum.

PARK PRZYSZŁOŚCI

TEORIA W PARZE Z PRAKTYKĄ

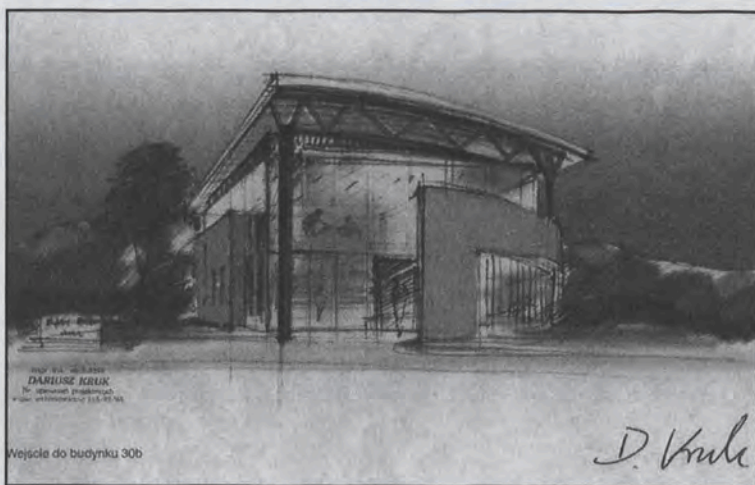
W Łodzi powstanie park inny, niż wszystkie nam znane. Będzie to Park Naukowo-Technologiczny - miejsce współpracy środowisk naukowych i biznesowych Łodzi i Województwa.

Doświadczenia w tworzeniu parków tego typu na świecie są dość dawne. Pierwszym była Dolina Krzemowa (Stanford Research Park). W Europie pojawiły się znacznie później pod nazwami: parki naukowe, parki badawcze, technologiczne, centra innowacji, centra przedsiębiorczości, inkubatory przedsiębiorczości, inkubatory nowych technologii. Wszędzie ich partnerami są: sektor nauki, administracja regionalna, samorząd, przemysł, handel i oczywiście banki. Szanse rozwoju parków w Polsce są bardzo duże. Mamy bowiem wysoki poziom badań i bardzo dobrze kształcące uczelnie wyższe. Jedyne przeszkody to niski poziom finansowania i jeszcze mniejsza świadomość społeczna i wiedza na tematy związane z tego typu przedsięwzięciami.

Pierwszy taki park w Polsce już powstał, w Poznaniu. Na jego przykładzie można stwierdzić, że zasadnicze znaczenie ma silny ośrodek naukowy, dobra informacja badawcza i technologiczna oraz prawidłowa współpraca z bankami.

Kolejne mają być utworzone w Warszawie, we Wrocławiu, Bielsko Białej. W Łodzi, jeśli założenia programowe doczekają się faktycznej realizacji, powstanie największy w Polsce - „Park Przyszłości”, o liczącym znaczeniu, nawet w Europie. Położenie miasta w centrum kraju, a 130 km od stolicy państwa stwarza istotną szansę gospodarczego rozwoju także całego województwa.

Planowana i już rozpoczęta rozbudowa sieci dróg krajowych: autostrad A-1 i A-2 oraz dróg szybkiego ruchu S-8 i S-14, a także sfinalizowanie działań modernizacyjnych pasażerskiego lotniska dyspozycyjnego na Lublinku i zakończenie programu inwestycyjnego dotyczącego portu lotniczego w Łasku - to czynniki, które umożliwią połączenie nie tylko z największymi miastami w kraju, ale i europejskimi stolicami.



„Techno-Park” - szkic.



Jesteśmy zasobnym województwem, mamy bogactwa, które mogą przysporzyć różnorodnych dóbr, istnieją też wszystkie czynniki wspierające inicjatywę utworzenia parku. Idea jego powstania i następnie funkcjonowania, powinny sprzyjać działaniom integracyjnym w regionie, rozwojowi Łodzi i może stać się nadzieją dla łódzkiego społeczeństwa wobec stale rosnącego bezrobocia. To także wizytówka miasta i województwa, oraz przykład doskonałej współpracy, wzajemnego oddziaływania środowisk naukowo-badawczych ze sferą usług i produkcyjną.

CELE KUSZĄ I ZACHĘCAJĄ

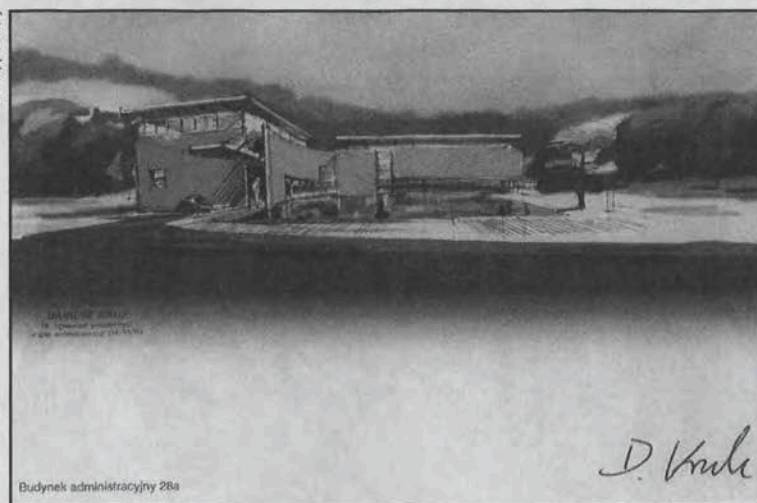
W ramach tego kompleksu naukowo-przemysłowego będzie realizowana polityka w zakresie: wspomagania projektów innowacyjnych przedsiębiorstw nastawionych na rozwój produktów, metod wytwarzania i usług w technologicznie zaawansowanych branżach, a także tworzenia warunków do rozwoju procesów transferu technologii z instytucji naukowych do praktyki gospodarczej i komercjalizacji rezultatów prac naukowo-badawczych.



Firmy, które będą w przyszłości zlokalizowane na tym terenie będą mogły liczyć na kompleksową sieć usług administracyjnych i okołobiznesowych, bazę hotelową, rekreacyjną i restauracyjną. Będą mogły też skorzystać z danych o technologiach oferowanych w kraju i za granicą, o programach badawczych Unii Europejskiej, o laboratoriach (instytucjach) naukowo - badawczych i przedsiębiorstwach regionu łódzkiego.

Producentom wdrażającym nowe technologie zapewni się ich transfer i pomoc w nawiązywaniu kontaktów z partnerami ze sfery badaw-

foto: archiwum



„Techno-Park” - szkic.

czej i gospodarczej oraz w tworzeniu nowych firm powstających na bazie rezultatów prac naukowych uczelni i instytutów. Umożliwi się systematyczne podwyższanie kwalifikacji zawodowych.

Park naukowo - technologiczny stanie się więc miejscem szeroko pojętej współpracy konkretnych, praktycznych rozwiązań w sferze badawczej i produkcyjnej.

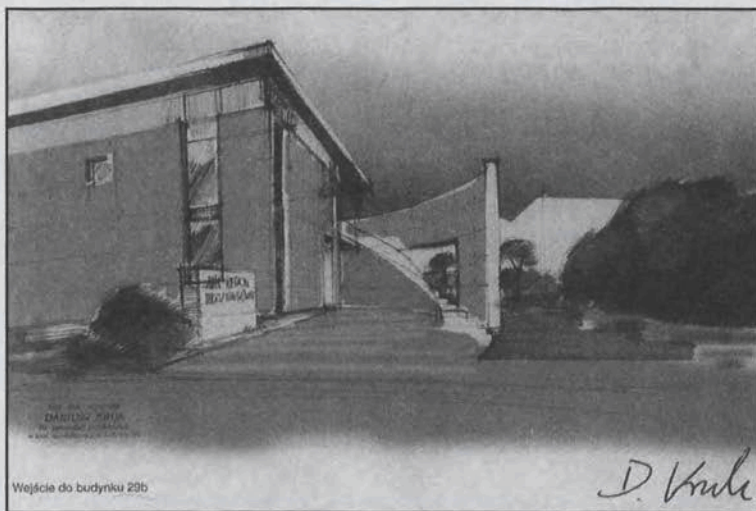


foto: archiwum

„Techno-Park” - szkic.

„TECHNO-PARK” - WIZYTÓWKĄ NOWEGO WIEKU

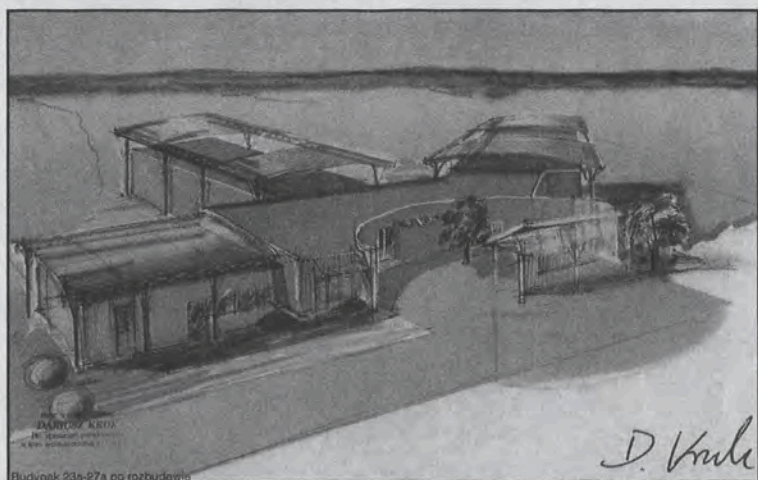
Znane jest miejsce lokalizacji. Czternastohektarowy teren, znajdujący się przy ulicy Dubois 114/116. To bardzo dobry wybór. Przede wszystkim uregulowany jest stosunek własności, tereny są uzbrojone, w niedalekim sąsiedztwie znajduje się lotnisko. Stare budynki wojskowe - a przynajmniej niektóre z nich - mogą po adaptacji, służyć jako hale produkcyjne, magazynowe lub hurtownie. W nowych, o nowoczesnej architekturze znajdą swoje lokum przyszli gospodarze, czyli przedsiębiorcy, laboratoria badawcze i obsługa.



Największym kompleksem, będzie Centrum Innowacji Biznesu, z pomieszczeniami przygotowanymi do wynajęcia przez firmy na biura, pracownie. Zaplanowano wszystkie nowoczesne formy połączeń telekomunikacyjnych i internetowych. Przewidziano też pełną obsługę serwisową: wspólny sekretariat, centralę telefoniczną, recepcję, sale seminarijnych, bibliotekę, warsztaty, laboratoria, kawiarnie, bar, pokoje gościnne.

Centrum Szkoleniowo - Promocyjne to zestaw budynków przeznaczonych do organizowania szkoleń, seminariów, warsztatów specjalistycznych i konferencji oraz akcji promocyjno-wystawienniczych. Laboratoria badawcze przeznaczy się dla lokatorów strategicznych czyli firm o ugruntowanej pozycji na rynku.

fot. archiwum



„Techno-Park” - szkic.

Całość otulona zostanie zielenią i obiektami rekreacyjnymi: boisko, korty tenisowe, pola golfowe, park wypoczynku, kawiarnie, restauracje, kluby, parkingi, pomieszczenia hotelowe.

Wiadomo już, że lokatorami parku mogą być przedsiębiorstwa bazujące na zaawansowanych technologiach a także placówki naukowo-badawcze. Preferowane zaś będą podmioty gospodarcze, które prowadzą działalność w następujących branżach: informatyka i jej zastosowanie, biotechnologie, produkcja nowych materiałów, specjalistycznych leków, komponentów farmaceutycznych i kosmetyków, produkcja aparatury, mikromaszyn, narzędzi i sprzętu medycznego, diagnostycznego, pomia-

rowego i optycznego, działalność produkcyjna i usługowa w dziedzinie ochrony środowiska, zdrowej żywności a także nowe źródła energii (ogniwa fotoelektryczne, generatory wiatrowe).

WCZORAJ - DZIŚ - JUTRO

Pomysł utworzenia parku technologicznego powstał na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych minionego stulecia. Był oparty na przekonaniu o istnieniu w tym mieście wystarczająco wysokiego potencjału ludnościowego, akademickiego, naukowego, a także gospodarczego oraz korzystnego położenia geograficznego. Przez długie lata nie podjęto jednak żadnych prac, nawet studialnych. Pozostawał w sferze marzeń, twórczych planach i projektach.

Sytuacja się zmieniła w 1999 roku. W ostatnim roku mijającego wieku z inicjatywy Jego Magnificencji Rektora Politechniki Łódzkiej prof. Józefa Mayera, powołano grupę złożoną z przedstawicieli PŁ, Łódzkiej



Wizerunek architektoniczny adaptacji istniejących budynków 12, 16, 17

„Techno-Park” - szkic.

Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. i Łódzkiej Izby Przemysłowo Handlowej z zadaniem rozpoznania możliwości zawiazania porozumienia

społecznego na rzecz utworzenia parku technologicznego w regionie łódzkim.

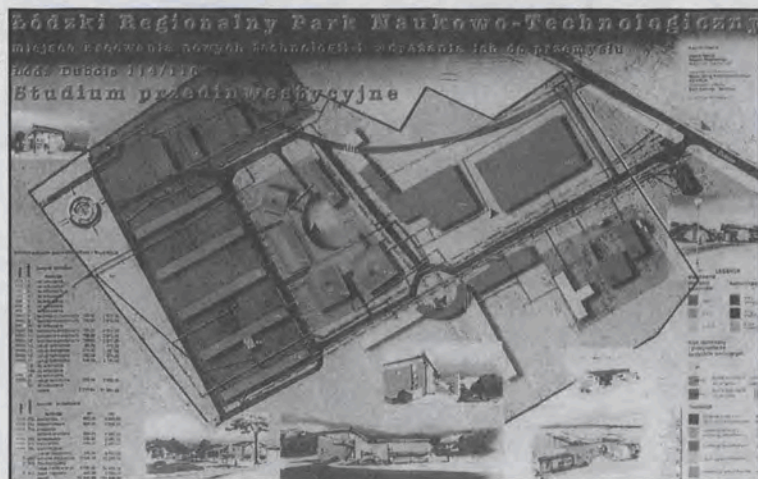
Nastąpił czas licznych spotkań, rozmów, w wyniku których, w dniu 2 czerwca 2000 roku podpisano „List Intencyjny w sprawie powołania i budowy Łódzkiego Regionalnego Parku Naukowo-Technologicznego”.

Natychmiast rozpoczął działalność Zespół Roboczy złożony z przedstawicieli 11 sygnatariuszy, których zadaniem było opracowanie koncepcji organizacyjnej i wybór lokalizacji łódzkiego parku technologicznego. Pierwszy rok nowego wieku okazał się bardzo pracowity i twórczy. W koncepcji programowej określono status spółki akcyjnej o nazwie Łódzki Regionalny Park Naukowo - Technologiczny.



Akcjonariuszami firmy powinni być sygnatariusze listu intencyjnego, instytucje państwowe, spółki prawa handlowego oraz osoby fizyczne. Przewidziano trzy etapy budowy. W pierwszym poza rejestracją firmy zarządzającej, uwzględniono przygotowanie infrastruktury techniczno-organizacyjnej, rozpoczęcie działań marketingowych i akcji promocyjnej.

fot. archiwum

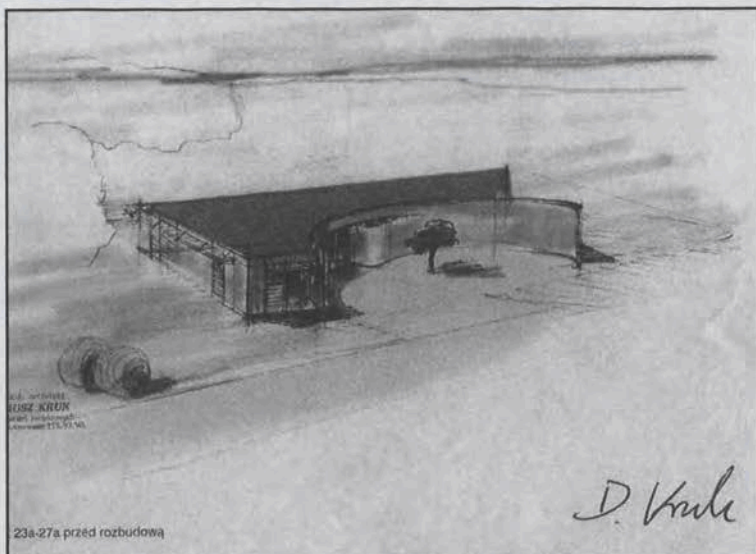


„Techno-Park” - plan inwestycyjny.

W rok później uznano za konieczne opracowanie przedinwestycyjnego studium możliwości i opłacalności realizacji projektu i działalno-

ści spółki zarządzającej w LRPNT. Dokument taki został opracowany przez Łódzką Agencję Rozwoju przy współudziale zaproszonych ludzi o największym autorytecie i osiągnięciach naukowych. Niniejsze opracowanie jest zbiorem naukowych wniosków i dowodów oraz konkretnych argumentów przygotowujących do wstępnych rozmów z inwestorami.

Osadzenie założeń programowych w realiach gospodarczych i możliwościach finansowych naszego miasta i kraju sprawiło, że deklarowany przez sygnatariuszy początkowy kapitał zakładowy, w formie wkładów pieniężnych, w wysokości około 140 tysięcy złotych musiał ulec zwiększeniu do kwoty co najmniej miliona złotych.



„Techno-Park” - szkic.

W pierwszym etapie budowy przewidziano koszty inwestycyjne w wysokości 8 milionów 600 tysięcy zł. W drugim etapie, w którym zaplanowano odbudowę i modernizację istniejącej zabudowy oraz budowę Centrum Innowacji Biznesu i Centrum Szkoleniowo-Promocyjnego wraz z zagospodarowaniem terenu zaplanowano, że koszty wzrosną do ponad 12,5 miliona złotych. W trzecim etapie poniesione zostaną największe wydatki. Osiągną kwotę ponad 26.6 miliona złotych, ale

i też, mają być zrealizowane wszystkie zaplanowane przedsięwzięcia gospodarcze, w tym naukowo - techniczne i ekonomiczne. Park zacznie funkcjonować w pełnym zakresie.

SUKCES NAUKI - ZYSK TECHNOLOGII

W okresie wzrostu wymagań w każdej dziedzinie życia społeczne-go, gospodarczego, ekonomicznego, naukowego potrzebne są mechanizmy uruchamiające zaangażowanie i współpracę wszystkich środowisk naukowych, twórczych, produkcyjnych i całej sfery finansowej. Potrzebne jest też wsparcie władz państwowych i regionalnych, a także samorządów lokalnych.

„Park Przyszłości” - jak niektórzy nazywają ten powstający kompleks naukowo-technologiczny, jest doskonałym miejscem do realizacji tych planów i zamierzeń ekonomiczno - gospodarczych. Wreszcie w Łodzi ma szansę uruchomić się koło procesów gospodarczych (idea - produkt - rynek - zysk - idea), które na całym świecie już się z powodzeniem „kręci”.



Czas najwyższy przyspieszyć i skonkretyzować działania zmierzające w kierunku powołania spółki zarządzającej, poszukiwania znaczących w świecie produkcji i techniki inwestorów oraz akcji promocyjnej. Problem jaki zaczyna się pojawiać - to presja czasu. Należy bowiem pamiętać o tym, że niemal we wszystkich największych miastach w Polsce, a także w Warszawie takie projekty powstały.

Wygrają więc ci, którzy w tej kolejce ustawiają się pierwsi i jako pierwsi przedstawiają ofertę. Zyskają na tym, bo inwestorzy dotrą do nich szybciej, być może, że tacy, którzy jednoznacznie kojarzą się z nowoczesnymi, znanymi na całym świecie technologiami. Jest rzeczą pożądaną, żeby łódzkim parkiem zainteresował się przynajmniej jeden taki „flagowy”, poważny, z wysoką pozycją w światowym biznesie inwestor, bo za jego sprawą nasze przedsięwzięcie zyskałoby na prestiżu i jednocześnie przyciągnęłoby to innych równie poważnych inwestorów.

W chwili obecnej swoje opinie na temat przedinwestycyjnego studium możliwości i opłacalności realizacji projektu ŁRPNT wypowiadają się najwyżsi rangą urzędnicy urzędu wojewódzkiego i miasta. Przy-

gotowywany dokument opiniujący całe przedsięwzięcie będzie przedstawiony do akceptacji władzom naszego miasta i województwa w tym roku. Oby nie później, bo to, co teraz jest najważniejsze - to czas, który może być naszym sprzymierzeńcem, ale i też może stać się wrogiem, w przypadku stworzenia muru niemocy i barier, których nie da się pokonać. Łódzki Regionalny Park Naukowo - Technologiczny jest szansą dla młodych przedsiębiorców, małych firm, ludzi zdolnych i ambitnych. Da poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji drobnej przedsiębiorczości. Spowoduje ożywienie w życiu naukowym i gospodarczym. Nada sens twórczej działalności i może umożliwi naszemu miastu wejść w nowy, lepszy czas.



WOJCIECH ŻRÓDLAK

WAGONY SANITARNE I... KARAWAN

Miejska komunikacja tramwajowa w Łodzi była prowadzona przez spółkę pod nazwą Kolej Elektryczna Łódzka (KEŁ), natomiast linie podmiejskie, na przykład do Zgierza i Pabianic, obsługiwała spółka pod nazwą Łódzkie Wąskotorowe Elektryczne Koleje Dojazdowe (ŁWEKD).

Łódzkie tramwaje po raz pierwszy wyjechały na ulice w grudniu 1898 roku a podmiejskie w styczniu 1901 roku.

W okresie stu czteroletnich dziejów miejskiej komunikacji tramwajowej w Łodzi po ulicach miasta krążyło wiele różnych ciekawych z punktu widzenia technicznego i historycznego wagonów. W niniejszym materiale przekazuję po raz pierwszy obszernie informacje o kilku z nich, które jeździły po ulicach naszego miasta podczas obu wojen światowych.

Zanim do tego doszło, w listopadzie 1914 roku, podczas ciężkich walk w okolicach Łodzi, które po latach okazały się jedną z największych bitew I wojny światowej na froncie wschodnim, wagony tramwajów podmiejskich (ŁWEKD) i miejskich (KEŁ) zostały wykorzystane przez Rosjan do przewozu swoich rannych do łódzkich szpitali i na dworzec Kolei Fabryczno-Łódzkiej (dziś Łódź-Fabryczna).

Aleksy Rzewski, prezydent Łodzi w latach 1919-1923, który w tym czasie pracował jako motorniczy na linii konstantynowskiej, tak wspominał ten okres „służby wojskowej” tramwajów podmiejskich: *Wagon tramwajowy z pogaszonymi światłami posuwał się chyłkiem nocą przez okolicę, która gorzała krwawo (...). Moskale szafowali rozrzutnie materiałem ludzkim i dostarczali nam na pociągi setki rannych, których z pomocą pociągów miejskich odwoziliśmy do szpitali łódzkich. W pociągu leżeli jeden na drugim, a krew ściekała strugą po podłodze. Z kolei po zajęciu miasta przez wojska niemieckie, w dniu 6 grudnia 1914 roku, do przewozu ich rannych żołnierzy zostały wykorzystane na szerszą skalę wagony miejskie. Z natury rzeczy nie były przystosowane do tego rodzaju przewozów dlatego już 5 stycznia 1915 roku niemieckie władze okupacyjne zażądały przeróbki kilku wagonów ze składu taboru KEŁ na wagony sanitarne oraz jednego na wagon do przewozu zwłok. Polecenie zostało przekazane za pośrednictwem Komitetu Obywatelskiego m. Łodzi, który w tym czasie kierował życiem miasta. Ten pismem z dnia 8 stycznia przekazał je do niezwłocznego wykonania Spółce KEŁ.*

Na sanitarki Zarząd Spółki KEŁ przeznaczył dwa wagony silnikowe i dwie doczepki. Powstały więc w ten sposób chyba jeszcze w styczniu 1915 roku dwa zestawy samodzielnych ruchowo pociągów sanitarnych (silnikowy + doczepka).

Ciekawą kwestią jest to, że w zachowanych dokumentach KEŁ z kręgu warsztatów tramwajowych, w których powinna być szersza informacja o wykonanych przeróbkach, nie ma o tym żadnej wzmianki. Nie sposób również ustalić typu i numeracji bocznej wszystkich wagonów, które zostały poddane przeróbce na sanitarki. Gdyby nie zdjęcie wydane w karnecie pocztówek przedstawiających Łódź w okresie I wojny światowej, na którym widoczny jest tylko jeden zestaw pociągu sanitarnego na terenie zajezdni przy ulicy Tramwajowej, skazani bylibyśmy dziś tylko na mało precyzyjne i nieliczne ich opisy. Tak więc na podstawie wspomnianej pocztówki wiemy, że jeden z wagonów silnikowych (drugi zapewne też) był typu „Herbrand U-107c” o numerze bocznym 88, natomiast jedna z doczepek (druga zapewne też) była tzw. typu „ryskiego”, nr boc. 204.

Nie wiemy też w jaki sposób wagony zostały przystosowane do przewozu rannych. Z powojennego rachunku reparatornego wystawionego za dokonaną przeróbkę (39,45 rb), w porównaniu z należnością za przeróbkę innej doczepki na karawan (162,69 rb) można domniemać,

że wnętrze sanitarek pozostało prawie nie zmienione. Przystosowanie do funkcji sanitarnej ograniczyło się do zewnętrznej formy. Na wspomnianej pocztówce widać, że wagony sanitarne miały wszystkie okna zamalowane do połowy białą farbą. W środkowych oknach z obu stron, na granicy zamalowania, umieszczono na bielszym niż zamalowanie tle czerwony krzyż. Stąd nazywano je w Łodzi i korespondencji „wagonami Czerwonego Krzyża”. Dotychczasowy kolor burt oraz typowe oznakowanie wagonów (numer boczny wagonu i dwujęzyczna (polsko-rosyjska) nazwa spółki tramwajowej) pozostały początkowo nie zmienione. Rosyjską nazwę Spółki na pewno zamalowano w II połowie 1915 roku po wydaniu przez niemieckie władze okupacyjne nakazu usunięcia z ulic wszelkich napisów w języku dawnego zaborcy.

Jak wspomnieliśmy zagadką jest jakich przeróbek dokonano we wnętrzu sanitarek. Faktem jest, że wraz z przeróbką wagonów w warsztatach KEŁ wykonano także 32 pary noszy, ale w jaki sposób umieszczano je wraz z rannymi we wnętrzu? W tym celu, w podobnych wielkością doczepek sanitarnych z okresu II wojny światowej, o czym piszemy poniżej, w blachach pomostach zamontowano drzwiczki i poszerzono drzwi, które umożliwiały łatwe wkładanie noszy do wnętrza. W wagonach z I wojny światowej nie widać na zdjęciu podobnego rozwiązania. W tej sytuacji ewentualne wkładanie do wagonów noszy z rannym musiało stwarzać niebezpieczeństwo, że zostanie z nich wyrzucony.

fot. archiwum



Jeden z dwóch zestawów wagonów sanitarnych KEŁ (tu silnikowy „Herbrand U-107c”, nr bocz. 88 oraz doczepek „ryśka”, nr bocz. 204). Powstały z adaptacji normalnych wagonów tramwajowych. Zdjęcie wykonane w lutym 1915 r. na terenie zajezdni przy ul. Tramwajowej. Tu na pocztówce wydanej w 1917 (?) r. jest to jedyne znane zdjęcie tych wagonów.

Jak wynika z zachowanych zamówień na podstawienie wagonów sanitarnych, najczęściej były one wykorzystywane do przewozu... grup więźniów pomiędzy aresztem przy ulicy Milsza (Kopernika) 29 a więzieniem przy ulicy Targowej (Sterlinga) 14. Kilka razy użyto tych wagonów do transportu grup żołnierzy.

Gdyby nie te niesanitarnie przewozy wagony byłyby wykorzystane tylko kilka razy w miesiącu. Na przykład w styczniu 1916 r. - 7 wyjazdów sanitarnych, w lutym 1917 r. - 5 razy. Przeciętnie w okresie od połowy 1915 r. do października 1918 r. było to do dziesięciu wyjazdów miesięcznie zgodnych z ich przeznaczeniem. Prawdopodobnie z tej przyczyny niemiecki zarząd wojskowy między innymi nad tramwajami miejskimi - Militärische Leitung der Gesellschaft für Elektrische Beleuchtung der elektrischen Bahn und der Zufuhrbahn (Zarząd Wojskowy [nad] Towarzystwem Elektrycznego Oświetlenia, tramwajami elektrycznymi i kolejkami dojazdowymi) zezwalał na przewozy więźniów.

Pomimo posiadania przez KEŁ wagonów sanitarnych zdarzały się przypadki rekwirowania przez co bardziej przedsiębiorczych oficerów konwojujących transporty rannych pociągów liniowych czyli kursujących po mieście. Na przykład zdarzyło się tak 27 lipca 1918 roku. Według raportu motorniczego Kopyckiego i konduktora Werwasa: *Pociąg (wagon nr... - WŻ) 53 o godzinie 3 po południu na krańcowej stacji przy Kolei Fabrycznej (dworzec Łódź-Fabryczna) został zarekwirowany przez oficera niemieckiej Armii pod rannego oficera i zawieziono oficera do szpitala Czerwonego Krzyża; pasażerów oficer nie pozwolił zbierać. Oficer kazał zdjąć numer pociągu i tablice (kierunkowe - WŻ). Kursy pozostały w porządku tylko że w tym jednym nie zabierano pasażerów.*

Dla sprawnego przewozu rannych przy pomocy wagonów sanitarnych, w tym samym czasie gdy wykonywano ich adaptację, również na polecenie władz okupacyjnych, KEŁ została zmuszona do zbudowania 300-metrowej jednotorowej odnogi od linii na ulicy Dzielnej (G. Narutowicza) na plac przed obecnym dworcem Łódź-Fabryczna zakończonej tzw. wekslem czyli układem torów umożliwiającym zmianę kierunku jazdy. W materiałach archiwalnych określana jest jako „linia na ulicy Skwerowej” (dziś Polskiej Organizacji Wojskowej).

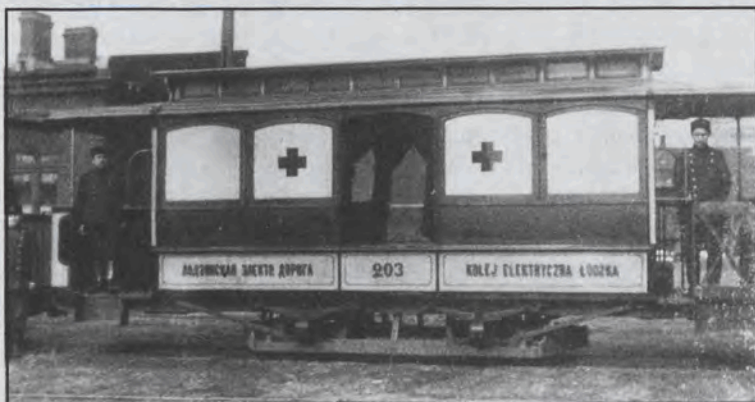
Powstała kosztem 11 282 rubli 22 kopiejek. Została oddana do użytku już 30 stycznia 1915 roku. Zyskali na tym także mieszkańcy Łodzi, ponieważ, również na polecenie władz okupacyjnych, KEŁ uruchomiła linię łączącą oba dworce - Kaliski i Fabryczny - oznaczoną numerem 5.

Rannych żołnierzy niemieckich umieszczano w przedwojennym szpitalu Rosyjskiego Czerwonego Krzyża przy ul. Pańskiej (S. Żeromskiego) 113.

Pociągi sanitarne nie wjeżdżały na teren szpitala a zatrzymywały się na ulicy na wysokości szpitala. Tu zapewne przydawały się wykonane w warsztatach KEŁ do przenoszenia ciężiej rannych.

Poza wagonami sanitarnymi po Łodzi kursował również wagon pogrzebowy, nazywany też „żałobnym” czy „karawanem na szynach”. Również i w tym przypadku zachowało się tylko jedno zdjęcie tego wagonu .

fot. archiwum



Doczepka „ryska” nr bocz. 203 z zestawu taboru KEŁ, przebudowana w styczniu 1915 r. na wagon pogrzebowy (karawan).
Był użytkowany przez cały okres okupacji niemieckiej podczas I wojny światowej.
Zdj. wykonane na terenie zajezdni przy ul. Tramwajowej w lutym 1916 r.

Powstanie tego wagonu było ściśle związane z rozkazem okupanta z dn. 5.01.1915 roku urządzenia przez władze miasta cmentarza dla żołnierzy niemieckich przy ulicy Konstytucyjnej.

Cmentarz Wojskowy o nazwie „Bratnia Mogiła” to zapomniany fakt z dziejów okupacji niemieckiej podczas I wojny światowej w Łodzi. Został urządzony w I połowie 1915 roku.

Był położony tuż za wiaduktem kolejowym ponad ulicą Konstantynowską, po prawej stronie, wzdłuż obecnej Al. Unii Lubelskiej. W tym czasie był to teren lasu miejskiego. Dziś w tym miejscu znajdują się ogródki działkowe. Został zlikwidowany w listopadzie 1922 roku decyzją władz miasta. Złożone tu ciała ekshumowano na cmentarz wojskowy pod Rzgowem.

Na wagon pogrzebowy Spółka KEŁ przeznaczyła, zgodnie z żądaniem władz okupacyjnych, jeden wagon. Wspomniany rozkaz w sprawie urządzenia cmentarza i urządzenia wagonu do przewozu zwłok mówił o „wagonie elektrycznym”, ale Spółka KEŁ przystosowała do tego celu doczepkę „ryską” o numerze bocznym 203.

Przebudowy, podobnie jak wagonów sanitarnych, dokonano w warsztatach KEŁ już w styczniu 1915 roku. Około 20 stycznia wagon był gotowy do eksploatacji: *niniejszym komunikujemy uprzejmie WPanom, że stosownie do rozporządzenia Komendantury m. Łodzi wagon do przewożenia trupów* (tak napisano w oryginale - WŻ) *jest gotowy*. Zakres wykonanych prac przy tym wagonie wyceniono na sumę 162 rubli i 69 kopiejek. Ponadto do rachunku Spółka KEŁ dopisała sumę 258 rubli i 40 kopiejek za doprowadzenie w przyszłości tego wagonu do stanu pierwotnego. Rachunek został wystawiony Głównemu Komitetowi Obywatelskiemu m. Łodzi, czyli mieli pokryć go mieszkańcy Łodzi. Pieniędzy tych Spółka nigdy nie odzyskała.

Przy tym wagonie, jak wynika ze wspomnianego zdjęcia i rachunku, zakres przeróbki był większy. Usunięto w nim po obu stronach środkowy fragment ścian bocznych dla łatwego umieszczania w nim trumien. Pozostałe okna zostały całkowicie zamalowane na białą, a na tym tle, po obu stronach bocznych otworów, umieszczono czarne równoramienne krzyże. Boczne otwory zostały ponadto zaopatrzone w czarne kotary, które zasuвано podczas przewożenia trumien. Na zachowanym zdjęciu tego wagonu, widać wyraźnie, że podwyższono w nim poziom podłogi w dawnym przedziale pasażerskim, który ułatwiał umieszczanie w środku trumien.

Doczepkę pogrzebową wykorzystywano przede wszystkim do przewozu zwłok żołnierzy zmarłych w szpitalu wojskowym przy ulicy Pańskiej (S. Żeromskiego) 115 na wspomniany cmentarz „Bratnia Mogiła”.

Stanisław Rachalewski w swojej książce z 1938 roku o łódzkich cmentarzach tak go opisuje: *do cmentarza dojeżdżał specjalny wagon „Kolei Elektrycznej Łódzkiej” odpowiednio przebudowany na karawan zmotoryzowany, utrzymany w tonie żalobnym. Wagonem tym transportowano ciała zmarłych żołnierzy. Wożono nim również zwłoki ze szpitala do kostnicy miejskiej.*

Z tego co do tej pory napisaliśmy o tym wagonie wiemy, że Autor użył tu nieprawidłowego określenia - „karawan zmotoryzowany”. Była to doczepka. „Zmotoryzowanym” można raczej określić cały zestaw: tenże wagon i ciągnący go silnikowy, którym zapewne jeździli grabarze.

Karawan tramwajowy to jedyny tego rodzaju wagon w dziejach łódzkiej komunikacji tramwajowej. Pierwsza odnaleziona informacja o wykorzystaniu wagonu pogrzebowego do przewozu zwłok pochodzi z 6 kwietnia 1915 roku. W ogóle w kwietniu tego roku wagon został zamówiony czterokrotnie (6, 14, 15 i 20).

Tramwajowy karawan był częściej wykorzystywany niż wagony sanitarne. Najczęściej, jak wynika z zamówień, przewożono pojedyncze zwłoki. W ostatnim kwartale 1915 roku - 5 razy. W 1916 roku - 17 razy, w 1917 roku - 21 razy. Najczęściej wagon pogrzebowy kursował w 1918 roku - 33 razy.

Dla szybkiego dowozu zwłok na cmentarz, na polecenie władz okupacyjnych zawarte we wspomnianym już rozkazie z 5.01.1915 roku, Spółka tramwajów podmiejskich (ŁWEKD) ułożyła do niego kilkudziesięciometrową bocznice od linii konstantynowskiej. Rozebrano ją niedługo po zakończeniu okupacji.

W sumie rachunek za przebudowę na wagony sanitarne, wykonanie noszy oraz przeróbkę innej doczepki na karawan wyniósł 429,69 rubli.

Za eksploatację wagonów sanitarnych i pogrzebowego władze okupacyjne nie uiszczają żadnych opłat. Dlatego koszt ich podstawienia i eksploatacji notowano w KEL jako rekwizycję. W tym celu Spółka KEL prowadziła dokładną rejestrację ich kursowania z zamiarem odzyskania po wojnie stosownych sum, których nigdy nie otrzymała. Nie odzyskała również pieniędzy wydanych na przeróbkę wagonów.

Po zakończeniu okupacji w listopadzie 1918 roku wagony sanitarne i karawan były dalej zamawiane, ale już przez łódzki Magistrat, który też nie płacił za ich wykorzystanie. Spowodowało to zapytanie Zarządu KEŁ, który nie godził się na taką praktykę, czy Magistrat zamierza pokrywać koszty tych przewozów. Prawdopodobnie nie rozwiązano tej kwestii, więc najpóźniej do końca 1920 roku zarówno wagony sanitarne jak i wagon pogrzebowy zostały z powrotem przebudowane na wagony pasażerskie. Zwłaszcza, że przewozy pasażerskie na liniach miejskich w okresie powojennym szybko rosły i potrzebny był tabor dla jego obsługi.

Dlaczego na tak szczególny cel przeznaczono wagony tramwajowe a nie wozy konne lub samochody? Ponieważ transport tramwajowy był podówczas stosunkowo szybki i tani. Przed wojną, w Niemczech, praktyka wykorzystania wagonów tramwajowych do przewozów innych niż pasażerskie była częsta. W Łodzi i Warszawie, jedynych przedsiębiorstwach tramwajowych na terenie zaboru rosyjskiego, praktyka ta była znana, ale nie stosowana.

Idea wykorzystania wagonów tramwajowych dla transportu rannych odżyła i poczyniono przygotowania do jej wznowienia w Łodzi w 1939 roku. W ramach przygotowań do coraz bardziej realnego konfliktu polsko-niemieckiego ułożono bocznice od linii na ulicy S. Żeromskiego na dziedziniec Szpitala Wojskowego im. gen. bryg. dr med. Felicjana Sławoja SKŁADKOWSKIEGO, dzisiejszego szpitala Wojskowej Akademii Medycznej. W 1939 roku! A nie jak do tej pory sądzono, że powstała podczas okupacji hitlerowskiej.

Szpital wojskowy im. gen. F. S. Składkowskiego został oddany do użytku 18 września 1937 roku. Był podówczas najnowocześniejszym, doskonale wyposażonym, szpitalem w Łodzi.

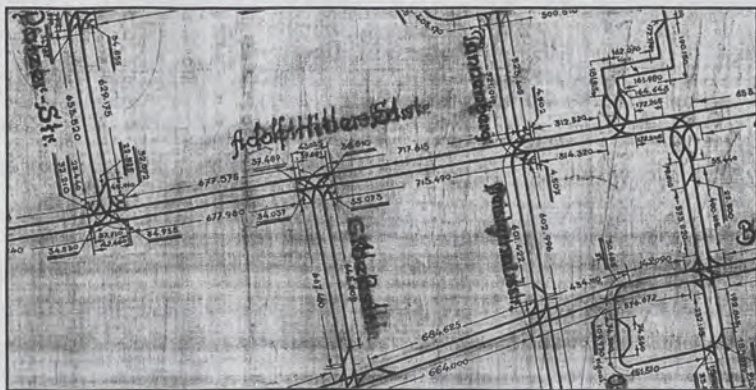
Prawdopodobnie bocznicza została zbudowana w ramach realizacji rozporządzenia Ministerstwa Opieki Społecznej z dn. 8.03.1939 roku *w sprawie przygotowania szpitali na wypadek wojny ze względu na zwiększone potrzeby leczenia ludności cywilnej*. Nie zdołaliśmy ustalić czyim kosztem zbudowano bocznicę, ale na pewno nie sfinansowała jej Spółka KEŁ. Informacji o niej nie ma w protokołach posiedzeń Zarządu Spółki. To może świadczyć o nagłości podjętej decyzji o budowie. Nie odnaleziono też jej szczegółowych planów. Nie zdołano ustalić dokładnie w którym miesiącu 1939 roku została oddana do użytku.

Bocznica miała długość 98,5 metra. Jej pojedynczy tor przechodził przez bramę szpitalną i kończył się na końcu dziedzińca szpitalnego, który sięgał ulicy Łąkowej. Jej długość pozwalała na pomieszczenie jednocześnie trzech dwuwagonowych lub dwóch trójwagonowych zestawów tramwajowych. Ówczesna i obecna szpitalna Izba Przyjęć ma wejście od strony dziedzińca, tak więc transport rannych z wagonów do niej był szybki.

Wjazd na bocznice szpitalną mógł odbywać się tylko od strony północnej (od ul. M. Kopernika) łukiem w prawo. W tym przypadku tramwaj wjeżdżał przodem. Dla pociągów dojeżdżających do Szpitala od strony południowej (od ul. Radwańskiej) ułożono łącznik obu torów przed szpitalem. W tym przypadku tramwaj z rannymi mijał go a następnie cofał się wjeżdżając na przeciwny tor i z niego wspomnianym łukiem w prawo wjeżdżał na teren szpitala. Opuszczające teren szpitala tramwaje w pierwszym przypadku odjeżdżały w kierunku południowym po prostym wycofaniu się na ul. Żeromskiego. W drugim przypadku wyjeżdżający przodem tramwaj wjeżdżał najpierw na tor przeciwny, z niego na wspomniany łącznik i dalej normalnie w kierunku północnym.

Nie ustalono czy bocznica była i jak intensywnie wykorzystana w okresie kampanii wrześniowej do celu dla jakiego powstała. Jeżeli tak, to przewozy odbywały się przy użyciu zwykłych wagonów liniowych. Nie odnaleziono odpowiednich materiałów, ale jest pewnym, że w związku z budową wspomnianej bocznicy nie rozpatrywano przebudowy jakiś wagonów KEŁ na wagony sanitarne. Wojna z Niemcami miała trwać krótko. Byliśmy bowiem „silni, zwarci i gotowi”.

fot. archiwum



Fragment planu inwentaryzacyjnego miejskiej sieci torów tramwajowych na dzień 31.XII.1939 r., sporządzony już przez Niemców w lutym 1940 roku. Widać na nim bocznice na teren szpitala wojskowego, tu już przy Ludendorff str. S. Żeromskiego) Archiwum Zakładu Torów i Sieci MPK-Łódź.

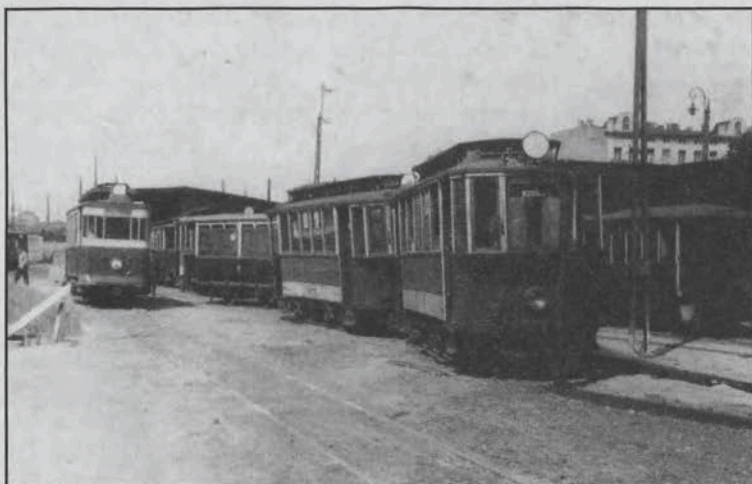
Wojska niemieckie zajęły Łódź w dniu 9 września 1939 roku. W kwietniu 1940 r. została zmieniona nazwa miasta na „Litzmannstadt”. W tym samym mniej więcej czasie zmieniona została nazwa miejskiego przedsiębiorstwa tramwajowego w Łodzi na Litzmannstädter Elektrische Strassenbahn (skrótce LES).

W okresie do około połowy 1944 roku bocznica do szpitala wojskowego, w tym czasie „Reservelazarett I” przy Ludendorffstrasse, była wykorzystywana przez okupanta do przewozu rannych sporadycznie. Rannych dowoziły zwykle wagony tramwajowe. Na szerszą skalę zaczęła być wykorzystywana, gdy sytuacja wojsk niemieckich na froncie wschodnim zaczęła się coraz bardziej pogarszać po klęsce stalingradzkiej w lutym 1943 roku.

Około lipca 1944 roku dyrekcja LES otrzymała od jednostki nadrzędnej - Grupy Roboczej Rzeszy ds. Transportu Szynowego, Oddział tramwaje - rozkaz pilnego przerobienia czterech doczepek na wagony sanitarne (szpitalne). W początkach sierpnia 1944 roku pierwszy wagon był już gotowy. Wykorzystano do tego celu wagony zakupione w Wiedniu, które do tej pory stały nie wykorzystywane na terenie zajezdni przy Liststr. (Tramwajowej) w oczekiwaniu na remont kapitalny. Natomiast doświadczenia z wagonem pogrzebowym już nie powtórzono.

Wspomniane wagony zakupiono w Wiedniu w końcu 1941 roku dla uzupełnienia zestawu taboru LES dla sprostania zwiększonemu zapotrzebowaniu na przewozy pasażerskie. Wagony przyszłych sanitarek powstały w latach 1868 - 1872. Były więc starsze niż najstarsze łódzkie wagony tramwajowe, które po raz pierwszy wyjechały na miasto w grudniu 1898 roku! Tam były wycofane już dawno z eksploatacji. W sumie LES zakupiła w Wiedniu dziesięć wagonów doczepnych. Między innymi cztery typu „v”, które w Litzmannstadt'cie otrzymały numery boczne 561 (w Wiedniu nr bocz. 1882), 562 (1182), 563 (1888), 564 (1868). Z powodu ostrej zimy 1941/1942 i trudności w uzyskaniu przydziału wagonów kolejowych do ich przewozu, cały wiedeński zakup dotarł do Litzmannstadt'u (Łodzi) dopiero w maju 1942 roku. Obok niezbędnego remontu kapitalnego przede wszystkim wymagały dostosowania ich podwozi do eksploatacji w Litzmannstadt'cie ponieważ wiedeńskie tramwaje mają szerokość torów 1 435 mm, a w Łodzi - 1 000 milimetrów. Z tej przyczyny po przewiezieniu do Litzmannstadt wagonu ustawiono na terenie zajezdni przy Liststrasse kołami tylko na jednym torze.

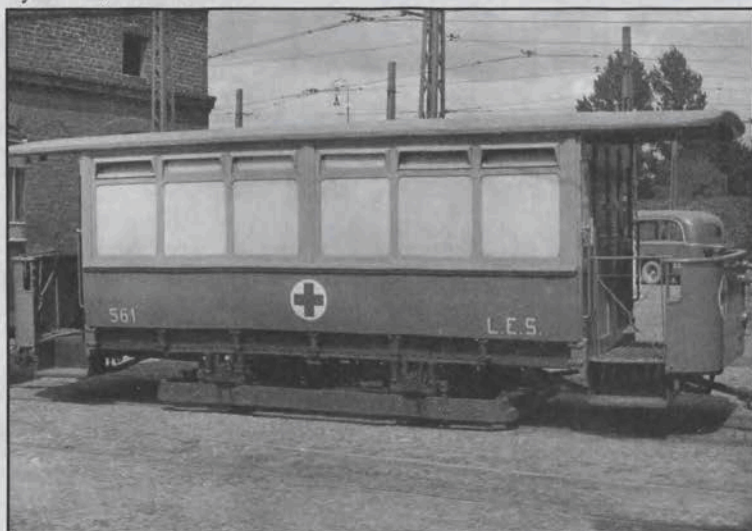
fot. ze zbiorów Izby Tradycji MPK-Łódź



Wagony sprowadzone z Wiednia do Litzmannstadt'u (Łodzi) w V 1942 r. na terenie zajezdni przy ul. Tramwajowej. W środkowym rzędzie, trzeci wagon w głębi, to jedna z przyszłych sanitarek.

Jako pierwszy na wagon sanitarny prawdopodobnie przerobiono doczepkę typu „v” o łódzkim numerze bocznym 561. Na kolejne sanitarki przeznaczono doczepki też typu „v” o łódzkich numerach bocznych 562, 563 i 564.

fot. ze zbiorów Izby Tradycji MPK-Łódź



Doczepka sanitarna nr bocz. 561 (ex wiedeński typu „v”, nr bocz. 1882). Zdjęcie wykonane na terenie zajezdni przy List str. (Tramwajowej) podczas prezentacji pierwszego przerobionego wagonu około końca lipca 1944 roku.

W porównaniu z sanitarkami okresu I wojny światowej, oprócz gruntownego przerobienia podwozia na tor 1 000 mm, zakres przeróbki pudła wagonu był gruntowny, dobrze zaprojektowany do nowej funkcji. Wykonano ją w warsztatach LES przy Liststrasse. Przede wszystkim usunięto z nich wszystkie siedzenia. W pustej przestrzeni zamontowano na dwóch poziomach stelaże do przewozu noszy, po dwa na każdym poziomie. W sumie więc w wagonie można było umieścić osiem noszy. Na stelażach były one mocowane na specjalne zatrzaski, aby nie poruszały się podczas jazdy wagonu.



Wnętrze wagonu sanitarnego nr bocz. 561. Widać sposób zamocowania w nim noszy.

Dla szybkiego i łatwego umieszczania i wyjmowania z nich noszy z rannymi w obu obudowach pomostów zamontowano drzwiczki.

foto: ze zbioru Izby Tradycji MPK-Łódź



foto: ze zbioru Izby Tradycji MPK-Łódź



Wagon sanitarny, nr bocz. 561. Widać otwarte i zamknięte drzwiczki w pomoście ułatwiające wkładanie noszy do wnętrza.

Doskonale pamięta te wagony Antoni Makowski, podówczas pracownik łódzkich tramwajów, zatrudniony w warsztatach LES przy Liststrasse. Wspomina: „na wagony sanitarne przebudowano cztery doczepki wiedeńskie. Pomalowano je na szary kolor. Na burtach umieszczono duże czerwone krzyże na białym okrągłym tle. Podobne krzyże umieszczono również na blachach obu pomostów. Być może krzyż umieszczono także na dachach wagonów. Doczepki miały drzwiczki w pomostach, które ułatwiały wnoszenie do wnętrza noszy.

Dla obsługi doczepek sanitarnych wydzielono ze składu taboru LES dwa wagony silnikowe typu „Lilpop III”, ale nie pamiętam ich numerów bocznych. Z tego powodu nie były one w tym czasie w ogóle używane w ruchu pasażerskim.

Powstały w ten sposób dwa trójwagony zestawy (silnikowy + dwie doczepki). Ich stałym miejscem postoju była zajezdnia LES przy Liststrasse. Stały na jednym z ostatnich torów tamtejszej hali postojowej taboru, chyba był to tor nr 24.

Cechą charakterystyczną doczepek sanitarnych była możliwość ogrzewania ich wnętrza. Ta „instalacja” to cztery zestawy półmetrych spirali osłoniętych dziurkowaną blachą, które umieszczono na podłodze, po jednym z obu stron drzwi wejściowych do przedziału osobowego. Ogrzewanie było podłączone do instalacji oświetleniowej wagonu. W ten sposób można była je włączać w dowolnym momencie, także podczas postoju wagonu na zajezdni. Wykorzystywano tę właściwość w okresie jesienno-zimowym zawsze przed planowanym wyjazdem. Wagony silnikowe przydzielone do obsługi doczepek sanitarnych - typu „Lilpop III” - posiadały fabrycznie zamontowane ogrzewanie przedziału pasażerskiego, ale tylko przy pomocy oporów rozruchowych, czyli wyłącznie podczas jazdy wagonu. Wagony tego typu, w ogóle najnowocześniejsze w zestawie ówczesnego łódzkiego taboru tramwajowego, pochodzące z zakupu w 1939 roku, były podówczas jedynymi w zestawie łódzkiego taboru tramwajowego, które posiadały ogrzewanie przedziału pasażerskiego. To na pewno zdecydowało o przydzieleniu ich do eksploatacji wagonów sanitarnych. Niedogodnością techniczną była wspomniana możliwość ogrzewania tylko podczas jazdy.

Wagony silnikowe nie zostały oznakowane tak wyraźnie jak doczepki sanitarne. Jedynie na ich „kominkach”, zamiast numeru linii, umieszczono białe tablice z czerwonym krzyżem. Nie zostały również specjalnie przystosowane do przewozu rannych. Zapewne miejsca w nich zajmowali lżej ranni.

Do obsługi obu zestawów sanitarnych przydzielono chyba stałą obsługę. Prawdopodobnie byli to tramwajarze pochodzenia niemieckiego. Wagony i bocznica były eksploatowane do zakończenia okupacji hitlerowskiej w Łodzi. Przewożono nimi rannych żołnierzy niemieckich z obu łódzkich dworców kolejowych. Prawdopodobnie najczęściej z dworca kaliskiego”.

Jak twierdzi dalej Antoni Makowski, po zakończeniu okupacji hitlerowskiej w Łodzi, w styczniu 1945 roku wagony sanitarne nie pojawiły się już na ulicach miasta. Stały na terenie zajezdni przy ulicy Tramwajowej. W 1947 roku przerobiono je na doczepki pasażerskie i włączono do zestawu eksploatowanego taboru. W 1951 roku zostały wycofane z eksploatacji i prawdopodobnie niedługo potem pocięte na złom.

Tor boczny tramwajowej na terenie szpitala wojskowego przetrwał do początku lat 70-tych XX wieku kiedy przebudowano fragment ulicy S. Żeromskiego pomiędzy ulicą M. Kopernika i Radwańską, w związku z budową dwupoziomowego skrzyżowania Żeromskiego - Al. Mickiewicza. Jej zwrotnica została usunięta wcześniej, podobnie jak fragment toru na dziedzińcu szpitalnym. Prawdopodobnie już w latach 60-tych XX wieku. Najdłużej zachował się tor w bramie szpitalnej. Zalano go asfaltem chyba w II połowie lat 70-tych XX wieku pod którym pozostaje po dzień dzisiejszy. Poszukiwania obecnie jakichkolwiek innych śladów tej bocznic, na przykład w postaci haków do podtrzymywania sieci górnej w bramie szpitalnej, zakończyły się niepowodzeniem.

Podobnie jak w okresie I wojny światowej wykorzystanie wagonów tramwajowych do przewozu rannych było podyktowane stosunkową łatwością przystosowania ich do tego celu i uprzednimi doświadczeniami Niemców w takim wykorzystaniu taboru tramwajowego. Na pewno wpływ na podjęcie decyzji o przeróbce na wagony sanitarne miały bardzo duże ograniczenia w pozyskaniu benzyny na cele poza ściśle

militarnymi i sieć torów tramwajowych łączących oba łódzkie dworce ze szpitalem wojskowym.

Pamięć o wagonach sanitarnych i karawanie z okresu I wojny światowej wśród łódzian w sposób naturalny uległa już całkowitemu zatarciu, natomiast o wagonach sanitarnych z okresu okupacji hitlerowskiej jest w dalszym ciągu żywa wśród najstarszych mieszkańców Łodzi oraz w pokoleniu pięćdziesięciolatków, ale tu już tylko jako pamięć o bocznicach na terenie szpitala.



BORIS EJFMAN CZŁOWIEK CZTERECH KULTUR

Gościem Festiwalu Dialogu Czterech Kultur był znany na całym świecie rosyjsko - żydowski choreograf - filozof, urodzony w 1949 roku na Syberii.

W 1999 roku został uznany przez krytyków amerykańskich choreografem XXI. wieku. Dotychczas opracował choreografie do ponad czterdziestu spektakli. Inspiracją do jego twórczości jest klasyka literacka i muzyczna. Spektakle adresuje do ludzi całego świata, starając się, aby były zrozumiałe dla przeciętnego widza. Są proste, ale i wyrafinowane. Stworzył własny, oryginalny styl będący połączeniem technik tańca klasycznego i osiągnięć sztuki współczesnej. Pełni ekspresji tancerze - aktorzy jego teatru wyrażają myśli filozoficzne, głębokie namietności i tajemnice duszy ludzkiej. Ich taniec odzwierciedla nurtujące twórcę problemy współczesności, męki tworzenia, magii geniuszu oraz ludzkiej psychiki - mrocznej i niezmiennej od wieków. Jak mówi sam artysta: „ruch jest czystym dźwiękiem, intonacją określonego stanu psychologicznego”.



Boris Eifman.

foto: Danuta Gonsztyńska

KMŁ - W 1975 roku wystawił pan w Łodzi własną wersję choreograficzną baletu „Gajane” Arama Chaczaturiana. Dlaczego tutaj?

BE - To co robiłem w ZSRR wraz z grupą zaprzyjaźnionych tancerzy nie spotkało się z aprobatą ówczesnych władz. Było całkowitym przeciwieństwem rosyjskiej klasyki baletowej i „sztuki radzieckiej”, dlatego musieliśmy pracować właściwie potajemnie. Na nasze nieoficjalne spektakle przychodziły tłumy młodzieży, dowiedziała się o nich także pani Barbara Śliwińska, która była wtedy przedstawicielką PAGARTU. Bardzo jej się spodobały nasze spektakle i chciała je przenieść do Polski. Władze już wcześniej wydały zakaz wypuszczania mnie za granicę, miałem trochę reputację dysydenta i człowieka, któremu nie odpowiada radziecka rzeczywistość, a taki człowiek nie mógł reprezentować ZSRR w świecie. Kiedy pani Śliwińska zaczęła oficjalnie dowiadywać się o mój zespół, odpowiadano jej, że takiego zespołu nie ma, nie mogli jej przecież powiedzieć prawdy. A kiedy dostałem oficjalne zaproszenie, poinformowano ją, że jestem... chory. Bardzo długo byłem „chory”... Ale w końcu udało się! Chociaż Aram Chaczaturian musiał za mnie poręczyć, że nie ucieknę i będę dobrze reprezentował ZSRR w Polsce. Był to mój pierwszy wyjazd zagraniczny. Po wystawieniu „Gajane” i sukcesie, jaki odniósł w Łodzi ten spektakl, zaczęto i w moim kraju doceniać to co robię. Później z „Gajane” jeździliśmy po całej Europie. Dlatego zawsze mówię, że to dzięki temu, iż uwierzono we mnie w waszym mieście, dzięki temu sukcesowi istnieje mój Sankt-Petersburski Teatr Baletu.

KMŁ - A jakie były pana początki jako choreografa?

BE - Urodziłem się na Syberii, moi rodzice byli związani z przemysłem wojskowym, dużo jeździli, zmieniali miejsce zamieszkania. Dlatego naukę choreografii rozpocząłem w Kiszyniowie, potem dopiero pojechałem do Leningradu gdzie kontynuowałem naukę w konserwatorium. W 1970 roku zostałem choreografem Leningradzkiej Akademii Baletowej kształcącej tancerzy dla Baletu Kirowa. Pracowałem też dla telewizji i rewii na lodzie. Trzeba było żyć.

KMŁ - To, co wtedy robił pan wraz ze swoją nieformalną grupą baletową, było bardzo nowatorskie, jak na tamte czasy i na „człowieka radzieckiego”, ja-

kim pan - siłą rzeczy - przecież był. Jakie były tego korzenie?

BE - W początkach XX wieku Rosja była centrum awangardy światowej. Lata dziesiąte i dwudzieste dały nam tak sławnych, bardzo awangardowych przedstawicieli wszystkich rodzajów sztuki, jak Diagilew, Malewicz, Kandinsky, Strawiński, Meyerhold. Później niestety zaczęła się epoka panowania radzieckiej cenzury, która oczywiście zahamowała dalszy rozwój awangardy. Ale specyficzna energia towarzysząca tym twórcom, pozostała. Istniała dalej mimo wszelkich ograniczeń i absurdów socrealizmu. Myślę, że to są właśnie moje korzenie.

KMŁ - *Czy swój zawód traktuje pan jak rzemiosło, czy raczej jak powołanie?*

BE - Ja myślę, że wszystko co robię to dar boży. Choreograf nie może tak po prostu pracować, być choreografem tylko dlatego, że ma na to chęć. Musi dostać od Boga ten dar boży. Być choreografem, to tak, jakby... rozumieć język ptaków, dlatego ten zawód jest taki...taki szamański. To tak, jakby dar, który się dostało, pomagał zaczarować ludzi - wszyscy się poruszają, wszyscy tańczą - tylko choreograf może przekazać tancerzom ten ruch, energię myśli, energię uczucia, tęsknotę. Ja ten dar starałem się w sobie rozwijać. Nigdy jednak nie dążyłem i nie dążę do tego, żeby czerpać wzorce z zachodu. Zawsze dążyłem do stworzenia czegoś nowoczesnego, czegoś co dzisiejszego człowieka zaniepokoi, co go wzruszy. Przekazuję w moich sztukach nowe idee, a nowe idee potrzebują nowej formy. Staram się, aby wszystkie struktury były ze sobą organicznie, nierozzerwalnie wprost, połączone. Myślę, że robię to inaczej, niż robią na zachodzie, gdzie najważniejsza jest forma, a dopiero potem idea. Dla mnie zawsze najważniejsza była idea i muzyka, a później forma. I dlatego u mnie forma - nowa forma - jest następstwem nowych idei, nowych dialogów, a sama idea - to próba psychoanalizy współczesnego człowieka poprzez sztukę.

KMŁ - *A czy w czasach, kiedy zaczynał pan tworzyć, miał pan w ogóle możliwość zaznajomić się z tym, co działo się w choreografii światowej?*

BE - Praktycznie nie. Przecież u nas były właściwie zamknięte granice, żadne nowinki do nas nie docierały. Uczyłem się w konserwatorium,

kiedy je skończyłem pracowałem w wielu teatrach radzieckich i dopiero potem, kiedy wyjechałem do Łodzi, zaczęły się kontakty ze światową sztuką.

KMŁ - *Jak pan, młody człowiek z ZSRR oceniał ówczesną Polskę?*

BE - Wyjazd do Polski był dla mnie bardzo ważny. To było, jak wyjście w wolny świat. Tutaj ja też byłem wolny. Widziałem, jak ludzie tu żyli. Nie było im łatwo, brakowało podstawowych towarów, pamiętam, jak dużo było rozmów o tym, że nie można kupić artykułów dla dzieci, mleka dla niemowląt i innych. To były prawdziwe problemy. Ale w teatrze wszyscy pracowaliśmy jednakowo ciężko. I wszyscy pracowali wspaniale, z dużym entuzjazmem i wcale nie zwracali uwagi na finansowe kłopoty teatru, na niedogodności socjalne. Była taka artystyczna atmosfera i to dawało mi siłę, żeby robić dobre spektakle.

KMŁ - *Jaką Polskę widzi pan teraz?*

BE - Teraz kiedy przyjeżdżam widzę, jak wszystko się w Polsce zmieniało. Bardzo mnie to cieszy. To teraz zupełnie inny kraj, inni ludzie, inne życie. Dlatego czasem czuję się tak, jakbym przeżył w Polsce dwa życia, stare i nowe.

KMŁ - *Co później działo się z panem w Polsce?*

BE - Zaczęły się interesujące, ścisłe kontakty, które zaowocowały tym, że coraz częściej zacząłem do waszego kraju przyjeżdżać. Teraz właściwie każdego roku występujemy w warszawskim Teatrze Wielkim. Wielokrotnie przyjeżdżałem na Łódzkie Spotkania Baletowe ze swoim zespołem, jako gość. Często pracujemy i występujemy w Łodzi. Czuję się u was, jak w domu, jak w Rosji. Właściwie są to moje dwie ojczyzny. To nie jest wcale takie naturalne, zwyczajne. Występujemy przecież z zespołem na całym świecie już od dwudziestu pięciu lat, ale to tutaj, w Polsce, w Łodzi dostałem dwa telegramy z okazji tego jubileuszu - od dwóch prezydentów, rosyjskiego i polskiego. To jest symboliczne. Występowaliśmy przecież tyle w Ameryce, mamy status zespołu rezydentów w New York City Center, co wiąże się z corocznymi 2-3 tygodniowymi występami na tej prestiżowej scenie. Wielki sukces odnieśliśmy

we Francji, w paryskim Theatre Champs-Elysees, mam nawet francuską Legię Honorową, ale żaden inny prezydent nie przysłał nam depe-szy gratulacyjnej, tylko Putin i Kwaśniewski. To, że mnie to cieszy, to chyba nic dziwnego, bo to przecież część mojego życia przeszłego i aktualnego, trwającego tu, w Polsce.

KME - *Jeździ pan po całym świecie, pracuje w wielu pięknych miastach, piękniejszych niż Łódź, a mimo to mówi pan, że darzy Łódź wielkim sentymentem...*

BE - Jeśli ktoś mnie spyta: Co czujesz do Łodzi? - to odpowiem, że jest to bardzo osobiste uczucie. Kiedy tu przyjeżdżam, chodzę ulicami, po których chodziłem będąc młodym, pełnym marzeń człowiekiem, ulicami, którymi szedłem do teatru gdzie pracowałem, gdzie znałem każdy kąt, każdy szczegół - to nie mogę mieć do tego wszystkiego obojętnego stosunku.

KME - *Jak widać łodzianinem można być nie tylko z urodzenia, nazwałabym ten stan „zakorzeniem duszy”...*

BE - To prawda, zapuściłem tu jakieś korzenie... Między innymi dlatego bardzo się cieszę, że powstał Festiwal Czterech Kultur, którego idea bardzo mi się podoba. Mam nadzieję, że da on nowy impuls do rozwoju kultury i samego miasta. Powinien też wywołać falę zainteresowania miastem na świecie. Wiem, że Łódź dała światu wiele nowych idei i wielu genialnych ludzi, zarówno dawniej, jak i współcześnie. Jest to miasto, które ma interesującą historię. Powinno mieć równie interesującą teraźniejszość i obiecującą przyszłość. Dzisiaj jest to już miasto żyjące życiem na poziomie europejskim, choć żeby doprowadzić je do stanu pełnej urody nie wystarcza środków i to widać. Ale miasto staje się coraz bardziej ożywione, czuje się ruch w biznesie, w kulturze. Widać aktywnych, młodych ludzi chcących rozwijać się razem z miastem. To się czuje, dlatego myślę, że Łódź będzie jeszcze sławna i osiągnie taki poziom, jaki powinna mieć. Ten proces jeszcze trwa.

Chciałbym też, aby łódzki balet - który dał mi tak wiele - miał swoje własne wielkie osiągnięcia, swój sukces, wspaniały zespół, życzę mu tego z całego serca. Może miłość łódzkiej publiczności do sztuki baletowej zwróci uwagę władz na balet łódzki, da mu możliwość rozwo-

ju. Jest przecież w Łodzi szkoła baletowa i wspaniały teatr, jest wszystko czego potrzeba, aby był wspaniały zespół na europejskim poziomie. Brak może tylko trochę troski o ich rozwój.

KMŁ - *Dzięki popularności pana i pańskiego zespołu udało się przyciągnąć do Łodzi uwagę ludzi znanych, którzy mogą jej pomóc, zacząć ożywienie kulturalne i nie tylko.*

BE - Ja myślę, że dobrych ludzi, ludzi interesu i kultury, takich jak pan Aleksander Gudzowaty, którzy pomogli w organizacji Festiwalu, zgromadziło się w Łodzi bardzo wielu. Powinno się podjąć działania, żeby podobnych ludzi przyciągać, zapraszać, zainteresować działaniami na rzecz miasta. Myślę, że to interesująca idea, dla ludzi w jakiś sposób - czy to urodzeniem, czy duszą - związanych z Łodzią. Dobrze byłoby, żeby wrócili do swojego miasta i pomogli mu w rozwoju. Festiwal Czterech Kultur może dać ten impuls, dlatego ja bardzo, bardzo popieram Festiwal i uważam, że to doskonały pomysł. Mam nadzieję, że będziemy także mogli brać udział w następnych edycjach Festiwalu.



W kuluarach Teatru Wielkiego, 2 października 2002 roku o godzinie 19.45, tuż przed premierą jubileuszowego spektaklu „Gala”, rozmawiała - Danuta Gruszczyńska.



DANUTA GRUSZCZYŃSKA

ZIEMIA OBIECANA CZTERECH NARODÓW

| KRONIKA MIASTA ŁODZI

Gdzie jest początek? - Pewnie u Reymonta. To chyba on pierwszy opisał w swej książce nie tylko złe strony sąsiedztwa czterech narodów, które spotkały się w Łodzi, ale również strony dobre. W postaciach trzech głównych bohaterów spróbował zamknąć to co było, lub mogło być dobrego w tychże narodów przypadkowym połączeniu. Opisał miasto w dziewiętnastowiecznej Europie, które budowali ludzie różnych narodowości, a które mimo to nie runęło, jak wieża Babel, a wręcz przeciwnie - rozwijało się w iście amerykańskim tempie. W owym czasie porównywalne tempo wzrostu gospodarczego osiągnęło tylko Chicago.

Czy jednak to, co działo się w tym mieście w momencie jego największego rozkwitu gospodarczego, można było nazwać dialogiem? Według historyków - nie. Wiele jest na to przykładów. Podam tylko te... łagodniejsze. Rosjanie byli zaborcami, z którymi z przyczyn moralnych nie należało się kontaktować. Odczuł to na własnej skórze zruszczony Polak wykształcony w Petersburgu, wybitny architekt Hilary Majeński, który zaprojektował wiele łódzkich budynków, między innymi gimna-

zjum imienia dynastii Romanowych przy ulicy Mikołajewskiej 44/46 (dziś III LO na ul. Sienkiewicza 46). Cóż dopiero mówić o carskich oficerach czy urzędnikach ściągniętych jeszcze przez Katarzynę II, czyli Sofię Augustę Anhalt-Zerbst. Trzej kolejni prezydenci Łodzi, to Niemcy z tego właśnie, carskiego „naboru”: Pohlens, Greilich i Taubwurcel. Przecież to niemieccy i rosyjscy fabrykanci wpadli na pomysł, aby zmienić nazwę miasta na... Mikołajew, na cześć cara. Na szczęście w Petersburgu uznano, że tak marna miłościna nie jest tego godna. Był taki okres w historii miasta, że Żydzi zmuszeni byli do zamieszkania w tzw. „rewirze”, co w naturalny sposób kojarzy nam się z... gettem. Trudno także mówić, w czasach trochę późniejszych, o dialogu fabrykantów - głównie Niemców i Żydów - z robotnikami, których większość to byli Polacy. Mimo to, przez niemal dwa wieki cztery nacje: Polacy, Żydzi, Niemcy i Rosjanie wspólnie budowali fabryki, domy, cerkwie, kościoły i bóżnice. Wspólnie pracowali i odpoczywali. Zawierali małżeństwa, wychowywali dzieci. Związali się z tym miastem na dobre i złe. Jak trafnie powiedział senator Tadeusz Matuszak, socjolog: „Była to raczej symbioza, wynikająca z własnych zależności i konieczności życia obok siebie.”

Może właśnie ta symbioza spowodowała wykształcenie się w Łodzi szczególnego „gatunku pośredniego” czyli tak zwanych „lodzermenszów”, ludzi, dla których Łódź stała się może nie drugą ojczyzną, ale drugim, a może i pierwszym - tym zamożniejszym - domem. W różnym stopniu zaczęli się oni utożsamiać z miastem. Na przykład przedstawiciel „narodowości łódzkiej” - jak to ładnie nazwał Stefan Gorski, autor monografii „Łódź współczesna”(1904 r.) - Żyd Konstadt, był wtedy jednym z najbardziej szczodrych społeczników w mieście. Inny Żyd, Heiman - sfinansował budowę szkoły Towarzystwa „Uczelnia” (Liceum im. M.Kopernika), syn - Heiman-Jarecki - budowę Biblioteki Publicznej. Niemiecki przemysłowiec von Trübe wnioskował o prowadzenie obrad miejskich... w języku polskim, a jego ziomek Miller w 1918 roku w „Łodzer Zeitung” wzywał: „Precz z Niemcami z Łodzi!”

To tyle, na temat dialogu czterech kultur w dziewiętnastowiecznej Łodzi. Choć można by mówić jeszcze długo, ale wróćmy do współczesności, do dialogu - a właściwie - Dialogu, jaki wymyślił łódzianin Witold Knychalski, prezes Towarzystwa na Rzecz Dialogu Kultur „Łódź - Ziemia Przyszłości”, prezes Rady Nadzorczej TVP S.A. „Festiwal Dialogu Czterech Kultur, to pamięć o przeszłości, ale i zwrócenie się w przyszłość”, powiedział pomysłodawca. Z całą pewnością tak duża

impieza kulturalna o znaczeniu międzynarodowym pozwoli w przyszłości na promocję Łodzi, a także Polski w Europie. Ideę Festiwalu poparły władze wojewódzkie i samorządowe. Spotkała się również z ogromną przychylnością ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego, a premier Leszek Miller przyjął honorowy patronat nad całym przedsięwzięciem. Bardzo zainteresowani byli także ambasadorowie Republiki Federalnej Niemiec, Izraela i Federacji Rosyjskiej, którzy zaszczylili swą obecnością niektóre, znaczniejsze wydarzenia kulturalne. Organizatorami byli: Urząd Miasta Łodzi i Towarzystwo na Rzecz Dialogu Kultur „Łódź - Ziemia Przyszłości”. Współorganizatorami i patronami medialnymi zostały Telewizja Polska S.A. i Polskie Radio. Znaczne zaangażowanie mediów, nie tylko polskich sprawiło, że Festiwal został dobrze nagłośniony, co może stać się ważnym akcentem promocyjnym naszego kraju w trakcie starań o wejście do Unii Europejskiej.

Oczywiście niewiele dałoby się zdziałać bez sponsorów, czy inaczej - mecenasów sztuki, co brzmi znacznie lepiej, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę przedmiot, którego dotyczy. Mecenasem głównym był Państwowy Zakład Ubezpieczeń S.A., dalej: Plus GSM, PKN ORLEN, Poczta Polska, PKO Bank Polski, Polskie Radio i Telewizja Polska S.A. Był także sponsor prywatny, bardzo znaczący, gdyż dzięki niemu przeżyliśmy dwa wspaniałe wieczory z Sankt-Petersburskim Teatrem Baletu Borysa Ejfmana. Tym jedynym na razie darczyńcą, był polski przemysłowiec Aleksander Gudzowaty. Jego przyjaciel Borys Ejfman powiedział, że ma nadzieję, iż ludzi takich, jak pan A. Gudzowaty, *ludzi interesu i kultury* „uda się przyciągnąć do Łodzi znacznie więcej, *„ludzie w jakiś sposób - czy to urodzeniem, czy duszą - związani z Łodzią” „dobrze byłoby, żeby wrócili do swojego miasta i pomogli w jego rozwoju.*

DZIESIĘĆ DNI KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY ŁODZIĄ

Można powiedzieć, że to powyżej, to był oficjalny wstęp, a teraz powiem wam, jak wszystko wyglądało nieoficjalnie. Podzielę się z wami moimi obserwacjami i uczuciami, spróbuję opisać atmosferę, jaka w tych dniach panowała w naszym mieście.

Kiedy dowiedziałam się, że mam dostać akredytację na Festiwal, oczywiście ucieszyłam się. Dopiero po kilku dniach ustawicznego biegania po mieście w daremnym trudzie zdążenia z imprezy na imprezę i zobaczenia wszystkiego zrozumiałam, że owszem jest to zaszczyt, ale

bardzo męczący. Jednak mój wygłodniały kulturalnie organizm łaknął prostej rozrywki, a i kontaktu z kulturą wyższą także. Przyczyna bardzo prozaiczna, od dłuższego już czasu po prostu nie stać mnie (i wielu innych) na kulturalne rozpasanie, jakiemu oddawałam się kiedyś chodząc i do teatru i do opery i do kina i do filharmonii i... i tak dalej. Z tej przyczyny, no i oczywiście dlatego, żeby zdać relację z tego wielkiego przecież wydarzenia, heroicznie biegałam aż do dnia ostatniego, czyli dziesiątego.

Dzień pierwszy. 27 wrzesień 2002 rok.

Dziesięć imprez! Co wybrać!? Ten dylemat będzie mi towarzyszył codziennie. Najchętniej wszystko, ale... No tak, na dodatek niektóre imprezy się nakładają.

17.00 - Otwarcie Festiwalu - wypadaloby być, zwłaszcza, że połączone z premierą musicalu „Rock & Troll” Tyma i Derfla, nawiązującego do idei Festiwalu, tolerancji i szacunku dla innych. Podobno warto... Dalej „Skrzypek na dachu” w Teatrze Muzycznym, chyba nikogo nie trzeba przekonywać do pójścia. Jeszcze cztery wystawy i dwa koncerty jazzowe, w tym Trio Jarka Śmietany w Klubie „Jazzga”! Aha, i przegląd filmów TVP i Arte. To chyba wszystko? Nie, jeszcze niespodzianka, koncert „Ballady i okolice” Tadeusza Woźniaka, też zresztą o 17.00, w Łódzkim Domu Kultury. Niespodzianką dla mnie jest niestety tylko godzina, wykluczająca wszystkie inne możliwości, z uroczystym otwarciem włącznie. O tym koncercie wiem już od dawna od zaprzyjaźnionego, dawniej łódzkiego aktora i oczywiście jest, że go nie opuszczę. Muszę przecież zobaczyć - co dawniej łódzki, a z urodzenia góralski aktor - robi z takim mistrzem nastroju, jak Tadeusz Woźniak.

Mała salka w ŁDK-u nie jest zapełniona nawet w połowie. To jasne, konkurencja była za duża, ale to jednocześnie wstyd, bo przecież T. Woźniak jest naprawdę wspaniałą postacią i zupełnie nie rozumiem, dlaczego potraktowano go tak po macoszemu. Z góry można było przewidzieć rozwój sytuacji. A szkoda, wierzcie mi, bardzo szkoda, bo koncert był wspaniały! Śpiewający kwartet w składzie: Tadeusz Woźniak, Piotr Woźniak - jego syn, Elżbieta Majchrzak - jego małżonka, łodzianka, siostra znanego aktora Krzysztofa Majchrzaka i Stanisław Jaskółka - aktor. Oczywiście z towarzyszeniem muzyków. W repertuarze ballady

wszelkiej maści, poważne i niepoważne. A wszystkie wykonane z sercem, uczuciem, poczuciem humoru i - bez wyjątku - wspaniałymi głosami. Nieliczni widzowie bawili się wspaniale, można było się zadumać i pośmiać. Oklaski na stojąco sprawiały wrażenie, że widzów jest znacznie więcej. Po koncercie wszyscy chętni mogli udać się w ślad za artystami do słynnej „Przechowalni”, Piwnicy Artystycznej Elżbiety Adamiak i Andrzeja Poniedziałkiego, na ciąg dalszy, mini recital Tadeusza Woźniaka. „Ja też tam byłam - miód i wino piłam”. Mimo to zdążyłam jeszcze zajrzeć do „Jazzgi”. Nikomu chyba nie muszę rekomendować Jarosława Śmietany, a już na pewno nie fanom jazzu. Aha, warto było także zobaczyć wystawy, ale doprawdy, nie w tym dniu! Początek Festiwalu mogę uznać za bardzo udany. Jak dla mnie.

foto: Danuta Gruszczyńska



Trebnie Tutki w Łodzi Kaliskiej.

Dzień drugi. 28 wrzesień 2002 rok.

Teraz będzie już krócej, nie mogę przecież dzień po dniu przedstawiać wam, z czego musiałam rezygnować i dlaczego. A wiercie mi, było tego sporo. Mam cichą nadzieję, że w przyszłym roku uda się jakoś tak rozłożyć imprezy, żeby przynajmniej te „duże” nie pokrywały się czasowo.

Dzień pod znakiem muzyki techno i choć wielu jest przeciwników łączenia tak szacownego festiwalu z tak „nieokrzesaną” (to cytata z przechodnia) muzyką, ja uważam, że to wcale nie był zły pomysł. Nie jestem w tym odosobniona, bo nawet redaktor naczelny gazety festiwalowej „4 Kultury”, pan Janusz Murynowicz w codziennym wstępie napisał (choć z obawą o „dydaktyczny smrodek”), rzecz godną uwagi: (...) *wierzę, że znajdą się i tacy uczestnicy Parady Wolności, którzy jak tylko zmyją „barwy wojenne” imprezy techno, zajrzą na inne sceny. Może nie od razu na operowe i teatralne (...)* Zgadza się! Mało, jestem tego nawet pewna, tylko dlaczego, nie teatralne i operowe? Z jednym takim, który już zmył barwy wojenne, rozmawiałam właśnie w Operze! Ma po prostu szerokie zainteresowania muzyczne. Powiedział mi też, że bardzo mu się podobał pomysł wyciszenia parady w okolicy szpitala, choć podobno nie było to łatwe.

Do ciekawego starcia poglądów doszło w trakcie Salonu Dyskusyjnego nt. „Dialog 4 kultur... Prawda czy mit?”, gdzie słowo tolerancja zostało użyte coś około miliona razy. No, może trochę przesadziłam... Jedni dyskutanci twierdzili, że dialog był, inni, że nie, a to z przyczyn uwarunkowań historycznych. Jednak wniosek końcowy, do jakiego doszli zebrani, był pocieszący - dialog będzie. Bo być powinien. A już na pewno - Dialog Czterech Kultur czyli Festiwal. I chwała im za to.



Trebnie Tutki w Łodzi Kaliskiej.

foto: Danuta Gruszczyńska

Dzień trzeci. 29 wrzesień 2002 rok.

O 11.00 - otwarcie Festiwalu Instalacji Ulicznych. Kto mógł wymyślić Festiwal w Festiwalu? - Oczywiście Marek Janiak i Łódź Kaliska. No i fajnie, bo przynajmniej ci, do których w ogóle niewiele dociera, też zauważą, że coś się w tej Łodzi dzieje. Zwłaszcza, jak będą potykać się o kolorowe kółka hula-hoop, lub... gigantyczne dowody osobiste przyśrubowane do chodnika na ulicy Piotrkowskiej.

Swoją drogą, trochę mało reklamy ulicznej. To co było - było stanowczo za dyskretne, podobno z braku funduszy. Mam nadzieję, że w przyszłym roku każdy zauważy co się dzieje. Nawet ci, których to niewiele obchodzi.

Z dnia na dzień dostrzegam na ulicach coraz więcej ludzi, głównie młodych, z programem w rękę, rozmawiających o festiwalu, spieszących na imprezy festiwalowe. Sporo osób nosi na piersi plakietki festiwalowe.

18.00 - wspaniały koncert Jana Ptaszyna Wróblewskiego, ale niestety, mogę „zaliczyć” tylko kawalek, bo pędzę na mocno reklamowany i polecany przez znajomych z Warszawy musical - „Big Popiel” w Teatrze Muzycznym.

20.30 - Po raz drugi - niestety. Tym razem dlatego, że zrezygnowałam z dobrego koncertu jazzowego na rzecz... czegoś problematycznego. Gdyby nie niezła muzyka Katarzyny Gärtner... W programie sam autor, jakże trafnie, napisał: *Ale to wszystko wielka jajecznicą*. - Może gdyby akustyka tej sceny była lepsza, może gdyby warszawscy aktorzy mieli czas się z nią oswoić, efekt byłby trochę lepszy, a tak, to nie dość, że „jajecznicą”, to jeszcze nic nie można zrozumieć. Co prawda po przeczytaniu jednej piosenki w programie, wcale nie jestem pewna, czy koniecznie chcę tego w większych ilościach. Przereklamowane. A może to ta „wirtualna” reżyseria, o której pisano w festiwalowej „zajawce”? Stanowczo wolę reżyserię tradycyjną. Pewno się starzeje. Mimo ciemności notuję tekst usłyszany ze sceny: *Komuś by przypaskudzić, obowiązkowo* i budzi się we mnie chęć wykonania Popielowego polecenia.

Dość. Muszę sobie poprawić humor. Idę do Łodzi Kaliskiej na otwarcie Przeglądu Zespołów Folkowych. Grają Trebunie - Tutki, zabawa na sto-dwa. Sala wrze i kipi. Publiczność klaszcze do taktu, śpiewa razem z Jaśkiem Trebunią, gwizdże po góralsku i po chwili rusza w tany. Miejsca niewiele, tłok straszny, ale góralska muzyka nie pozwoli siedzieć.

Furorę robi „szalejąca czterdziestka”, ruda, roześmiana dziewczyna tańcząca z takim zapałem, że wzbudza podziw nie tylko widzów, ale i kapeli. To zaraźliwe! Prawdziwa epidemia, co chwilę ktoś dołącza do tańczących, kto się nie mieści - klaszcze aż do bólu. I tak do 24.00, a może dłużej?

Powrót nocnym autobusem, w którym przeważają młodzi ludzie wracający z festiwalowych imprez. Rozbawieni i rozgadani. Ludzie! To wypaliło! Temat chwycił, szykujemy następny festiwal!

Dzień czwarty. 30 wrzesień 2002 rok

O 13.00 przegląd filmów „Przedwojenne kino żydowskie w Polsce”; w programie „Droga młodych” i „Sabra”. Ten drugi bardzo ciekawy, losy emigrantów z Polski zakładających osadę na pustyni.

O 15.00 - filmy TVP i Arte - „Borys Ejsman - wieczny wędrowiec”, przygotowanie do kontaktu z mistrzem.

Wieczorem „Nabucco” w Teatrze Wielkim. Biblijna historia narodu Judei zniewolonego przez babilońskich najeźdźców pod wodzą Nabuchodonozora. Tyle tylko, że przeniesiona w czasy... holocaustu. Nader oszczędna scenografia składająca się tylko z kamiennych brył, jakby ogromnych maceb wprost z żydowskiego cmentarza. Tylko światło reflektorów sprawia, że scenografia nabiera innych znaczeń. Reżyser: Matthias Remus, scenograf - Ekkerhard Kröhn, światło - Erwin Jutz, dyrygent - Lucas Beikircher. Muzycy i śpiewacy z Łodzi. Jak zwykle, słuchałam ich z przyjemnością.

W „Hawanie” rosyjski folk, świetny zespół „Farlanders”. A w „Fünaberii” „Den Flygande Bokrullen” czyli „Latające Brokuły”, szwedzki zespół grający muzykę żydowską, której zgodnie słuchali Niemcy i Rosjanie, a na parkiecie hołubce krzesali polscy górale.

Dzień piąty. 1 październik 2002 rok.

Jadę z koncertu Bettiny Wegener. Stanowczo ballady w wykonaniu niemieckim nie są moją ulubioną formą rozrywki. W tramwaju dziewczyna spoza Łodzi pyta, jak dojechać do Teatru Muzycznego, gdzie o 18.30 zaczyna się widowisko muzyczne „Alkimja” czyli po hebrajsku

- alchemia, w wykonaniu Justyny Steczkowskiej. Przetworzone przez Mateusza Pospieszalskiego tradycyjne utwory żydowskie, w nowej aranżacji, chór z synagogi, tancerze i artyści sztuki cyrkowej, a na tym tle Steczkowska ze swym niezwykłym głosem i czarem. Coś zupełnie nowego i urzekającego. Ale znowu tylko mały kawałek. Czas mnie goni.

No i wreszcie uczta tego dnia: „Rosyjski Hamlet” - Sankt-Petersburski Teatr Baletu Borysa Ejfmana. Takich tłumów nie widziałam od czasu pamiętnych Spotkań Baletowych. A przecież bilety bardzo drogie. Na widowni „cała Łódź” i co najmniej „pół Warszawy”. Spektakl przenosi nas w czasy Katarzyny Wielkiej, carycy Rosji i opowiada o tragicznej postaci jej syna Pawła I, utożsamianej w Rosji z Hamletem. Tancerze - aktorzy z teatru Ejfmana wyrażają swymi ciałami najsztudniejse emocje. Muzyka dobrana jest tak, żeby te uczucia ilustrować i potęgować. Dekoracje w kolorze starego złota, pod wpływem światła zmieniają nie tylko barwę, ale i charakter. Spektakl wywołał ogromny aplauz wi-

fot. Danuta Genczyńska



Członkowie zespołu Yuval Cohen Sextet na Jam Session w "Siódemkach".

downi. Owacja na stojąco trwała piętnaście minut. Gromkimi brawami publiczność nagrodziła Wierę Arbusową, odtwórczynię roli Katarzyny Wielkiej. Młoda część widowni, oczywiście żeńskiej, piskami witała kilkakrotnie pojawiającego się na scenie Carewicza Pawła czyli dwudziestoletniego Jurija Smykałowa. Atmosfera w tych momentach przypominała koncert rockowy.

Jestem, jak się od jakiegoś czasu mówi w kręgach zbliżonych do TVN - pod wrażeniem. Nie jestem odosobniona. Rozmowy na temat spektaklu słychać w szatni, na placu przed Teatrem i w tramwaju. Po tym wydarzeniu nie mam już ochoty na nic innego. Na wszelki wypadek, żeby nie popsuć sobie nastroju.

W nocy wpadam na pomysł zrobienia wywiadu z Borysem Ejfmanem. Do drugiej siedzę nad starym słownikiem polsko-rosyjskim i z mozołem przypominam sobie lekcje języka rosyjskiego ze szkoły średniej.

Dzień szósty. 2 październik 2002 rok.

W południe, po konferencji prasowej z Borysem Ejfmanem próbuję przebić się do niego przez „obstawę” złożoną z organizatorów. Na moją prośbę o dopuszczenie do mistrza, słyszę od jednego z nich, że mistrz nawet im nie chce udzielić wywiadu. Nie chce, lub nie ma czasu, bo szybko wychodzi z budynku, ja jednak w akcie desperacji zbiegam za nim po schodach i już w bramie udaje mi się wręczyć mu egzemplarze „Kroniki Miasta Łodzi” i „Ziemi Łódzkiej”. Być może to powoduje, że zatrzymuje się na chwilę i na moją prośbę o wywiad na wyłączność - zaprasza mnie na próbę przed premierą „Gali”. Szczęście moje nie zna granic! Reszta dnia pod znakiem języka rosyjskiego. W teatrze na próbie zjawiam się półtorej godziny wcześniej i pilnuję mistrza, żeby mi przypadkiem nie uciekł. Mógł przecież zapomnieć. Ale nie, pamięta. W kuluarach teatru rozmawiamy dobre pół godziny. Zaraz na początku rozmowy mistrz prosi kogoś z administracji teatralnej o przesunięcie spektaklu o pół godziny, ale to przecież chyba nie przeze mnie?! Myślę, że trochę przeciągnął próbę, to przecież premiera przygotowywana na gorąco i do tego w obcym miejscu. W trakcie rozmowy, okazuje się, że przynajmniej dla Borysa Ejfmana, to miejsce nie tylko nie jest obce, ale wręcz bliskie. Zainteresowanych odsyłam do wywiadu.

Na jubileuszowe przedstawienie znowu przybyła cała masa zna-

nych postaci z Łodzi i Warszawy. Tuż za mną siedział były minister finansów Marek Belka wraz z małżonką, obok wojewoda łódzki Krzysztof Makowski. Nieopodal ambasador Daniel Passent z córką i wielu innych.

Premierowy spektakl składający się z fragmentów słynnych choreografii Ejfmana, został wyreżyserowany specjalnie na tę okazję, czyli na jubileusz 25-lecia istnienia zespołu. I tu organizatorom należy się reprimenda. Przy tak skonstruowanym przedstawieniu, ogromną wadą był brak programów, (rano zapowiadano, że na pewno będą) - nie każdy przecież widział wszystkie spektakle, które zaprezentował reżyser w „Gali”. Zwłaszcza spektakle baletowe wymagają choćby odrobiny komentarza słownego, nie mówiąc już o chęci poznania nazwisk wspaniałych wykonawców. A w „Gali” wziął udział cały zespół i... sam mistrz, który na zakończenie, ukryty wśród tancerzy, wjechał na scenę na drewnianym, wiejskim wozie. Jak zwykle spektakl zakończył się owacją na stojąco. Cokolwiek mówią krytycy, Borys Ejfman trafia do serc i umysłów ludzi drogą prostą, a zarazem wyrafinowaną. Jego tancerze dysponują wspaniałą techniką, pozwalającą ruchem oddać wszystkie emocje, jakie autor postanowił przekazać widzom.

Poprzedniego dnia skromnie, z widowni przemawiał przyjaciel Ejfmana, Aleksander Gudzuwat, który sfinansował przyjazd Teatru Baletu do Polski. Opowiedział, jak do tego doszło. Na zakończenie, w podziękowaniu otrzymał od organizatorów pamiątkowy obraz. W dniu Gali, pamiątkowy obraz wręczono także Borysowi Ejfmanowi, który poinformował, że otrzymał dwie depesze gratulacyjne z okazji jubileuszu - od prezydenta Putina i od prezydenta Kwaśniewskiego. Atmosfera na widowni zrobiła się jakby rodzinna. Żal wychodzić.

Trzeba jednak było jechać na słynny Koncert Czterech Kultur, mający się odbyć w hali fabrycznej Poznańskiego przy ulicy Ogrodowej. Po dojechaniu do skrzyżowania Zielonej i Kościuszki przeżyłam niewielki szok. Na moich oczach, kolumna samochodów wiozących premiera Millera z tego właśnie koncertu, przejechała w kierunku hotelu Grand. Po opóźnieniu spektaklu w Teatrze Wielkim, zakładałam, że odrobinę spóźnię się do Poznańskiego, ale tak, jak i inni zawiedzeni, nie przypuszczałam, że cała impreza „przejdzie mi koło nosa” ponieważ... przyspieszono godzinę rozpoczęcia! A dowiedziałam się o tym dopiero na tymże skrzyżowaniu od równie rozgoryczonych i zawiedzionych potencjalnych widzów powracających właśnie spod Poznańskiego. Mało tego, od

nich także, a byli wśród nich dziennikarze z akredytacją, dowiedziałam się, że nie wpuszczono ich na koncert! Czy ktoś mógłby wyjaśnić - dlaczego?! Czy hala fabryczna to za mało, żeby pomieścić wszystkich chętnych? A może potrzebny był stadion?! Tak się nie robi, panowie organizatorzy! Mam tu oddać atmosferę festiwalu, zapewniam - tego wieczoru była bardzo „gęsta”! Dlatego pomnę milczeniem ten - podobno piękny - koncert, w którym udział wzięły Poznańskie Słowiki, Jeruzalem Great Synagogue Choir z kantorem Benzionem Millerem, Chór Patriarchatu Moskiewskiego Driewnieruskij Rasspiew Grindienki i ewangelicki Männer Stimmen der Evangelischen Knaben Chor z Ütersen koło Hamburga. Nie będę pisać o czymś, czego nie pozwolono mi zobaczyć.

Po dwóch dniach w „Dzienniku Łódzkim” napisano, że organizatorzy zapomnieli, że na bankiecie po koncercie powinny znaleźć się także potrawy koszerne. W związku z tym, członkowie izraelskiego chóru wyszli z bankietu głodni. Pięknie. Ja przynajmniej w pobliskiej „Przechowalni” zjadłam dobre ruskie pierogi i poprawiłam sobie humor dzięki występowi niezawodnego Mariana Opani, który starymi i nowymi skeczami i piosenkami bawił ciasno ubitą masę widzów. To była frekwencja,



Premier L. Miller na kolacji w klubie „Jazzga”.

foto: Danuta Gruszczyńska

jakiej mała salka chyba jeszcze nie widziała. Czułam się, jak w tokijskim metrze, gdzie podobno nadal funkcjonują „upychacze”. Tutaj upychaliśmy się wzajemnie, a i tak część chętnych stała w szatni, a część musiała odejść z kwitkiem. W trakcie modliłam się tylko, żeby nie zemdlec z braku powietrza, bo i tak nikt by nie zauważył - upaść nie było gdzie. Ale za to było ciepło, czego nie dało się już powiedzieć o pogodzie na zewnątrz. Powoli piękna pogoda zaczynała nas opuszczać. Październik, to jednak nie jest dobry termin.

Dzień siódmy. 3 październik 2002 rok

To już tydzień. Wiele osób zaczyna narzekać na zmęczenie. „Zawałone” noce dają o sobie znać. A co mają powiedzieć biedni wolontariusze, przez cały dzień na usługach dziennikarzy korzystających z Biura Prasowego? Trzeba przyznać, że ci młodzi ochotnicy spisują się świetnie. Wszyscy są pełni zapału i tak sympatyczni, że aż miło tu przychodzić. Niestety, mają zbyt mało czasu na uczestniczenie w imprezach, ale i tak spotykam ich tu i ówdzie i czasem ucinamy sobie bardzo sympatyczne pogawędki.

Dzisiaj otwarcie wystawy dwóch wybitnych malarzy niemieckich - Adama Lude Doringa i Hansa Petera Haufa, w Centralnym Muzeum Włókiennictwa. Ale wystawy postanowiłam obejrzeć spokojnie, po Festiwalu.

Co dziś w planie? Dwa, podobno dobre, rosyjskie koncerty jazzowe. Okrzyczany koncert Pop-Rock w Hali Sportowej, jedyna impreza w ramach Festiwalu, prezentująca muzykę popularną, w której udział wezmą Projekt Oddział Otwarty, grupa 6Grade z Niemiec, izraelski Avin Gefen, Budka Suflera i młodziutki, rosyjskie skandalistki, duet „Tatu”. Młodzież już „ostrzy sobie zęby”. O poziomie tych produkcji można dyskutować długo. Jedno jest pewne, taka muzyka też powinna być obecna na festiwalu, to przecież ona i techno przyciągają tych najmłodszych.

O 18.30 w Muzycznym słynna „Klaustrofobia” Małego Teatru Dramatycznego z Petersburga, w reżyserii szefa teatru Lwa Dodina. Akcja rozpoczyna się w chwili upadku komunizmu. Krótkie scenki, rewelacyjnie zagrane przez zespół aktorski, opisujące obłęd życia codziennego rosyjskiej społeczności.

Nietrudno zauważyć, jak wiele mamy ze sobą wspólnego.

O 21.00 - kolejna uczta - koncert „Kronos Quartet”, jednego z najlepszych na świecie zespołów tego typu, grających muzykę świata. Grają muzykę współczesną, etniczną, jazz. Lubią nowości i eksperymenty muzyczne, ale nie stronią od klasyki. Komponują dla nich najwybitniejsi współcześni kompozytorzy, między innymi Henryk Mikołaj Górecki, którego *Arioso* z drugiego kwartetu smyczkowego wykonane w ramach bisów, wywołało burzę oklasków.

Zimny, późny i długi powrót do domu przez wyraźnie festiwalową Łódź. Coś chyba zagnieżdżyło się w atmosferze miasta i daje o sobie znać. Nocny kierowca powiedział, że jakby więcej ludzi jeździ z nim od kilku dni.

Dzień ósmy. 4 październik 2002 rok.

Niestety, nasza Łódzka Filharmonia nosząca imię łodzianina Artura Rubinsteina, dzięki czemu wspaniale wpisana w ideę Festiwalu, wzięła w nim udział tylko raz. W Kościele św. Mateusza szczelnie wypełnionym słuchaczami, laureat Konkursu Chopinowskiego sprzed sie-



Tadeusz Matusiak i Marek Belka na "Gali" B. Ejfmana w Teatrze Wielkim.

foto: Danuta Gruszczyńska

demnastu lat - Krzysztof Jabłoński, zagrał I Koncert fortepianowy e-moll F. Chopina. Orkiestra pod batutą Marka Pijarowskiego wykonała „Divertimento” na smyczki, Grażyny Bacewicz, oraz z towarzyszeniem chóru pod dyрекcją Marka Jaszczaка, „Harnasi” Karola Szymanowskiego, który to utwór wzbudził wielkie emocje wśród słuchaczy. Szkoda, że filharmonicy tak „oszczędnie” przyłączyli się do Festiwalu, zwłaszcza, że mają przecież w swoim repertuarze wiele utworów, które do jego założeń świetnie pasują.

O 20.30 - „Król Roger” Karola Szymanowskiego, w wykonaniu zespołu Opery Narodowej. Libretto, które kompozytor napisał wspólnie z Jarosławem Iwaszkiewiczem, opowiada o zderzeniu dwóch kultur i dwóch religii. Od jakiegoś czasu utwór ten zaczął robić karierę na świecie, krytycy twierdzą, że jest to jedno z najważniejszych dzieł scenicznych XX. wieku. Patronat nad spektaklem objęła małżonka premiera Millera.

O 22.00 - w „Przechowalni” koncert dobrze znanego kwartetu smyczkowego Grupa MoCarta. Ten kabaret muzyczny od siedmiu lat niezmiennie bawi publiczność swoimi żartami muzycznymi. Nie zawiódł i tym razem. Sala była pełna, a widzowie zachwyceni.

Jeszcze nie za długi - bo sił coraz mniej - rajd po pubach, gdzie nadal, jak co dzień, grają zespoły folkowe. To niestety już dzień ostatni. Szkoda, bo wszystkie cieszyły się sporym zainteresowaniem. Spotykałam „na trasie” ludzi, którzy przyjęli zasadę chodzenia z pubu do pubu po to tylko, żeby posłuchać każdego zespołu. Najbardziej podobala się polska muzyka góralska i klezmerska muzyka z Izraela. Ludzie bawili się jednakowo dobrze przy obu. Kilukrotnie widziałam muzyków jazzowych z Izraela z dużym zainteresowaniem słuchających i bawiących się przy muzyce naszych Trebuniów Tutków, którzy też nie stronili od innych zespołów.

Dzień dziewiąty. 5 październik 2002 rok.

O 15.00 - na wielkiej estradzie zbudowanej na Placu Wolności Finał Przeglądu Zespołów Folkowych. Mimo fatalnej pogody przyszło sporo łodźian, którzy bawią się zupełnie dobrze nawet pod parasolami. Wszystkie zespoły przyjmowane są z jednakową sympatią.

O 16.00 w Klubie Nauczyciela Salon Dyskusyjny „Festiwal Dialogu i Szans”, rozmawiano o tym, jak może funkcjonować kultura w warunkach gospodarki rynkowej. Padło sporo gorzkich słów. Jeden z obecnych nazwał Łódź miastem nietolerancyjnym i nieprzyjaznym, miastem straconych szans. Mówiono o syndromie miasta - sypialni, skąd wielu ludzi nie mogąc znaleźć pracy wyjeżdża w jej poszukiwaniu na przykład do Warszawy. Posłanka z Unii Pracy wspomniała o nieprzyjemnym zwyczaju, z którym styka się w Warszawie, kojarzenia wszelkich afer z Łodzią. Na szczęście nie zabrakło też głosów optymistów. Maciej Domański obsypał komplementami Witolda Knychalskiego, nazywając go „duchem opiekuńczym i ojcem chrzestnym Festiwalu”. Po krótkiej dyskusji, dopuszczono zmianę terminu następnego Festiwalu na czerwiec. Padło także stwierdzenie, które należałoby dać pod wnikliwą rozprawę władz wszelakich: „Kultura jest szansą na ożywienie gospodarki”. Tutaj Jan Kobuszewski powiedziałby: „wężykiem Jasiu, wężykiem!”

O 18.00 - próbowałam obejrzeć najnowsze dokonanie zasłużonego Teatru 77 - parateatralne widowisko Zdzisława Hejduka „Podróż po łódzkiej ziemi obiecaniej”. Odniosłam wrażenie, że dla tych twórców czas zatrzymał się w miejscu trzydzieści lat temu. Te same twarze, te same ograne chwytły inscenizacyjne, ta sama poetyka, Norwid i „Wesele” Wyspiańskiego. Nowy był chyba tylko, czerwony model samochodu miłośnie tulony przez panienki w strojach ludowych i... słynny okrzyk lidera zespołu „Ich Troje” - „zajebicie”, powtarzany chóralnie przez aktorów z dziwną satysfakcją i zapalem godnym lepszej sprawy. A miało być o polskości „otwartej na świat, polskości dialogicznej a nie monologicznej...”

Po wyjściu z hali fabrycznej gdzie widowisko owo odgrywano, przeszedłam pięknie oświetloną drogą, pozostałą zapewne jeszcze od Koncertu Czterech Kultur. Oj, coś nie mam ja szczęścia do tego Poznańskiego! Ostała mi się jeno ta droga, którą sobie sfotografuję, może wyjdzie?

Niestety, (który to już raz, w trakcie tego Festiwalu mówię - niestety?) na koncert mojej ulubionej Edyty Gepert nie pójde, bo obowiązek kronikarski, a i trochę ciekawość, wzywa mnie na kolejny, głośny spektakl, do którego przygotowania, od wielu już dni budziły zrozumiałe zainteresowanie łodzian. „Carmina Burana” - Carla Orffa, kantata sceniczna oparta na utworach poetyckich ze zbioru pieśni średniowiecznych wagantów, spisanych około 1225 roku w opactwie Benediktbeuren

w Bawarii. Są to pieśni mówiące o wpływie pór roku na ludzkie uczucia i namiętności, o pięciu stadiach miłości, pieśni przeznaczone do wykonywania w trakcie uczt i pieśni polityczne. Jak powiedział na konferencji prasowej Walter Haupt, dyrygent, uczeń i przyjaciel Carla Orffa: „jest w niej entuzjazm i radość życia, charakterystyczna dla Bawarii, z której Orff pochodził”. Carmina jest ogromnym przedsięwzięciem technicznym, wystarczy powiedzieć, że aby przywieźć stalowe konstrukcje o wysokości osiemnastu metrów i wadze 50 ton, trzeba było szesnastu ciężarówek. Widowisko obsługuje dwudziestu pracowników technicznych, w tym pięciu pirotechników, sześciu techników oświetleniowych, 4 techników dźwięku, projektant dźwięku i projektant światła. To tylko niektóre dane, dające wyobrażenie o skali tego widowiska, które od 1996 roku obejrzało już około miliona osób. Jest zaiste imponujące. Odniosłam wrażenie, że wielu widzów nie słyszało pięknej muzyki, tak bardzo byli zaabsorbowani tym, co działo się na tle frontonu naszego Teatru Wielkiego, który wcale wielkim się w tym towarzystwie nie wydawał. A działo się! Na czterech poziomach chór, soliści, trzy-

fot. Danuta Gruszczyńska



Yuval Cohen Sextet w "Łodzi Kaliskiej".

dziestu tancerzy w ponad trzystu strojach, aktorzy, a do tego wszystkiego jeszcze orkiestra. Aktorzy odtwarzali nieskomplikowane, ale za to szalenie barwne scenki z udziałem diabłów, aniołów i całej masy różnych dziwnych stworzeń, jak na przykład to puszczające monstrualnym zadkiem... fajerwerki, co wzbudziło aplauz części publiczności. Było koło fortuny i wiszące ogrody, dymy, pochodnie, konie, wozy... Brakowało mi za plecami czynnej fontanny.

Nie obyło się bez zatargu przy wejściu na teren prowizorycznej widowni. Ochroniarze nie chcieli wpuścić mnie i grupki młodych dziennikarzy z akredytacjami. Podobno dostali polecenie, żeby nikogo już nie wpuszczać, choć miejsca było pod dostatkiem. Pomogło dopiero wezwanie przedstawicielki organizatorów i mój argument, że nie mogą nie wpuścić dziennikarki z „Kroniki Miasta Łodzi”. Młodemu też się przy okazji udało.

Deszcz padający przed południem już się oddalił, było natomiast tak zimno, że aparat fotograficzny odmawiał posłuszeństwa. Wszyscy jednak dotrwali do końca, kiedy zespół w ostatniej scenie wywiesił na samym szczycie wieży polską flagę i wystrzelił fajerwerki.

Widzowie w pełni usatysfakcjonowani i poruszeni wracali do domów dzieląc się wrażeniami. Ulicą Jaracza ciągnął nieprzerwany sznur samochodów...

Zesztywniała z zimna dotarłam do Klubu „Jazzga” na koncert jazzowy wspianalej izraelskiej grupy East Quartet, grającej tu w poszerzonym składzie, jako Yuval Cohen Sextet. W drzwiach natknęłam się po raz kolejny tego dnia, na ochroniarzy. Tym razem pilnowali bezpieczeństwa małżonki premiera, która także przemarznięta po spektaklu, chciała wraz z osobami towarzyszącymi, zjeść kolację słuchając gry izraelskich jazzmanów. Po pewnym czasie dołączył do niej premier. Sala była wypełniona świeżymi - bo przecież tylko dziewięciodniowymi - fanami zespołu, którzy niezbyt chętnie odsuwali się z drogi ochroniarzom premiera. Dopiero po pewnym czasie dały się zauważyć pierwsze oznaki obustronnego odprężenia i akceptacji. Myślę, że spowodowało je wyraźne zadowolenie premierostwa z koncertu i... spożywanych pierożków.

Dzień dziesiąty. 6 październik roku pańskiego 2002.

O 12.00 w Muzeum Historii Miasta Panel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich - „Oblicza kultury”. Pisarze i znani krytycy mówią o literaturze zajmującej się różnorodnymi źródłami kultury polskiej. To w części pierwszej, a tylko na tej mogłam być. Bardzo ciekawe było wystąpienie Piotra Matywieckiego mówiącego o Julianie Tuwimie. „Trzy narody w jednym człowieku” - to zdanie świetnie pasuje do poety będącego z pochodzenia Żydem, z „zakorzenienia” - Polakiem i - w pewnym okresie życia - fanatycznym wielbicielem stalinizmu. Nie wszyscy wiedzą, że J. Tuwim poddawany był atakom za stalinowskie ciągoty, za swoją niezaprzeczalną polskość i za żydowskość. W którymś wierszu powiedział o sobie: *jestem rodząj ludzki*.

W części drugiej redaktor Zbigniew Nowak zaprezentował dotychczasową działalność łódzkiego miesięcznika „Tygiel Kultur”. Część trzecia to wieloosobowy panel poświęcony obecnym problemom i perspektywie przyszłości kultur w jednoczącej się Europie.

Na tonącej w strugach deszczu estradzie pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki, muzyczny spektakl „Blask” (objęty honorowym patronatem przez Jolantę Kwaśniewską), przygotowany przez artystów polskich i żydowskich, ukazujący wzajemne wpływy kultur żydowskiej, polskiej i niemieckiej. Artystyczna interpretacja żydowskich świąt, oprawiona żywiołową muzyką grupy klezmerskiej, tańcem i śpiewem chóru oraz solistki Danuty Stankiewicz, mimo brzydkiej pogody przyciągnęła sporą grupę ludzi. Próbuja nawet śpiewać i tańczyć razem z artystami. Skaczą parasole trzymane nad głowami. W pewnym momencie tuż obok mnie pojawili się charakterystyczni młodzieńcy w dresach. Przyznam, że skóra mi lekko ścierpła. Nie z lęku, bo każda z imprez festiwalowych była dobrze zabezpieczana przez policję i ochroniarzy, ale... z oczekiwanego wstydu. Bałam się, że będę się musiała za nich wstydzić przed żydowskimi artystami. To przecież im podobni są awangarda pseudografficiarzy bazgrzących na murach wulgarne i głupie, nacjonalistyczne napisy. Oczekiwałam jakiś uwag, czy okrzyków pod adresem artystów. Ale młodzieńcy, początkowo niepewni, zdezorientowani, po chwili, porwani skoczną muzyką zaczęli nieśmiało tańczyć! Pierwsze zwycięstwo idei pojednania i pokojowego współistnienia, a może nawet zrozumienia i sympatii! Może następne festiwale sprawią, że w naszym mieście będzie mniej laciatych murów? Może autorzy na-

pisów wreszcie zrozumieją słowo tolerancja. A może nawet znacznie ładniejszego słowa - przyjaźń? Dzień nagle wypiękniał.

Dalej w planie premiera filmu Andrzeja Cieczoła z Muzyką Michała Urbaniaka „Eden”. Refleksja nad dokonaniami kultury i cywilizacji na przestrzeni wieków. Trzeba będzie kiedyś zobaczyć.

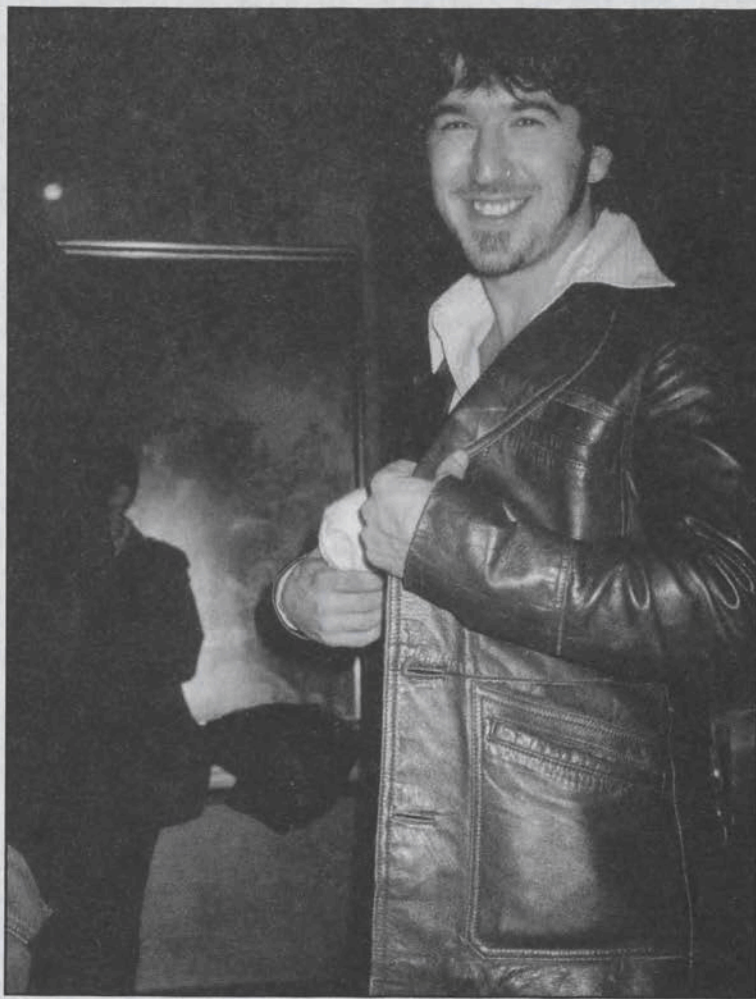


foto: Danuta Gruszczyńska

Basista z zespołu Yuval Cohen Sextet bawiący się na koncercie zespołu góralskiego Trebunie Tutki.

Znalazło się nawet w tym dniu miejsce i czas na magię. Arcymistrzowie iluzji zapraszają do Teatru Muzycznego. Jest zbieżność słowna, tak wiele razy w tych dniach nazwano Łódź „miastem magicznym...” Oby nie okazało się, że ta magia, to czysta iluzja.

O 18.00 w „Siódemkach” zaczyna się Jam Session. Można jeszcze raz, choć przez chwilę, posłuchać fantastycznych, radosnych młodych muzyków z Yuval Cohen Sextet. O, właśnie jeden z braci Cohen siedzi na schodkach pośrodku klubu razem z młodziutkim basistą, który chyba nigdy nie przestaje się promiennie uśmiechać, zwłaszcza kiedy gra. Zresztą oni wszyscy grają nie ukrywając, jak bardzo ich to cieszy. A teraz cieszą się, słuchając improwizacji swoich - już nie wiem - rosyjskich, polskich, czy niemieckich kolegów. Czy to zresztą ma znaczenie, jakich? Po prostu młodych muzyków.

Robię im zdjęcie, chłopak uśmiecha się jeszcze szerzej i macha ręką, pamięta mnie, bawiliśmy się wszyscy razem na koncercie Trebuniów Tutków.

20.00 - uroczyste zakończenie Festiwalu Dialogu Czterech Kultur. Koncert galowy Henryka Mikołaja Góreckiego, wręczenie Mistrzowi przez ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego nagrody „Tansmana”, za wybitną indywidualność muzyczną i bezkompromisowość w twórczości. Nagrodę tę będą otrzymywać co roku wybitni, światowej klasy artyści, którzy będą bohaterami inauguracyjnego lub finałowego koncertu galowego.

Na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego zasiedli muzycy Filharmonii Narodowej i Narodowej Orkiestry Polskiego Radia, Chór Filharmonii Narodowej i solistki: Bożenna Harasimowicz sopran i Carol Wincenc - flet. Dyrygował łódzianin Wojciech Michniewski.

To co usłyszałam, zmieniło moje zdanie o muzyce H.M. Góreckiego. Zwłaszcza niezwykłej urody - *Salve Sidus Polonorum* - Kantata dla św. Wojciecha na chór mieszany, dwa fortepiany i instrumenty perkusyjne, głównie dzwony.

Koncert stał się wydarzeniem międzynarodowym. Program i informacje o nim, zamieszczono w biuletynach agencji amerykańskich i angielskich jeszcze przed jego rozpoczęciem.

Festiwal uroczyście zamknął minister kultury w towarzystwie Witolda

Knychalskiego. W foyer Teatru zorganizowano na koniec licytację prac konkursowych nagrodzonych na Konkursie Prac Plastycznych dla młodzieży szkół ponadgimnazjalnych, na temat: Łódź - Ziemia Przyszłości i Łódź Miasto Czterech Kultur, zorganizowanym przez Młodzieżową Radę Miasta Łodzi. Pieniądze uzyskane z licytacji przekazano na Dom Dziecka.

Koniec. Smutno to brzmi. Ale jeśli to ma być czerwiec, to zostało tylko... osiem miesięcy!

Lew Dodin powiedział: *Naszym wspólnym językiem, jest język ludzkiej duszy.*



Spis treści

EDWARD MÜLLER WYWIAD Z KRZYSZTOFEM JAGIEŁŁO	3	2526
ZOFIA WARZYŃSKA-BARTCZAK PRZEDWOJENNA ŁÓDŹ W JARMUŁCE	9	2524
TADEUSZ BOGOLECKI DZIAŁANIA POWSTAŃCÓW 1863 ROKU	19	2528
JERZY GAŁĘBA KATOLICKA WIZYTÓWKA ŁODZI	35	2529
PAWEŁ WRONISZEWSKI ŁÓDZKIE WYBORY SAMORZĄDOWE	53	2530
LUCJUSZ WŁODKOWSKI WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE	69	2531
JERZY WILMAŃSKI TYGODNIK "ODGŁOSY" 1958 - 1990	77	2532
ANDRZEJ FRONTCZAK MAREK CIERPIKOWSKI prof. dr med. W. MARKERT	93	2533
PIOTR WERNER POMNIK NIEZGODY	97	2534
EWA ŻUCHOWSKA PIERWSZE GIMNAZJUM ŻEŃSKIE W ŁODZI	103	2535
WIESŁAW MACHEJKO Z KRONIKI RADIA ŁÓDŹ WESOŁY AUTOBUS	109	2536
JERZY GAŁĘBA MILION CZYTELNIKÓW	121	2537
BARBARA MAJ ZAPIS STANU ŚWIADOMOŚCI	125	2538
JERZY WILMAŃSKI WALERY SŁAWEK - LEGENDA I TAJEMNICA	129	2539
EDWARD MÜLLER KSIAŻKA POTRZEBNA I NA CZASIE...	133	2540
MAGDA SZUSTER „EGZAMIN” Tadeusza Słupeckiego	135	2541
KRYSTYNA LEWICKA ZIELONE LATA	141	2542
TADEUSZ CHRUŚCIELEWSKI TEN WASZ GOMUŁKA	153	2543
AGATA KUBASIEWICZ PAŃSTWOWE LICEUM MUZYCZNE	159	2544
ANNA IŻYKOWSKA-MIRONOWICZ ŁODZIANIE Z WYBORU - FIRLEJOWIE	165	2545
BOGDA MADEJ-WŁODKOWSKA JAN TOMASZEWSKI	179	2546
BOGUSŁAW SIKORSKI PARK ŹRÓDLISKA	185	2547
KATARZYNA BARANEK PARK PRZYSZŁOŚCI	191	2548
WOJCIECH ŹRÓDLAK WAGONY SANITARNE I... KARAWAN	201	2549
BORIS EJFMAN CZŁOWIEK CZTERECH KULTUR	217	2550
DANUTA GRUSZCZYŃSKA ZIEMIA OBIECANA CZTERECH NARODÓW	223	2551

projekt graficzny, opracowanie,
oprawa i druk:
Agencja Reklamowa P®ESTO
ul. Piotrkowska 157,
90-440 Łódź
tel. (42) 63 75 450
tel./fax (42) 63 75 551
e-mail: presto@presto.pl
www.presto.pl

Wydawca:



Urząd Miasta Łodzi

Adres redakcji:
Wydział Rozwoju i Promocji Miasta
Oddział Promocji Miasta
Kronika Miasta Łodzi
90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 110
(wejście od Al. Schillera)
tel. (42) 638 44 39
e-mail: wip@uml.lodz.pl

1870-1871

1871-1872

1872-1873

1873-1874

1874-1875

1875-1876

1876-1877

1877-1878

1878-1879

1879-1880

1880-1881

1881-1882

1882-1883

1883-1884

1884-1885

1885-1886

1886-1887

1887-1888

1888-1889

1889-1890

1890-1891

1891-1892

1892-1893

1893-1894

1894-1895

1895-1896

1896-1897

ŁÓDZKIE KLIMATY
FESTIWAL DIALOGU
ŁÓDŹ CZTERECH KULTUR



foto: J. Eger

Jan Ptaszyn Wróblewski - koncert w klubie Łódź Kaliska



fot. S. Wielonek

Przygotowania do festiwalu instalacji ulicznych

foto: J. Eger



Konferencja prasowa Borisa Eifmana

foto: J. Eger



Maciej Zembaty podczas koncertu z cyklu "Ballady i Okolice" w Ł.D.K.



foto: S. Wiedanek

Koncert niemieckiej grupy Farlanders



foto: S. Wiedanek

Wystawa "Marlena Dietrich - Narodziny Legendy" - Muzeum Kinematografii

foto: K. Kaszuha



Festiwal Instalacji Ulicznych

foto: S. Wielanek



Koncert Kapeli Trebuniów Tutków w klubie Łódź Kaliska



foto: S. Wiedemek

Wystawa "Łódź Miasto Czterech Kultur w świetle zbiorów Łódzkiej Książnicy"



foto: K. Kaszuba

Festiwal Instalacji Ulicznych



foto: S. Wielanek

Koncert folkowy w klubie Funaberia



foto: S. Wielanek

Musical "Big Popiel" - Teatr Muzyczny

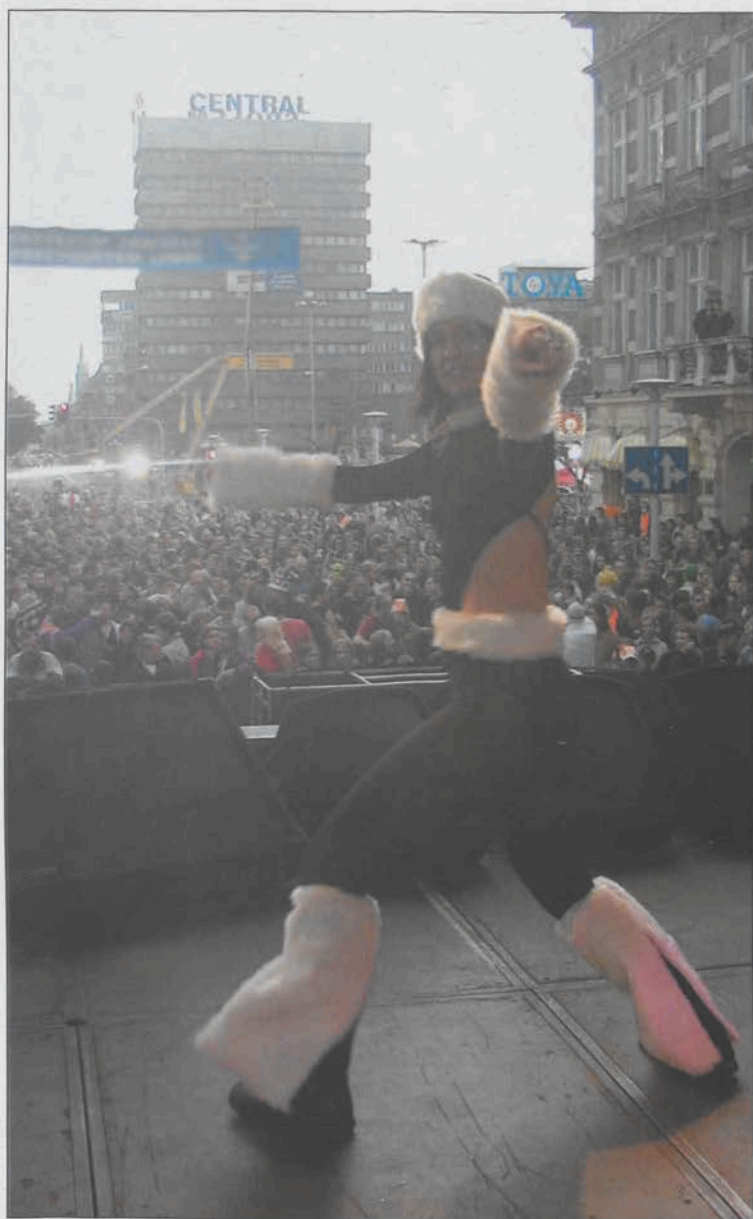


foto: K. Kaszuba

Parada Wolności - scena główna



fotograf: J. Eger

Mega Party w Hali Sportowej



fotograf: J. Eger

Widowisko parateatralne w fabryce Izraela Poznańskiego



foto: S. Wiedanek

Widowisko muzyczne "ALKIMJA" - Justyna Steczkowska



Parada Wolności

foto: S. Wicłanek



Widowisko parateatralne "Podróż po Łódzkiej Ziemi Obiecanej"

foto: S. Wicłanek



Koncert Jazzowy Pascal von Wróblewski



Parada Wolności



foto: S. Wielanek

Kanał Orkiestrowy podczas spektaklu w Teatrze Wielkim

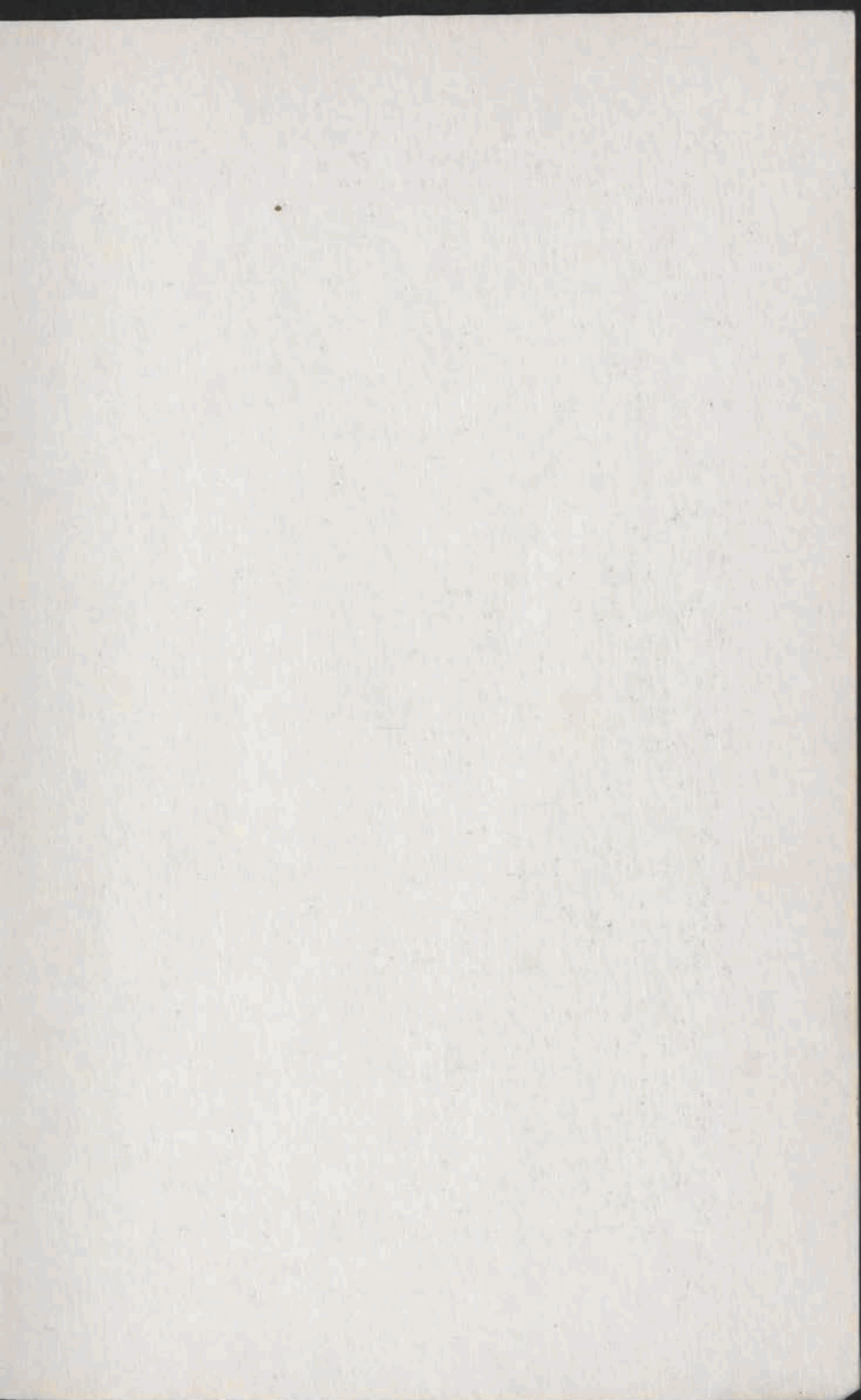


foto: J. Egger

IMBP
m.
Koncert z cyklu "Ballady i Okolice" - L.D.K.

J. P.
w Łodzi

10671-A





ISSN-12315-354